

Osada

Bułyczow Kirył



calibre 0.9.43

Kir Bułyczow

Osada

(Posiłek)

Tłumaczył Tadeusz Gosk

Odwilż ciągnęła się już dwa tygodnie.

Wedle kalendarza na wiosnę było jeszcze za wcześnie, ale wszyscy mieli nadzieję, że mrozy już mimo wszystko nie wrócą.

Osiedle miało dwa kalendarze. Jeden miejscowy, oparty na rytmie dni i nocy i naturalnej zmianie pór roku, drugi natomiast ziemski, formalny niczym prawo, któremu nikt się nie podporządkowuje.

Dawno, niemal dziewiętnaście lat temu według ziemskiej rachuby i przed sześcioma miejscowymi laty, kiedy nieliczni uratowani z katastrofy „Polusa” dotarli do lasu, Siergiejew zrobił pierwszy karb na słupie wkopanym za ostatnią chatą wioski. Jeden karb – jeden dzień, trzydzieści lub trzydzieści jeden karbów – ziemski miesiąc.

Stopniowo kalendarz rozrósł się do całego lasu słupów z karbami, chronionego przed deszczem i śniegiem specjalnie zbudowanym daszkiem. Karby były różne. Jedne dłuższe, drugie krótsze. Obok niektórych znajdowały się dodatkowe znaki. Znaki śmierci i znaki narodzin. Znaki epidemii i znaki trzaskających mrozów.

Kiedy Oleg był mały, słupy wydawały mu się żywe i wszechwiedzące, bo wszystko pamiętały. Pamiętały, że nie nauczył się geografii lub zachował się niegrzecznie wobec matki. Marianna wyznała kiedyś, że też bała się tych słupów, a Dick opowiadał ze śmiechem, że chciał usunąć ze słupa jakiś „zły” karb, ale Stary przyłapał go na tym i zbeształ.

Kalendarz Siergiejewa był fałszywy. Wszyscy o tym wiedzieli. Był fałszywy podwójnie. Po pierwsze, dlatego że tutejsza doba trwała o dwie godziny dłużej niż na Ziemi. Po drugie, miejscowy rok liczył takich dób ponad tysiąc. Krótkie lato, długa deszczowa jesień, czterysta dni zimy i chłodna, bardzo długa wiosna. Właśnie ta cała pogmatwana arytmetyka stała się linią rozgraniczającą starszych, przybyłych ze statku, od młodego pokolenia. Starsi udawali, że wierzą karbowanym słupom i odliczali ziemskie lata. Młodszy żyli zgodnie z kalendarzem miejscowym, bo jak inaczej się połapać, skoro jesień trwa rok i zima również rok...

Odwilż ciągnęła się już dwa tygodnie. Śnieg opadł, pojawiły się w nim połacie nagiej ziemi. Zbocze cmentarnego wzgórza zwrócone ku wsi zbrunatniało od młodych porostów, które również uwierzyły, że nadeszła wiosna. Jedyna uliczka wioski, wzdłuż której stały jednospadowe, kryte różowymi liśćmi wodnych tulipanów chatki, przekształciła się we wstęgę błota. Za domami wstęga rozdwajała się. Wąskie pasmo biegło ku wrotom, szerokie kończyło się przy warsztacie i szopach. Z prawej strony warsztatu, przed kozią obórką, utworzyła się głęboka zielona kałuża. Co rano koźleta ostrymi kopytkami kruszyły na niej lód i grzebały w błocie, szukając robaków. Potem zaczynały się zabawy, bójki i wesola taplanina – na zwierzaki również podziałała niby – wiosna. Jedyne koza imieniem Koza, matrona tej całej rodziny, doskonale wiedziała, że do wiosny jeszcze daleko. Godzinami sterczała przy warsztacie, skąd ciągnęło ciepłem i czasami niecierpliwie zaczynała ocierać się pancierzem o ścianę. Warsztat zaczynał się trząść, Oleg wybiegał na dwór i zaczynał okładać kozę kijem. Na widok Olega Koza stawała na tylnych nogach i przednimi wymachiwała nad głową Olega, cieniutko pobekując z radości. Była przekonana, że jej ulubieniec zwyczajnie żartuje. Wówczas Oleg wołał na pomoc Siergiejewa, którego koza się bała. „No, no – mówił groźnie Siergiejew. – Zanedbuje pani matczyne obowiązki, proszę wracać do swoich dzieci!” Koza

oddalała się niespiesznie, wysoko podrzucając zielony zad. Do porzuconych dzieci nie wracała, lecz truchtała do ogrodzenia i nieruchomiała tam w nadziei, że pojawi się jej przyjaciel kozioł, bydlę mierzące ponad trzy metry w kłębie ozdobione ostrym grzebieniem z płyt kostnych.

Czasami kozioł pojawiał się na skraju lasu i cienkim głosem zapraszał Kożę na spacer. Blisko do ogrodzenia nie podchodził, bo lękał się ludzi. Koza biegła do bramy i, jeśli przy niej nie było nikogo, sama odsuwała rygiel i znikwała na kilka dni. Wskutek tych spacerów już trzy razy miała młode i w obórcie mieszkało siedmioro koźląt w różnym wieku.

Z koziego stada było niewiele pożytku, ale kozy stały się częścią dnia powszedniego, dowodem na żywotność osiedla i rozrywką dla dzieciaków, które jeździły na nich wierzchem, chociaż zabawa ta koźlątom się nie podobała i wołtyżerka kończyła się zazwyczaj siniakami pogromców. Można było naturalnie zarznąć je i zjeść, bo przecież myśliwi zabijali dzikie kozy w połowie zimy, kiedy z jedzeniem zrobiło się krucho. Dick zaproponował, że sam to robi, ale Marianna zaprotestowała, a Stary ją poparł. Dick nie lubił się spierać, wzruszył ramionami i mimo zamieci wyprawił się do lasu. Wrócił późnym wieczorem. Odmroził palce lewej ręki, ale przyniósł niewielkiego niedźwiadka.

Zresztą Koza nie była tak całkiem bezużyteczna, bo okazała się niezwykle czujną wartowniczką i przekazała tę umiejętność koźlątom. Wystarczyło, aby jakiś intruz zbliżył się do palisady, a kozia rodzinka podnosiła taki wrzask, że cała wieś zrywała się na równe nogi. Była i druga strona medalu – kiedy Koza uznawała zagrożenie za szczególnie poważne, usiłowała schronić się w pierwszym z domów. Tam potrafiła rozbić wszystko i dodatkowo w mgnieniu oka wymieść do czysta każdy garnek i miskę.

Koza, stworzenie dobroduszne i towarzyskie, nie przepadała jedynie za Plujakiem. Musiała się z nim już wcześniej spotykać. Nie zbliżała się do jego klatki, tupała z bezpiecznej odległości, beczała, groźnie potrząsając kostnym grzebieniem i kategorycznie domagała się wypędzenia ze wsi tego obrzydliwego potwora.

Jako pierwszy zawarł z Plujakiem znajomość Kazik przybrany syn Dużej Luizy.

Na przedwiośniu Kazik skończył trzynaście lat, chociaż na oko trudno mu było dać nawet dziesięć. Był malutki, szczupły o smagłej skórze pokrytej niebieskimi szramami po nasionach dmuchawca. Ręce miał ciągle poobijane i pokaleczone, a czoło przecięte na ukos poszarpaną blizną. Kazik nosił przydomek Mowgli, bo w lesie czuł się jak w domu. Inni chłopcy potrafili włóczyć się po lesie, w razie potrzeby nawet w nim przenocować, umiając ukryć się przed drapieżnikami w miękkim rozwidleniu konarów białej sosny, a on mógł mieszkać w lesie tygodniami. Czuł się w nim jak gospodarz, o czym wszyscy wiedzieli. Drzewa skwapliwie usuwały gałęzie z jego drogi, grzyby zakopywały się w ziemię, drapieżne liany podkulały ogony. Zapachu Mowgliego bały się nawet szakale i dlatego idąc do lasu, nigdy nie zabierał ze sobą kuszy. Umiął rzucać nożem z taką siłą i precyzją, że przepoławiał komara siedzącego na pniu drzewa odległego o pięćdziesiąt kroków.

W osiedlu Kazik zawsze był spokojny i milkliwy. Nigdy nie płakał i z nikim się nie bił. Zresztą nikt nie chciał się z nim bić, bo każda bójka wywoływała w nim zimną wściekłość. Nie umiał się bawić.

Z początku Luiza bała się, że Kazik jest opóźniony w rozwoju, ale chłopak posłusznie chodził do szkoły i chociaż nigdy nie wrywał się do odpowiedzi i milczał, kiedy inni krzykliwie o czymś dyskutowali, to jednak wszystko zapamiętywał. Stary utrzymywał, że Kazik ma wręcz fotograficzną pamięć. „Na Ziemi – powiadał – wyrósłby z niego człowiek wybitny. Tutaj brakuje mu pokarmu

intelektualnego. To wyjątkowo rozwinięty, ale wcale nie głodny mózg”. „Daj mu wszystko, co możesz – odpowiadała Luiza – a kiedy wrócimy na Ziemię, inni dadzą mu całą resztę”.

Bożyszczem, opiekunem i wiernym przyjacielem Kazika był Dick. Dlatego że Dick był leśnym człowiekiem i obaj byli sierotami. Dick w ogóle nie pamiętał swoich rodziców, a rodzice Kazika umarli w czasie epidemii, kiedy był jeszcze zupełnie malutki. Nigdy nie nazywał Luizy matką. Fumiko, jej drugie przybrane dziecko, tak się do niej zwracała, ale Kazik nigdy.

Jesienią, wkrótce po powrocie z gór, gdzie leżał rozbity „Polus”, Kazik z Dickiem wybrali się do lasu. Ruszyli na dalekie polowanie, jakieś dwadzieścia kilometrów na południe od osiedla. Tam jesienią przenosiły się stada mustangów. Mięso mustangów jest niejadalne, nawet szakale odwracają się od niego ze wstrętem, ale mustangi mają niezwykle pęcherze powietrzne. Zwierzę rozdyma go ratując się przed pościgiem. Wówczas mustang ze szczupłego, zwiędłego, przywodzącego na myśl wychudzoną szkapę owada przekształca się w lśniący balon i unosi w powietrze. Jego pęcherz lotny jest mocny i elastyczny, nadaje się na błony okienne, worki, torebki, bukłaki na wodę i ziarno i w ogóle jest bardzo użyteczny. Dziewczynki robiły z pęcherzy leciutkie narzutki i biegały w nich po wsi jak tęczowe ważki.

Wyszli o świcie. W lesie na nic interesującego się nie natknęli. W owe dni wszyscy jeszcze żyli pamięcią o niezwykłej wyprawie ku przełęczy i dlatego milczący zazwyczaj Kazik zamęczał Dicka pytaniami. Lekko i bezszelestnie szedł obok niego, nie patrząc pod nogi, przeskakiwał przez żywe korzenie, czasami pochylał się, żeby przykryć małą i twardą dłonią słodki grzybek, wrzucić go, nie zwalniając kroku, do ust. Czasami uskakiwał gwałtownie w bok, żeby powąchać jakiś interesujący ślad, ale natychmiast wracał z kolejnym pytaniem:

- Czy jest cały żelazny?
- Ze stopu.
- I większy od naszej osady?
- Jak nasza palisada. Nie większy.
- I okrągły?
- Mowgli, przecież już o to pytałeś!

Dick nie lubił rozmawiać w lesie. W lesie głos niesie daleko. W lesie trzeba milczeć i samemu nadstawiać ucha. Dla Kazika te zasady niewiele znaczyły, bo sam słyszał lepiej od najczujniejszego zwierzęcia.

– I jeszcze nieraz zapytam – powiedział niezrażony. – Bardzo lubię pytać. Przyszłym latem zabierzesz mnie na wyprawę do „Polusa”?

– Oczywiście. Jeśli tylko będziesz się dobrze zachowywał.

Kazik parsknął pogardliwie. Zawsze zachowywał się tak, jak sam uznawał za stosowne.

– Chcę polecieć do gwiazd – powiedział. – Gwiazdy są o wiele większe od naszego lasu, od całej tej ziemi. Wiesz, dokąd pojedę, kiedy wrócimy na Ziemię? Do Indii.

– Dlaczego? – zdziwił się Dick.

– A tak sobie – zmieszał się nagle Kazik. – Bo mam ochotę.

Przez jakiś czas szli w milczeniu.

– A ja bym tu został – wyznał nagle Dick, który nigdy dotąd nikomu o tym nie mówił.

Kazik milczał. Nagle rozpedził się, wskoczył na niski, rosnący poziomo konar drzewa, sięgnął po orzechowe gniazdo, zerwał je i wrzucił do swojego worka.

– Wieczorem upieczemy – powiedział, zeskakując na ziemię.

Dick milczał, to on powinien zauważyć gniazdo orzechów. Dla Dicka las był polem walki, na którym zawsze starał się zwyciężyć. W lesie kryły się niebezpieczeństwa, które należało pokonać lub w porę obejść, w lesie kryła się zdobycz, którą należało dopaść, kryły się drapieżniki lub śmiertcionośne stwory, które należało zabić, żeby samemu nie paść ich ofiarą. Natomiast dla Kazika las był domem, może nawet w większym stopniu domem niż osada, ponieważ osada było w tym świecie ciałem obcym i las godził się z jej istnieniem tylko dlatego, że ludzie okazali się odeń mądrzejsi i sprytniejsi. Kazik rozumiał las i dlatego się go nie bał. Jeśli był silniejszy, pokonywał lub odpędzał przeciwnika, a ustępował drogi temu, który był silniejszy od niego. Jakiejś szczególnej miłości do lasu jednak nie odczuwał, podobnie jak nie darzy się niezwykłym uczuciem powietrza czy wody. Wszystkie jego myśli, marzenia i nadzieje krążyły wokół świata żyjącego w opowieściach dorosłych, w pamięci Starego i Luizy. Ów świat gwiazd i statków kosmicznych, świat, w którym czekała na niego Ziemia, był mu formalnie znany o wiele lepiej niż któremukolwiek innemu mieszkańcowi osiedla. Tak było, choć nikt się tego nie domyślał. Kazik zapamiętywał wszystko, co mówił o Ziemi Stary, wszystko, co wyłowił z rozmów dorosłych. Znał wysokość Everestu, daty urodzin i śmierci Aleksandra Macedońskiego, masy cząsteczkowe wszystkich minerałów i długość Brahmputry, jego dziecięca głowa była nafaszerowana liczbami i informacjami nie mającymi żadnego związku z ponurym dniem powszednim osady. Szczególnie urzekła go historia – niezliczona ilość pokoleń, z których każde żyło, wojowało i budowało, ustępując miejsca na Ziemi następnemu. Miliardy ludzi i miliony zdarzeń splecionych ze sobą niezliczonymi więzami przekształcały las i osadę w płaską abstrakcję, rodzaj nudnego snu, który trzeba przeczekać. Przez cały rok będą chodził po muzeach, powtarzał sobie w duchu. Wiem, jak się nazywają: Ermitaż, London Gallery, Prado, Pergamon... Nigdy się jednak z tych zamiarów nie zwierzał, bo i po co?

Kiedy latem Marianna, Dick, Oleg i Tomasz wyruszyli ku przełęczy, Kazik w myślach powtórzył ich całą drogę przez góry. Na długo przed ich powrotem przestał jeść i spać, tylko słuchał. To właśnie on czekał na nich o jakieś dziesięć kilometrów od wioski, kiedy resztką sił ciągnęli po rozmięklej ziemi własnej roboty sanie wyładowane skarbami znalezionymi na statku.

Każde z osobna spokojnie i wytrwale wypytywał o to, co widzieli na statku. Wiedział, że do „Polusa” można będzie wrócić dopiero następnego lata, ale te trzy ziemskie lata oczekiwania nie wydawały mu się zbyt długie. Minie zima, Oleg z Siergiejewem wymyślą sposób nawiązania łączności, dostroją naprawione radio i wówczas Ziemia przyśle pomoc.

Kiedy się ściemniło, Dick i Kazik zatrzymali się na nocleg w zaroślach śmierdzieli. Leśne zwierzęta i gady unikają takich miejsc, ale jeśli człowiek się uprze, to może przywyknąć do ich ciężkiego odoru. Następnego ranka wytropili stado mustangów, podkradli się do niego, nie płosząc owadów i zabili kilka upatrzonych starych samców. Dick strzelał z kuszy. Choć nosił przy sobie zabrane ze statku blaster, to jednak się nim nie posługiwał, oszczędzając ładunek na czarną godzinę. Kazik upolował tylko jednego mustanga, bo jego rola w polowaniu była odmienna – napędzał samce w stronę Dicka w ten sposób, aby nie zdążyły poderwać się w powietrze. Swojego jedyne owada zabił rzuconym z daleka nożem, który specjalnie dla niego zrobił Siergiejew z metalowego trapu przywleczzonego z „Polusa”. Zresztą Siergiejew zrobił takie noże wszystkim mieszkańcom osiedla.

Dick zajął się oprawianiem mustangów. Wyciąć pęcherz lotny tak, aby go nie uszkodzić, nie jest rzeczą prostą. To robota precyzyjna, nie dla dzieciaka. Kazik nie mógł usiedzieć na miejscu, ruszył więc brzegiem strumienia, szukając ślimaków. Z ich muszli dawało się sporządzić doskonale skrobaczki i talerze. Kobiety się ucieszą...

Przeszedł jakieś trzysta metrów. Myślał o Indiach, czarodziejskim kraju, gdzie w młodości mieszkała Luiza, przekraczał bramy miasta o baśniowej nazwie Hajdarabad i nagle usłyszał cichy trzask, coś mu mignęło przed oczami, a za chwilę stwierdził, że stoi pośrodku jeziora, którego jeszcze przed sekundą nie było.

Jezioro było idealnie okrągłe, miało jakieś trzy metry średnicy i najwyżej trzy centymetry głębokości. Jego doskonale gładka powierzchnia odbijała zaciągnięte chmurami fioletowe niebo.

Kazik znieruchomiał. Podobnie jak każdy inny mieszkaniec lasu nie lubił niespodzianek. Las przyczał się i milczał. Mowgli zaczął ostrożnie unosić nogę, ale płyn go nie puszczał, trzymał za buty uszyte z grubej rybiej skóry, w oczach twardniał, zeszklawiał się.

Chłopak zaniepokoił się i gwizdnął, wzywając Dicka na pomoc. Zapomniał, że odszedł zbyt daleko, żeby Dick mógł go usłyszeć i gdy sobie to uprzytomnił, znieruchomiał ponownie, zastanawiając się, co robić. Wówczas pobliska ściana zarośli poruszyła się i zza gęstych liści powoli wypełzło jakieś paskudztwo przypominające kraba, którego obłupiono z pancerza, a z przodu dodano słoniową trąbę. Stwór był Kazikowi nieznany i nie miał nazwy, ale czuło się w nim groźną, podstępą siłę, więc Mowgli nazwał je gadem.

Po obu stronach trąby, poniżej tępych ślepi stwór miał dwa otwory zaciągnięte błonami. Błony lekko drżały i Kazik instynktownie zrozumiał, że to właśnie one stanowią największe zagrożenie. Dlatego, gdy błony rozsunęły się i z ukrytych za nimi otworów trysnęły dwa strumienie kleistej żółtawej cieczy, mimo nóg przykutych do stwardniałej kałuży, Kazik zwinnie przysiadł i zrobił unik. Ciecz głośno plusnęła w kałużę i rozpląnęła się po niej jak woda po lodzie.

Gad był bardzo zdziwiony. Nie przywykł do podobnego zachowania ofiar, potrząsnął więc głową, uniósł do góry trąbę i zatupał cienkimi, kruchymi na oko nogami. Gniewał się.

Kazik nawet przelotnie się uśmiechnął, patrząc jak gad zasłonił otwory błonami, zaczął się prężyć i nadymać, a potem znów uruchomił swoje sikawki, ale zamiast silnych strumieni wypuścił dwie nędzne, cieniutkie strużki. Stwór osiadł na tylne łapy. Widocznie zamierzał czekać i myśleć, jeśli naturalnie miał czym myśleć. Chłopak natomiast miał do rozwiązania palący problem – jak wydostać się z pułapki.

Klej, wysychając, ścisnął nogi. Było oczywiste, że już po butach. Kazik bez trudu wyciągnął z nich nogi i teraz musiał odskoczyć na jakieś półtora metra w bok, starając się nie dotknąć gołymi stopami wilgotnego jeszcze kleju. Patrząc na Kazika, gad znowu się zaniepokoił. Pomacał pazurem przedniej nogi krawędź kałuży, stwierdził, że jeszcze się klei, wobec czego zaczął wolno okrążyć pułapkę, odszukując miejsce, z którego mógłby dosięgnąć ofiarę trąbą.

Kazik skoczył w przeciwną stronę, starając się wylądować na rękach i podciągnąć nogi. Skok niemal mu się udał, ale prawa stopa musnęła krawędź kałuży. Noga mocno zapiekła.

Usiłując oderwać ją od kleju wrzasnął tak, że słyhać go było pewnie w osadzie. Gad zżawo podreptał w jego stronę.

Kazik wyciągnął nóż i chciał nim rzucić w gada, ale zrozumiał, że powinien najpierw wyswobodzić nogę, bo przecież nie wiadomo, czy nożem można temu stworowi coś zrobić. Szybкими ruchami usiłował odciąć warstwę kleju, ale nóż tylko się ślizgał po szklistej powierzchni.

Wówczas, czując zbliżającą się trąbę gada, Kazik chlastnął się nożem po stopie, chybił, uniósł nóż, aby uderzyć w trąbę, która już go dosięgała, zionąc z bliska kwaśnym smrodem.

W tym momencie Dick wystrzelił w gada z blastera. Nie usłyszał gwizdu, ale wołanie o pomoc jak najbardziej. Przybiegł i nie zdejmował palca ze spustu blastera, dopóki ciało potwora nie

zamieniło się w kłęb czarnego dymu.

Kazik ze zdumieniem popatrzył na stosik popiołu otoczony suchymi patykami nadwęglonych nóg i powiedział:

– Po co aż tak? Szkoda pistoletu.

Nigdy jeszcze nie widział blastera w działaniu, ale wiedział, że trzeba oszczędzać ładunek.

– Idiota! – odburknął Dick. – Przecież on by cię wyssał. Kto tak chodzi po lesie? Do Indii się wybrałeś?

Kazik nic na to nie odpowiedział. Udało mu się oderwać nogę od kleju. Z rozdartej stopy płynęła krew, sięgnął więc do worka po balsam. Po chwili odezwał się:

– Szkoda butów.

Zranioną nogę posmarowali balsamem i opatrzyli, Kazik dojechał do osady na ramionach Dicka. Dickowi było ciężko, bo niósł jeszcze worek z pecherzami mustangów, ale wszyscy wiedzieli, że jest silny, więc się nie uskarżał. Kazik też milczał, chociaż noga wściekle bolała i potem, już we wsi, przez dwa tygodnie skakał tylko na jednej nodze.

Przygoda Kazika zaowocowała w przyszłości ważnymi wydarzeniami, którym pierwszy impuls nadały jego własne słowa. Kazik siedział wówczas na pryczy i patrzył, jak przybrana matka szyje mu buty z przyniesionych rano przez Veitkusa kawałków rybiej skóry. Robota była katorżnicza. Wprawdzie Marianna przyniosła z „Polusa” prawdziwe igły, ale nie znalazła nici, dlatego w osadzie do szycia nadal wykorzystywano nitkowate wodorosty, dość grube i bardzo krótkie włókna, które ciągle trzeba było wiązać. Luiza burczała, bo nienawidziła szycia, a Kazik patrzył na nią i patrzył, aż wreszcie powiedział:

– Jak wyzdrowieję, to pójdę do lasu i przytaszczę tego gada.

– Jakiego gada? Po co? – nie zrozumiała Luiza.

– Żeby szył.

– A niby dlaczego twój gad miałby szyć?

– Nie rozumiesz – odparł Kazik. – On nie będzie szył tylko kleił.

Luiza puściła słowa Kazika mimo uszu, ale on nigdy na próżno nie gadał. Kiedy tylko mógł wstać z łóżka, dowlókł się jakoś do Starego i poprosił go o jakąś niepotrzebną sieć. Stary łowił sieciami ryby w jeziorkach za bagnem, sieci często się darły i Stary, który uważał splatanie sieci za najlepszy środek uspokajający, nagromadził ich całe mnóstwo. Teraz dał Kazikowi największą i najmocniejszą sieć, a nawet zgodził się uczestniczyć w wyprawie na gada.

Razem z nimi wyruszyła Fumiko, przybrana siostra Kazika i najstarszy syn Veitkusa, poczciwy Piatras. No i oczywiście Dick.

Przez trzy dni wędrowali po zaroślach, zanim odnaleźli plującego klejem gada. Dick podrażnił go i gad wyzbył się całego zapasu kleistej cieczy. Teraz już bez trudu zarzucili na niego sieć i przetransportowali do wsi. Uważali tylko, żeby nie połamać mu nóg.

Wsadzili gada do specjalnie zbudowanej klatki, gdzie karmili go robakami i ślimakami. Gad czuł się znakomicie, omotał klatkę od środka pajęczyną i wcale nie wrywał się na wolność. Był tępy i powolny, nie stanowił większego zagrożenia, a co do koszmarnego wyglądu, to mieszkańcy osiedla widzieli wiele jeszcze okropniejszych stworów.

Nazwali gada Plujakiem. Można go było nazwać pajakiem lub krabem, ale te nazwy już były zajęte przez inne stworzenia.

Imię Plujak zostało wymyślone przez Irenę, matkę Olega, i natychmiast przez wszystkich

zaakceptowane. Substancję wydzielaną przez Plujaka dorośli nazywali jak należy klejem, natomiast dzieci, rzecz jasna, plujem.

Pojawienie się Plujaka rzeczywiście ułatwiło życie krawcowym, zwłaszcza po odkryciu Veitkusa, który stwierdził, że klej zastyga znacznie wolniej, gdy zmiesza się go ze śluzem wydzielanym przez trąbę gada. Z kolei Siergiejew nauczył się wytaczać ze stwardniałego kleju kubki i talerze. Robione przez niego naczynia były bardzo trwałe i piękne, zwłaszcza po tym, gdy zaczął dodawać do „plują” barwne glinki z pokładów za bagnem.

Z nadejściem zimy Plujak wpadł w śpiączkę, prawie niczego nie jadł i kleju trudno się było od niego doprosić. Dobrze, że Veitkus zrobił zapas kleju w zamkniętych szczelnie naczyniach. Po pierwszych wiosennych odwilżach Plujak ocknął się, ożywił, zaczął niespokojnie wiercić w klatce i płuć bez najmniejszego powodu.

* * *

Ciągnąca się bez końca odwilż przyniosła katary, bronchity i ostre stany reumatyczne. Matka Olega leżała z zapaleniem korzonków i chłopak sam musiał odgrzewać kaszę i polewkę.

Oleg wiedział już, że lekarstwa działają na ludzi wybiórczo. Ci, którzy w nie wierzą, wracają do zdrowia, niedowiarzowie natomiast nadal chorują. Co prawda w jego przekonaniu nie odnosiło się to do prawdziwych lekarstw, które przyniósł ze statku, ale były to lekarstwa zwalczające prawdziwe choroby, na które ludzie dawniej umierali – zakażenie krwi, zapalenie płuc czy tężec. Lekarstw ze statku było mało, więc używano ich tylko w ostateczności, a żona Veitkusa przechowywała je w specjalnej skrzynce.

Matka miała całe mnóstwo rozmaitych naczynek, drewnianych pojemników, pudełek z suszonymi ziołami i innymi lekami. Chociaż Oleg był bardzo głodny, przede wszystkim zagotował wodę i zaparzył piekącą mieszaninę do nacierania. W chacie było prawie ciemno, bo na stole palił się tylko jeden kaganek. Leżąca pod skórą matka powiedziała:

– Zjedz coś, ja wytrzymam. Wytrzymałam cały dzień, to te parę minut też mnie nie uratuje. Siedziałam sama w domu i... myślałam, że przyjdiesz trochę wcześniej.

– Zaraz, mamusi – powiedział Oleg. – Zaraz cię natrę, tylko się dobrze naparzy.

– Poczekam, a ty zjedz – odpowiedziała matka. – Teraz jesteś wszystkim potrzebny, bo od ciebie wszystko zależy. Jedz, bo bardzo źle wyglądasz. Zbladłeś, zmizerniałeś... Jedz, a ja poczekam, nic mi się nie stanie. Na zapalenie korzonków jeszcze nikt nie umarł.

Za przepierzeniem u Starego coś z hałasem upadło. Dawno już można było się rozdzielić, wybudować nową chatę albo przenieść Starego do pustego pomieszczenia naprzeciwko Veitkusów, ale przywykli mieszkać razem. Stary, Irena i Oleg nie tworzyli jednej rodziny, ale często jadali razem, a Stary z Ireną, kiedy nie było Olega, toczyli ze sobą długie rozmowy. Stary zrobił się bardzo gadatliwy i niemal bez przerwy mówił. Trudno mu było milczeć. Może właśnie dlatego zajął się szkołą. A matka nieustannie skarżyła się na los. Z dawnego życia został jej tylko lęk o Olega, obawa, żeby nie upadł, nie zachorował, nie umarł. Oleg ma już niemal dwadzieścia lat, jest dorosłym mężczyzną, całymi dniami przesiaduje z Siergiejewem w warsztacie, gdzie robią rozmaite rzeczy niezbędne mieszkańcom wioski, a ponadto nieustannie uczą się z książek, które Oleg przydźwigał z „Polusa”. Chcą tylko jednego – poznać zasady łączności, żeby można było naprawić nadajnik „Polusa” i zawiadomić Ziemię, gdzie są ludzie, którzy wyszli cało z katastrofy. Od wielu lat wieść żyła nadzieją powrotu na Ziemię, ale dawniej było to raczej marzenie, które dopiero teraz przybrało

bardziej realny kształt. Matka Olega powtarzała, że skoro łącznie nie zdołali nawiazać specjaliści, inżynierowie, którzy przeżyli katastrofę statku, to czego może dokonać żółtodziób wspomagany przez starego inwalidę? W rzeczywistości bała się, że Oleg będzie musiał znowu wyprawić się na przełęcz, na której leży rozbity statek. Raz udało mu się stamtąd wrócić, ale człowiekowi szczęście dopisuje właśnie tylko raz. Czy jednak lepiej tkwić do śmierci w tej cuchnącej wioszczynie pośród kałamarnic i much, o krok od lasu pełnego potworów i morderców? Nie, nie wiedziała, co jest gorsze, bo wszystko było złe.

Oleg przyniósł napar. To dobre dziecko, pomyślała Irena. Najlepsze w całej wiosce. Przez tę zimę bardzo wydorósł, ojciec by się z takiego udanego syna cieszył.

Oleg natarł matce plecy. Zetknięcie z palącym płynem było przyjemne, bo oznaczało życie. Jej ciało wciąż jeszcze żyło i czuło, czuło twarde, ciepłe dłonie syna, wprawne i troskliwe. Jak to dobrze, że na świecie są jeszcze ręce, które potrafią sprawiać ulgę. Irena cicho rozplakała się z niespodziewanej radości, a zza przepierzenia dobiegł głos Starego:

– Oleg, pomoc ci?

– Nie, dziękuję – odparł Oleg. – Ale proszę do nas wpaść. Już odgrzałem zupę, zjemy razem.

– Dziękuję, nie jestem głodny – odpowiedział Stary i Irena uśmiechnęła się przez łzy, ponieważ usłyszała, jak Stary zaczął zbierać się w gości. Mył swoją miskę, potem zaczął się przebierać, starannie czesać... Bardzo cenił pojęcie „chodzić w gości”, jeśli nawet oznaczało to tylko przejście do sąsiedniej izdebki za przepierzeniem.

Usiedli do stołu w trójkę. Irena poczuła się lepiej. Głównie dlatego że polepszył się jej nastrój. Wierzyła w piekący napar i dlatego napar jej pomagał. Stary przyniósł do polewki trochę suszonych orzechów, które sam zbierał i w jakiś specjalny sposób przypiekał na patelni. Z wizytą przyszedł w nowej kurtce z jednym rękawem. Oleg czasami dziwił się, że człowiek może obywać się bez jednej ręki, a Stary niemal wszystko robił tak, jakby nie był inwalidą.

– Kiedy następnym razem pójdziesz na statek – powiedział, patrząc jak Oleg nalewa z sagana polewkę – koniecznie przynieś jak najwięcej papieru. To był z twojej strony fatalny błąd, że przyniosłeś go tak mało.

– Wiem. – Oleg słyszał ten wyrzut już wiele razy.

– Dopóki w ogóle nie mieliśmy papieru – ciągnął Stary – doskonale się bez niego obywaliśmy. A potem zaczęła się papierowa rozpusta. Sam jestem temu winien, bo nawet dzieciom w szkole dawałem kartki do pisania wypracowań, ale czyż można mnie za to winić?

– Nie, nie można – powiedziała Irena. – Doskonale cię rozumiem.

– A Linda Hindt napisała cały poemat o Tomaszu – przypomniał Oleg.

– Ludzie przywykli powierzać swoje myśli papierowi i dlatego mikrofilmy i wideokasety nie zdołały go zastąpić. Na Ziemi mam całkiem niezłą bibliotekę złożoną z prawdziwych książek, co nikogo nie dziwi. Musisz przynieść papier, koniecznie. Potęga białej kartki, na której człowiek chce wyrazić przepełniające go myśli lub uczucia jest wręcz nieprawdopodobna... Zresztą i dzieci będą się zupełnie inaczej uczyły.

– Do lata mamy jeszcze kawał czasu – powiedziała matka, która siedziała sztywno wyprostowana, starając się nie zmienić pozy, by nie dopadł jej ból. – Dziwi mnie, że wy, ludzie dorośli biegacie teraz wszyscy do Olega i prosicie: przynieś to, nie zapomnij przynieść tamtego...

– Gdybym zdołał dojść do statku – odparł Stary – wiedziałbym lepiej od Olega, co należy wziąć. Mam doświadczenie.

– A ja intuicję – powiedział Oleg leniwie. Od gorącej polewki zaczął morzyć go sen. Był bardzo zmęczony, bo przez cały dzień kończył z Siergiejewem metalowe części młyna, który z nastaniem ciepła zamierzali ustawić na strumieniu. Przez ten młyn zaniedbał studiowanie elektroniki i tylko późnym wieczorem czytywał po jednym paragrafie z podręcznika, który rano przed pracą zdawał Siergiejewowi. – Następnym razem przytaszczymy całą kupę wszelkiego dobra. Nie myślałem, że wszystko tak szybko zniknie...

– Nic nie zniknęło, tylko zostało zużyte na potrzeby osiedla – powiedział Stary.

– Niemal połowa trafiła do Veitkusowej i Siergiejewa – powiedziała matka takim tonem, że nie sposób było zrozumieć, czy cieszy się z tego, czy potępia zachłanność wymienionych osób.

– Nic dziwnego – powiedział Oleg. – Siergiejew ma warsztat, a ona wszystkich leczy...

– Nawet swój mikroskop jej oddałem. No, powiedzmy pożyczylem – powiedział Stary, dumny ze swego poświęcenia.

W osiedlu w zasadzie wszystko było wspólne, bo inaczej nie dałoby się przeżyć. Jednak były również rzeczy osobiste, dość dużo rzeczy osobistych. Marianna miała lusterko, Stary mikroskop, matka „Annę Kareninę”, nie mówiąc już o ubraniach czy naczyniach kuchennych. Zresztą ten margines własności prywatnej prowadził czasem do nieprzyjemnych zadrażnień. Na przykład lusterko miała tylko Marianna. To okrągłe kieszonkowe lusterko znalazł na statku Oleg, a potem, już w drodze powrotnej, podarował Mariannie. Lustro wywarło ogromny wpływ na życie osiedla. Przedtem ludzie nie widzieli siebie. Innych widzieli, a siebie nie, chyba że w błonie okiennej lub w kałuży. A lusterko powiedziało im prawdę. Przeważnie smutną. Dorośli przecież pamiętali się z czasów, kiedy było mnóstwo luster, a teraz zobaczyli, jak bardzo się zmienili, postarzelili i zbrzydli. Młodzi natomiast nigdy przedtem nie widzieli swoich twarzy i teraz musieli przyzwyczajać się do nieznanego, określić swój stosunek do samych siebie. Marianna na przykład opinię o sobie zmieniła na gorszą. Kiedy zobaczyła w lusterku spierzchniętą twarzyczkę z wystającymi kośćmi policzkowymi, ostrym podbródkiem, popękkanymi wargami, policzkami w niebieskich cętkach od ukłuc dmuchawca, ujrzała dwie blizny na szyi – zrozumiała, że jest potwornie brzydka i że nigdy nikomu nie zdoła się spodobać. Nie dostrzegła nawet swoich wielkich szarych oczu, długich czarnych rzęs czy bujnych, lśniących włosów przystrzyżonych krótko i niezbyt równo. A taka Liza, na odwrót, wręcz zakochała się w swoim odbiciu. Uznała, że jest bardzo ładna – niemal tak piękna, jak Anna Karenina. Zapuściła warkocz, a potem zaczęła czernić sobie sadzą rzęsy, żeby wyglądać jeszcze ładniej. To właśnie Liza ukradła Mariannie lusterko, bo po prostu nie mogła bez niego żyć. Marianna pożyczala lusterko również innym, bo chętnych do przeglądania się w nim było wielu. Liza powiedziała jej, że lusterko gdzieś się zapodziało. Wszyscy się z tego powodu bardzo zmartwili, a po jakichś dwóch dniach niewidoma Krystyna, która mieszkała z Lizą, swoim wyostrzonym słuchem wykryła, że Liza przegląda się w lusterku.

Zaczęła bić Lizę chudymi piąstkami i płakać jak skrzywdzone dziecko, nie mogąc się pogodzić z myślą, że Liza jest taka niedobra, a potem zmusiła ją, żeby odniosła lusterko Mariannie i do wszystkiego się przyznała. Liza lusterko odniosła i powiedziała, że znalazła je w szparze za łóżkiem. Następnego dnia Krystyna siedząca w progu swojego domu zawołała przebiegającą obok Mariannę.

– Liza oddała ci lusterko?

– Dziękuję, tak.

– I powiedziała ci, że umyślnie nie chciała ci go oddać?

– Tak, powiedziała... – odparła Marianna po krótkiej pauzie. Krystyna zrozumiała, że Liza do

niczego się nie przyznała, ale więcej już o tym nie było mowy.

Oleg nałożył wszystkim kaszy, którą Stary posypał orzeszkami. Potem przyniósł jeszcze słodkiego syropu, bardzo w tym roku smacznego, bo Vietkus dodawał do niego jabłek.

– Chciałbym wierzyć – powiedział Oleg – że naprawimy radiostację i nie będzie już trzeba dźwigać tutaj rozmaitych rzeczy. Jak sobie przypomnę, ile nas kosztowało dotaszczenie sań do wsi, to żyć mi się odechciewa.

– Musimy przewidzieć wszystkie warianty – odparł pouczająco Stary. – Rzecz jasna wcześniej czy później nas znajdą, ale trzeba się przygotować na najgorsze.

– Zawsze jesteśmy przygotowani na najgorsze. Zresztą już gorzej być nie może – powiedziała Irena.

– Nie bądź tego taka pewna – powiedział sucho Stary.

– Szkoda, że kutry desantowe się rozbiły – westchnął Oleg. – A łąziki przez góry nie przejdą. Sądzę jednak, że jeśli nie uda się naprawić radia, to zdołamy uruchomić jakiś kuter. Siergiejew wiele potrafi.

– Dobrze by było – powiedział starzec. – Ale to wymagałoby kilku wypraw na statek.

– Albo – zauważył Oleg – już to z Siergiejewem omawialiśmy, dwóch lub trzech ludzi zostanie na statku przez zimę.

– To wykluczone! Nigdy na to nie pozwolę! – wykrzyknęła matka.

– Oczywiście pod warunkiem, że będzie ogrzewanie i światło – uściślił Oleg.

– Zimą temperatura na przełęczy spada do minus sześćdziesięciu stopni. To jest nieziszczalne marzenie... Ja wolę zadowolić się konkretami. Wystarczy mi ryza papieru.

– Gdybyśmy mieli jakikolwiek środek lokomocji – westchnął ponownie Oleg, polewając syropem kaszę. – Chociażby malutki samolocik...

– Jesteśmy zmuszeni powtarzać ciernistą drogę ludzkości – odparł poważnym głosem Stary. – Najpierw wynajdziemy koło.

– Koło jest nam prawie niepotrzebne – powiedział Oleg. – W lesie nie ma dróg. Co innego, gdyby były przynajmniej dwa osiedla.

– Koło już mamy i mamy nawet wóz – uprzytomnił mu Stary. – Teraz kolej na maszynę parową.

– Wymyśliliśmy z Siergiejewem, jak zrobić kocioł z kleju – pochwalił się Oleg.

– Po maszynie parowej wynajdziemy... balon – uśmiechnął się Stary.

– Myślałem o balonie – odparł Oleg. – Już od dawna myślę o balonie. Dlaczego mielibyśmy go nie zrobić?

– Łudzisz się, bo nigdy nie robiłeś balonu – powiedział Stary. – Balon zdolny do uniesienia choć jednego człowieka musi być ogromny.

– Jak bardzo?

– Około trzydziestu metrów wysokości. To zresztą można dokładnie obliczyć. A poza tym balon napęlnia się helem lub wodorem. Skąd je weźmiesz?

– Przecież sam pan mówił, że bracia Mont...

– Montgolfier.

– Bracia Montgolfier latali balonem napęlnionym gorącym powietrzem.

Oleg podszedł do pieca i dorzucił do ognia kawałek drewna, które natychmiast zajęło się błękitnawym płomieniem.

– Mieli odpowiedni palnik. I paliwo.

– Jakie?

– W każdym razie nie drewno.

– Położę się – powiedziała matka. – Pomóż mi, synku.

Stary był szybszy. Zaprowadził matkę do łóżka i pomógł jej się położyć.

– Nad paliwem trzeba się zastanowić – powiedział Oleg, patrząc w ogień. – A palnik zrobimy.

– Poważnie mówisz?

– Zupełnie poważnie – zapewnił Starego Oleg. – Gdybyśmy dotarli na przełęcz balonem, zaoszczędzilibyśmy mnóstwo czasu i sił. Żeby tylko dolecieć. A może i powrócić. Można też zrobić dwa lub trzy balony. Jeden dla ludzi, drugi ciężarowy.

– Daj spokój z tymi bredniami! – przeraziła się matka. – Jeszcze polecisz i rozbijesz się.

– Nie bój się, Ireno – uspokoił ją Stary. – To tylko marzenia.

– Zrobimy! – powiedział Oleg.

Odwrócił się na pięcie i szybko wyszedł z chaty.

– Ubierz się! – krzyknęła za nim matka, ale nie zareagował.

Na dworze zrobiło się zimno i zaczął prószyć mokry, drobny śnieg. Śnieżne krupy tonęły w kałużach i toczyły się po śliskiej ziemi. Zerwał się wiatr dmuchający z północy, od strony gór.

Było ciemno, tylko mętnie przez zasłonę śniegu połyskiwała latarnia kołysząca się nad bramą. Jej światło padało na wilgotny grzebień Kozy, która majaczyła przy palisadzie, czekając na kawalera.

Oleg przeskoczył przez kałużę i przebiegł na skos drogę, spiesząc do chaty Siergiejewa. Przez zaciągnięte mustangową błoną okienko przebijało się słabe światelko kaganka.

Oleg zapukał i natychmiast wszedł do środka, zatraskując za sobą drzwi, żeby nie wypuszczać ciepła.

– Siergiejew, przepraszam, że ci przeszkadzam, ale mam pomysł – powiedział od progu.

Siergiejew siedział przy stole i pił herbatę, czyli wrzątek podbarwiony suszonymi ziołami. Naprzeciwko niego siedziała Linda Hindt, wdowa po Tomaszu. Marianna przy węższym końcu tego samego stołu przestawiała w półmroku miseczki z jakimiś swoimi wywarami.

– Siadaj – powiedział Siergiejew.

Linda również go przywitała, chociaż widzieli się tego dnia już co najmniej pięć razy. Przynosiła Siergiejewowi posiłki do warsztatu. Ostatnio często przychodziła do Siergiejewa i nikt się temu nie dziwił. Wszyscy myśleli, że przeniesie się do niego. Matka Olega dziwiła się nawet, dlaczego z tym zwlekają. Lindzie jest bardzo – ciężko bez męża, ma dwoje dzieci, a Irena najlepiej wiedziała, co znaczy kobieca samotność.

– Postanowiłem zbudować balon – wypalił Oleg.

– Po co? – zapytał Siergiejew.

Był najsilniejszym mężczyzną w osiedlu, cichym przywódcą tego malutkiego ludzkiego stada. Jeszcze wcale krzepkim i „stosunkowo kompletnym”, jak powiedziała matka. Brakowało mu tylko dwóch palców prawej ręki. Do Marianny upodabniały go tylko oczy, również jasnoszare, otoczone długimi, puszystymi rzęsami. Ale twarz Siergiejewa była kwadratowa, ciężka i brzydka. Jednak był w niej spokój sprawiający, że można mu było wierzyć. Dawniej ideałem Olega był Stary, który wszystko wiedział i był Nauczycielem, ale po powrocie z gór Oleg coraz bardziej przywiązywał się do Siergiejewa, Był nie tylko nauczycielem, lecz także mistrzem we wspólnej pracy.

– Zrobimy wielki balon i polecimy nim do statku – powiedział Oleg. – Rozumiesz?

– Nie gorączkuj się, usiądź. Marianna, zrób gościowi herbaty.

– Już piłem – powiedział Oleg i usiadł. Linda wstała, mówiąc, że na nią już czas, bo dzieci same boją się spać.

Olegowi zawsze się wydawało, że Linda ma do niego pretensję o to, że właśnie przez niego zginął w górach jej mąż. Wiele razy chciał jej powiedzieć, że jest niewinny i nic nie pamięta, bo ukąsiła go śnieżna pchła, ale ostatecznie nie odważył się podejść do kobiety, która posiwała w ciągu jednej nocy, gdy dowiedziała się, że Tomasz zginął.

Siergiejew odprowadził wzrokiem Linde, Marianna również spoglądała w jej kierunku, a Oleg doszedł do wniosku, że Marianna nie chce, by zamiast jej matki, która umarła bardzo dawno, w jej domu mieszkała Linda, chociaż wszyscy wiedzą, że Linda jest bardzo spokojna i dobra.

– Mów dalej – przerwał rozmyślania Olega Siergiejew. – Jeśli zrobić wielki balon i poczekać na sprzyjający wiatr, można będzie wznieść się ponad góry, a nawet dolecieć do „Polusa”. Wyobraź sobie, jaka to będzie wygoda.

– Ciekawe – powiedział Siergiejew, który nigdy nie dyskutował, zanim dokładnie nie przemyślał sprawy i nie wyrobił sobie o niej ostatecznego zdania. – Wielki balon... Gdyby poczekać na wiatr wiejący w odwrotnym kierunku, można byłoby spróbować nim wrócić.

– I w ciągu lata pięć razy polecieć na statek. Rozumiesz, pięć razy!

Siergiejew roześmiał się dziwnym, kaszlącym śmiechem.

– Akurat pięć razy? – zapytał.

– Właśnie – Olegowi wydało się, że już znalazł sojusznika, a skoro tak, to balon już prawie jest w powietrzu.

– Czy mogę głośno myśleć? – zapytał Siergiejew. „Lepiej nie” – chciał odpowiedzieć Oleg. Zaraz wszystko runie! Siergiejew to nie Stary, który myśli uogólnieniami. Siergiejew zaraz obnażył wszystkie słabe punkty jego projektu...

– Gdybyśmy zbudowali balon zdolny do lotu – powiedział Siergiejew – byłoby to bardzo pożyteczne. Ale, po pierwsze, aerostat jest zdany na wolę wiatrów. Przypuśćmy, że wzniesiemy się w powietrze, wiatr będziemy mieli pomyślny i polecimy w stronę gór. Potem wiatr się zmienia i znosi nas w stronę szczytów pokrytych wiecznymi śniegami, gdzie nikt z nas nie był. Rozbijamy się lub lądujemy, ale potem nie możemy znaleźć drogi powrotnej. Jak rozkażemy wiatrowi, żeby zaniósł nas do właściwej doliny?

Oleg zerknął na Mariannę. Podsunęła mu kubek herbaty. Była po jego stronie. Chłopak nagle poczuł się jak na egzaminie. W zeszłym roku Stary urządzał im – jemu, Mariannie i Dickowi – uroczyste egzaminy, bo dorośli i skończyli szkołę. To były naprawdę bardzo uroczyste egzaminy. Wszyscy mieszkańcy osiedla, nawet małe dzieci, zebrali się pod daszkiem przy kalendarzowych słupach. Stary zadawał pytania, a pozostali członkowie komisji – Veitkus i Duża Luiza – dorzucali własne pytania. Olegowi, nie wiedząc czemu, dostały się pytania o wiele trudniejsze niż Mariannie i Dickowi, miał do Starego trochę żalu o tę niesprawiedliwość i dopiero znacznie później zrozumiał, że to właśnie było sprawiedliwe, bo Stary przygotował dla każdego z egzaminowanych pytania, na które ów mógł odpowiedzieć. Tak samo czuł się teraz. Sprężył się jak na polowaniu, myślał precyzyjnie i jasno.

– Jeśli wiatr się zmieni – odpowiedział szybko – to balon trzeba zaopatrzyć w urządzenie do szybkiego lądowania. Wtedy nie zdąży go znieść w niewłaściwą stronę. Po prostu wylądujemy w pół drogi i dalej pójdziemy pieszo lub zaczekamy na sprzyjający wiatr.

– Brzmi to rozsądnie – mruknął Siergiejew – pod warunkiem, że przyjdzie lądować na równym

miejscu, a nie pad skałami.

– Najważniejsze, żebyśmy dostali się na płaskowyż – powiedział Oleg. – Dalej ostrych skał nie ma.

– Weźmiesz mnie ze sobą? – zapytała Marianna, patrząc mu prosto w oczy. Zawsze patrzyła prosto w oczy człowiekowi, z którym rozmawiała i dlatego wiele osób czuło się w jej towarzystwie nieswojo.

– Nie wiem – odparł Oleg.

– Druga strona problemu – powiedział Siergiejew – polega na tym, w jaki sposób zbudować balon. Na razie nie mam pojęcia, jak to zrobić.

– Ja też jeszcze nie wiem, ale wymyślę.

– To musi być bardzo duży balon. Gdzie my znajdziemy taką powłokę?

– A może związać razem wiele pęcherzy lotnych mustangów? – powiedziała pytająco Marianna.

– Byłoby grono baloników.

– Nie – odparł jej Siergiejew. – Pęcherze pozostałyby na ziemi. Mustang napęnia je gorącym powietrzem ze swego ciała i tylko dlatego go unoszą.

– Słusznie! – wykrzyknął Oleg. – Wobec tego weźmiemy wiele pęcherzy i zszyjemy z nich duży balon.

– Nićmi?

– Nie, skleimy, mamy przecież Plujaka.

– Dobrze – zgodził się Siergiejew – przyjmijmy to jako wersję wstępną. Ale w jaki sposób umocujesz do powłoki gondolę?

– Co? – nie rozumiał Oleg, który nigdy przedtem nic słyszał tego słowa.

– Kosz, w którym będą siedzieć ludzie.

– A jak to robili na Ziemi? – zapytał Oleg. – Pewnie można go będzie przyszyć do dolnej części balonu. Przecież powinien tam być otwór, którym wchodzi gorące powietrze.

– Nie! – ucieszył się Siergiejew. – Właśnie przypomniałem sobie obrazek z książki Juliusza Verne’a. Powłokę przykrywało się siatką, a do siatki podwieszało kosz.

– No, siatka to nie jest problem – powiedział Oleg.

– A jak będziemy ogrzewać powietrze?

– Jak bracia Montgolfier – odparł Oleg, czując, że zwycięża. – Zrobimy piecyk... Nie potrafimy zrobić głupiego piecyka?

– Może i potrafimy – uśmiechnął się Siergiejew.

W tym momencie od bramy dobiegło rozpaczliwe beczenie Kozy. Coś się stało, ale nic alarmującego, bo w razie prawdziwego niebezpieczeństwa zwierzę darłoby się trzykrotnie głośniej. Jednak na wszelki wypadek należało sprawdzić, co się dzieje. Siergiejew popatrzył wyczekująco na Olega, który powiedział:

– Pójdę zobaczyć.

– Dobrze – zgodził się Siergiejew – bo ja dzisiaj zmęczyłem. – Wpadnij do mnie jutro, to zastanowimy się nad balonem.

Oleg pożegnał się i ruszył w kierunku bramy. Marianna poszła za nim.

– Dobrze to wymyśliłeś – powiedziała.

Szli skrajem długiej kałuży. Niebo było wyjątkowo jasne i dlatego oczy szybko oswoiły się z ciemnością. Okienka chat były żółte – wszędzie płonęły kaganki. Nikt nie wyszedł z domu, chociaż

Koza nadal się wydzieriała. Wszyscy wiedzieli, że nic groźnego się nie dzieje.

Marianna pośliznęła się i chwyciła Olega za rękę. Miała twarde palce. Oleg popatrzył na jej profil o toczonym nosie i pełnych wargach i zaczął się zastanawiać, czy jest ładna. Matka mówi, że Marianna to brzydkie kaczątko, wieczny podlotek. Uważa, że to Liza ma kobiecy wdzięk. Może mówi tak dlatego, że Liza Olegowi zupełnie się nie podoba, a Marianna bardzo. Oleg nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego tak się dzieje, bo odczuwał to jedynie w sensie negatywnym. Na przykład wówczas, kiedy Marianna szła z Dickiem do lasu. Zapewne, chociaż nie potrafiłby tej myśli sformułować, była nie to zazdrość, lecz raczej zawiść wobec Dicka. Dlatego że Dick był wyższy, odważniejszy, silniejszy, dlatego że był znakomitym myśliwym. Oleg zazdrościł Dickowi umiejętności strzelania z kuszy i rzucania nożem, sztuki tropienia i zabijania nawet najsilniejszego zwierza, jego zimnej w swoim szaleństwie odwagi, a przede wszystkim całkowitej obojętności wobec tego, o czym marzył i co osiągnął on, Oleg. Osiągnięcia Olega były dla Dicka niedostępne, nawet nie próbował zrozumieć podręczników telekomunikacji czy logarytmów. A to było niesprawiedliwe i krzywdzące, bo niweczyło wagę wiedzy i umiejętności Olega tak dalece, że sam musiał się przekonywać o tym, iż pewnego pięknego dnia dowiedzie Dickowi swojej przewagi w wiedzy i mądrości, chociaż w istocie wolałby dowieść owej wyższości w walce z szakalem.

Czasami Oleg zaczynał tęsknić za Marianną, pragnął usłyszeć jej głos lub poczuć na sobie jej uważne spojrzenie. Jednak przez ostatnie miesiące rzadko się widywali, bo Oleg był ciągle bardzo zajęty i nie starczało mu krótkiego, mglistego dnia. Wszyscy mieszkańcy wioski byli stale zajęci, nawet dzieci, i stale zmęczeni z wyjątkiem niewidomej. Krystyny i Lizy, która nie lubiła pracować. Oleg musiał zrozumieć wszystko, co napisano o łączności w książkach, które przyniósł ze statku. Musiał tam wrócić i powiedzieć Ziemi, że tu są.

Koza biegła wzdłuż palisady i usiłowała odpędzić beczeniem siedzącego po przeciwnej stronie samotnego szakala. Dałaby sobie z nim radę, gdyby przedostał się przez ogrodzenie, była od niego dwa razy większa i silniejsza, dlatego drapieznik tylko się oblizywał, a ona go straszyla. To był udawany pojedynek.

– Cicho bądź! – krzyknął Oleg na kozę. – Idź spać.

Marianna pognęła kozę do obórki i zamknęła, a Oleg wziął kamień ze sterty, specjalnie w tym celu zgromadzonej przy wrotach i rzucił nim w szakala. Zwierz zrozumiał, że nic nie zwojuje i potrucał do lasu. Było bardzo cicho. Śnieg sypał leniwie i bezdźwięcznie. Oleg poczuł, że jest mu zimno.

– Dobranoc – powiedział do Marianny zamykającej Kozę w obórce. – Pójdę już, bo zamarzną.

– Dobranoc – odpowiedziała smutnym głosem, Oleg jednak tego smutku nie usłyszał. Ślizgając się po zimnym błocie, pobiegł do swojej chaty tworzyć od podstaw aeronautykę.

* * *

Balon stał się we wsi kością niezgody. Pomysł wydawał się ludziom szalony i nieziszczalny. Przy tym niezmiernie absorbujący, bo wymagał, aby wszyscy poświęcali mu swój czas. Prawie nikt nie wierzył w mrzonki chłopaka, z których przecież mogło nic nie wyjść. Ale Oleg miał również sprzymierzeńców.

Pierwszym jego sojusznikiem został Siergiejew, który, nie wdając się z nikim w dyskusje, zgodził się skonstruować i zrobić odpowiedni palnik. Na szczęście pędy drzew-kałamarnic, którymi opalano domy, składały się niemal w połowie z tłustej żywicy. Niezbyt pięknie pachniały, kiedy buzowały

fioletowym, gorącym płomieniem, spalając się niemal bez reszty, ale tego dawno już nikt nie zauważał. Siergiejew zrobił również prasę do wyciskania pędów żywicy, co dawało wielką oszczędność na wadze, a Stary, chociaż nie bez oporów, oddał swój uszkodzony mikroskop. Miał nowy, który Oleg przyniósł z „Polusa”, ale przechowywał pieczołowicie również stary, bez obiektywu. Z mikroskopu udało się zrobić palnik i zawór do regulacji płomienia.

Drugim sprzymierzeńcem stał się Kazik.

Balon był dla niego wielką przygodą i to przygodą ziemską. Przecież tylko na Ziemi ludzie latają balonami. Przez wiosnę Kazik zdołał przesłuchać, spokojnie i uprzejmie, wszystkich dorosłych w osiedlu, zmuszając ich do opowiedzenia powieści Juliusza Verne’a „Pięć tygodni w balonie”. Był przekonany, że wszyscy czytali tę powieść, ale dawno, w dzieciństwie i mnóstwo szczegółów zapomnieli. Jeśli jednak porozmawiać z każdym po kolei, jeśli każdy opowie fabułę książki, to można będzie uzyskać w miarę pełny obraz. Zdołał nawet wydusić ze swoich informatorów imiona bohaterów i zmusił Starego do narysowania balonu. Stary często rysował dla swych uczniów obrazki z życia Ziemi. Pierwsze pokolenie uczniów – Dick, Liza, Marianna i Oleg – musiało zadowalać się prymitywnymi wizerunkami kreślonymi na ziemi lub węglem na sosnowej korze. W ostatnim roku dzieciakom się poszczęściło. Pojawił się papier i Stary ogarnięty euforią zebraka, który nagle stał się nababem, zużył znaczną część zasobów na obrazki. Nieporadne, naiwne, ale prawdziwe obrazki: Wieża Eiffela, Kreml, Słoń, Kopuła Księżycowa, Pierwsza Lokomotywa, Karawela Kolumba – takich rysunków zebrano się z pół setki i można je było oglądać po każdej lekcji. Był też obrazek narysowany na prośbę Kazika i z jego poprawkami, bo chociaż nie umiał rysować, to jednak o balonach wiedział o wiele więcej niż Stary. Na tym obrazku balon opuszczał się na afrykańską sawannę, a za nim biegły słonie i żyrafy.

Ten właśnie obrazek Kazik przyniósł Olegowi, kiedy ten postanowił zabrać się do budowy balonu.

– Trzymaj – powiedział, patrząc z zadartą głową na Olega. – Tutaj jest wszystko.

Oleg wziął obrazek i długo mu się przyglądał. Zauważył, że z gondoli zwisa lina z kotwicą na końcu i pomyślał, że koniecznie trzeba zrobić taką kotwicę.

Gdyby nie Kazik, istnienie balonu stanęłoby pod wielkim znakiem zapytania. Przecież wiosna dopiero nastawała i mustangi, nie podejrzewając, jak bardzo potrzebne są Olegowi ich pęcherze, jeszcze nie ocknęły się ze śpiączki. Odnaleźć ich zimowe leża było niełatwo, więc Kazik z wierną Fumiko co najmniej dwadzieścia razy chodził do lasu, zanim się na nie natknął. Okazało się, że mustangi przeczekiwały mrozy w wielkich norach w sosnowym lesie, gdzie miękkie korzenie chroniły je przed śniegiem i chłodem.

Potem zaczęły się kłopoty z siecią, która miała obejmować powłokę balonu i podtrzymywać kosz. Wodorosty niezbędne do jej uplecenia zbierała Marianna z rudą Ruth. Ręce spuchły im od zimna i w końcu Linda zabroniła córce łązić po bagnach. W tej sytuacji Oleg musiał wszystko rzucić i samemu zająć się zbieraniem wodorostów. Co prawda czasami pomagały mu dzieciaki, bliźniaki mieszkające u Starego i dzieci Veitkusa, ale to zajęcie je zużyło, szybko więc się gdzieś ulatniały.

Z samego rana, gdy tylko się rozwidniło, Marianna z Olegiem szli dobrze już wydeptaną ścieżką na bagna za cmentarzem. Z każdym dniem musieli wędrować coraz dalej, brnąć po kolana w lodowatej wodzie, która drażniła nogi nawet przez nieprzemakalne spodnie z rybiej skóry. Wodorosty trzymały się w gruncie tak mocno, że trzeba je było ścinać. Elastyczne, białawe wodne włosy wrywały się z rąk, a ciąć je było trzeba przy korzeniu, żeby uzyskać jak najdłuższe włókna.

Nogi się ślizgały, krwiożercze, ale na szczęście jeszcze niezbyt zwawę pijawki czepiały się pazurkami spodni, a niechący nadepnięte wielkookie kraby przyskały w panice na boki. Czasem też podpływał ciekawski żelaźniak i wówczas trzeba było wycofywać się na brzeg i czekać, aż znów zapadnie się w trzęsawisko.

Oleg starał się zebrać więcej niż Marianna, ale mimo wszystko pozostawał za nią w tyle i zaczynało mu się wydawać, że nigdy nie zbiorą dość surowca na tę piekielną siatkę. Zresztą to jeszcze nie było wszystko. Wodorosty należało odnieść potem do szopy i rozłożyć na podłodze do wysuszenia. Włókna schły wolno, bo było jeszcze zimno i bardzo wilgotno.

Przeciwno budowie balonu najgłośniej oponowała matka, którą perspektywa podróży powietrznej Olega śmiertelnie przerażała.

– To samobójstwo – powtarzała Siergiejewowi. – Jak możecie się na coś podobnego z taką obojętnością godzić! Gdyby to były wasze dzieci, nigdy byście do tego nie dopuścili.

Te lamenty matki tylko Olega drażniły.

– Skończę niedługo dwadzieścia lat – powtarzał zmęczony. Był zmordowany jak nigdy dotąd, bo Siergiejew nie ograniczył zajęć z elektroniki, a i bieżącej roboty w warsztacie było pod dostatkiem.

Kiedy jednak do matki w narzekaniach dołączył Veitkus, chłopak nagle wybuchnął:

– Czego wy ode mnie chcecie? Przestałem pracować? Nie buduję młyna? Nic robię pługą? Nikogo nie zmuszam do pomocy i jeśli przyjdzie mi samemu zajmować się balonem, to Bak będę go robił. Braciom Montgolfier też pewnie wszyscy mówili, że na próżno tracą czas. A gdyby ich nie było, nie wylecielibyśmy tutaj statkiem kosmicznym. Wszystko się od czegoś zaczyna.

Veitkus roześmiał się, a właściwie zbulgotał z głębi swojej ogromnej rudej brody.

– Lepiej, żeby braci Montgolfier nie było – powiedział wreszcie. – Wówczas zamiast się tułać po obcych światach, spokojnie siedzielibyśmy w domu.

– Ja wcale nie żartuję – powiedział Oleg.

– Szkoda. Samego siebie zawsze trzeba traktować z przymrużeniem oka, umieć się pośmiać z siebie.

– Wcale mi nie do śmiechu. Matka krzyczy. Luiza mówi, że gra nie jest warta świeczki, Stary utrzymuje, że ryzyko jest zbyt wielkie, a cała reszta myśli, że ja się po prostu bawię. Dlaczego nikt nie chce mnie zrozumieć?

– W gruncie rzeczy bawisz się – powiedział Veitkus. – Grasz w bardzo pożyteczną grę, zupełnie jednak egzotyczną dla nas, zwykłych śmiertelników.

– Czyżbyście wszyscy nie chcieli się stąd wydostać?

– Bardzo chcemy. Starsi nawet bardziej niż ty. Wiemy, co straciliśmy, a ty się tylko tego domyślasz. Jednak nawet w takiej dziwnej zbiorowości jak nasza osada wytwarzają się stereotypowe zachowania wobec innowacji, niewiele tylko późniące się od tych, które funkcjonują w bardzo wielkich miastach. Wyprawa na statek, to rzecz rozumiała, wszyscy to robili. Polowanie też jest rozumiałe, bo coś przecież trzeba jeść. Ale lot balonem w góry to szaleństwo, dziecięcy typ ryzyka. To marzenie Kazika, a nie sprawa człowieka, na którego cała osada liczy w zupełnie innej dziedzinie...

– Ale piesza wyprawa też jest niebezpieczna!

– Owszem, ale ma dziesięciokrotnie większą szansę pogodzenia. Droga jest już znana. Będziecie wyposażeni o wiele lepiej niż rok temu. Macie większe doświadczenie. Osobiście jestem zwolennikiem rozwiązań tradycyjnych, nawet jeśli owe tradycje pochodzą sprzed roku. Stawka jest

zbyt wysoka.

Oleg mimo wszystko nie poddawał się, chociaż z wyjątkiem Siergiejewa, który zaraz na początku obliczył objętość powłoki i doszedł do wniosku, że balon może się wznieść w powietrze, pozostali sędzieli, wręcz liczyli na to, że z całej tej balonowej afery nic nie wyjdzie.

Dick, podobnie jak dawniej, nie zazdrościł Olegowi. Wystarczała mu własna przewaga w tych dziedzinach życia, w których był bezkonkurencyjny. Sam chętnie poleciałby balonem, ale nie do statku, lecz w przeciwnym kierunku, ku tajemniczym lasom i rzekom kryjącym się za pasmem wzgórz. Tam leżało pole jego zwycięstw i prób. Dick chciał zobaczyć świat z góry, z lotu ptaka, ale wołał o tym nie mówić. Oleg tego nie rozumiał i niezmiernie się zdziwił, kiedy Dick też odszukał leże mustangów i przyniósł cały worek pęcherzy.

Nieoczekiwanym wrogiem lotu okazała się też Liza.

Oleg unikał jej w takim stopniu, w jakim w ogóle można unikać współmieszkańca małej osady. W każdym razie, jeśli Liza przychodziła do nich, szukał pretekstu, żeby wymknąć się do warsztatu lub choć za przepierzenie do Starego, żeby tam się pouczyć, bez słuchania babskiego gadania. Zdumiewała go matka, która z niezwykłym zapałem rozmawiała z Lizą o jakichś drobiazgach, rzeczach najwyraźniej niewartych wspomnienia. Jeszcze pół biedy, kiedy dyskutowały o przepisach kulinarnych, przechwalając się nawzajem umiejętnością łączenia słodkich kłaczy z kaszą lub orzeszkami, to w końcu była ich sprawa. Gorzej, że miały zwyczaj wydawania sądów o innych ludziach. Nie chcąc słuchać tych rozmów, ale nie będąc w stanie ich nie słyszeć, bo głosy przenikały nawet przez ściankę, dowiedział się na przykład, że Linda źle wychowuje rudą Ruth, bo myśli raczej o tym, jak złowić Siergiejewa. Duża Luiza podkarmia Kazika, bo taki mizerny, a Marianna ciągle brzydnie i musi mieć coś nie w porządku z przemianą materii (to były słowa matki, których Liza nie rozumiała, ale natychmiast się z nimi zgodziła). Dziewczyna ma już osiemnaście lat, a wygląda jak niedorozwinięty dwunastolatek. Oleg nawet rozkaszał się w tym miejscu, by im uprzytomnić, że wszystko słyszy, na co Liza roześmiała się wysokim głosem. Natychmiast ją sobie wyobraził, tylko na podstawie głosu, chociaż zupełnie nie miał ochoty o niej myśleć. Liza była najgrubsza z całego młodego pokolenia. To znaczy nie tyle gruba, ile rozrośnięta, inaczej Oleg nie potrafił tego określić. Miała duże piersi i szerokie biodra. Liza często się śmiała, kiedy rozmawiała z Dickiem lub Olegiem i raz Oleg spostrzegł, że Dick patrzy na nią jak na myśliwski łup. Któregoś razu, kiedy Liza wyszła, a Oleg po powrocie od Starego kładł się do łóżka, matka zapytała go, czy przypadkiem nie pora pomyśleć o rodzinie. Oleg nawet nie rozumiał, o co jej chodzi.

– O małżeństwo – wyjaśniła matka.

– Z kim? Może z Lizą? – roześmiał się Oleg.

– Życie toczy się naprzód nawet w takich koszmarnych warunkach – powiedziała matka. –

Uważaj, żebyś nie przegapił dziewczyny. Dick tylko czeka...

– I bardzo dobrze!

– Nie masz wyboru.

– Polecę na Ziemię i tam rozwiążę wszystkie swoje problemy.

– Kretyn! – powiedziała matka. – Dojdzie do tego, że w końcu zakochasz się w tym głodomorze.

– Marianna przynajmniej nie jest idiotką – powiedział Oleg i odwrócił się do ściany.

* * *

Wiosna była wczesna i ciepła. Siergiejew, który obserwował i odnotowywał nie tylko upływ

czasu, lecz także kalendarz, powiedział, że zgodnie z jego wyliczeniami również lato powinno być ładne.

Najpierw deszcze zmyły resztki śniegu, który tylko w głębi lasu utrzymał się nieco dłużej, potem zaś padało coraz rzadziej i przez dzień powietrze nagrzewało się przez chmury do tego stopnia, że dzieciarnia porzuciła bluzy i biegała obnażona do pasa. Słońce wznosiło się już tak wysoko, że można je było dojrzeć przez wieczne chmury jako rozmytą, ale jaskrawą plamę światła. Koza przeżyła kolejny miodowy miesiąc i teraz spokojnie pasła się za palisadą, oczekując na powiększenie się rodziny.

Z południa wróciły szakale, które wywędrowały tam za zwierzyną. Na ogrodzeniu siadały pierwsze ptaki, głośno łopocąc błoniastymi skrzydłami. Pojawiła się meszka i kiedy dzieciaki i kobiety pod przewodem Veitkusa pracowały w warzywniku, trzeba było rozpalać dymne ogniska. Jednego z bliźniaków od Starego ugryzła śnieżna pchła i dzieciak przygryzł sobie język do krwi.

Lato dopiero się zaczynało, ale Oleg był coraz bardziej podenerwowany i niepewny. Bał się, że zostało mu zbyt mało czasu, że niczego nie zdąży zrobić, że przede wszystkim nie zdąży się nauczyć wszystkiego co niezbędne, żeby po dotarciu na statek mógł naprawić radiostację. Teraz często zwalniano go od wspólnej pracy – zupełnie przestał chodzić na polowania, nie proszono go o pomoc w uprawie warzywnika. Nawet Siergiejew w warsztacie burczał na niego, żeby nie plątał się pod nogami, a wieczorami surowo przepytował z tego, co przestudiował. Irytował się przy tym tak bardzo, iż Oleg pojął, że sam Siergiejew mało co rozumie.

A tymczasem balon, wbrew niemal powszechnemu oporowi, stawał się powoli faktem. Kiedy ustały deszcze i Plujak, którego Kazik i Fumiko napychali robakami, zaczął strzykać śliną z taką zaciekłością, że wokół klatki utworzyło się szkliste jeziorko, pod wiatą między warsztatem a jabłonią Oleg z Marianną zaczęli przykrawać i sklejać z pęcherzy powłokę. Najpierw z pomocą Siergiejewa wyrysowali na ziemi jej wykrój przypominający kwiat o zaokrąglonych płatkach. Był tak wielki, że Fumiko z trudem dorzucała kamyk od brzegu do brzegu. Sto dwadzieścia kroków. Następnie Marianna z Olegiem zaczęli sklejać segmenty balonu – płatki. Pęcherzy, których wydawało się tak dużo, natychmiast zabrakło i Kazik z Dickiem znowu musieli wyprawiać się na mustangi.

Stosunek osady do balonu stopniowo się zmieniał, widać ludzie przywykli. Nawet matka przestała krzyczeć. Liza kilka razy przychodziła pomagać w klejeniu powłoki, a potem razem z Krystyną, która z nieoczekiwaną biegłością splatała sieć, skręcała sznurki. Veitkusowie splatali z cienkich gałązek kosz na gondolę.

Ale mimo wszystko nikt równie poważnie jak Oleg budowy balonu nie traktował. Nawet Marianna. Pozostawał wprawdzie Kazik, ale to był jeszcze dzieciak, dziki człowieczek wierzący w głębi duszy, że ostatecznie dotrą balonem do Indii. Nieraz się zdarzało, że kiedy jeszcze cała wieś spała, a czarne niebo dopiero zaczynało lekko szarzeć, Oleg gnany wciąż rosnącą niecierpliwością wychodził na ziąb i oglądał rozłożone na ziemi lśniące płatki. Wówczas z reguły, bezszelestnie jak prawdziwy Mowgli, Kazik pojawiał się obok niego. Biegł do klatki zbudzić Plujaka i w milczeniu pomagał Olegowi.

Potem trzeba było skleić płatki wzdłuż krawędzi w gruszkowatą powłokę. Nawet przy największej staranności klej kapał na ręce, palce szklily się i drewniały. W dodatku rankami należało wystrzegać się kolczastych kul dmuchawca, które wznosiły się w powietrze i leciały na poszukiwanie niedźwiedzia, aby wstrzelić w niego swoje nasiona. Wreszcie balon został sklejonny.

Później wykończono sieć i nawet linę z kotwicą do zaczepienia o ziemię. Palnik zrobił

Siergiejew na czas i wyłoczono cały wielki drewniany zbiornik paliwa, i wypleciono elastyczny, mocny kosz. Można było przystąpić do montażu aerostatu.

Stary nalegał, żeby pierwszy start balonu odbył się bez człowieka w gondoli. Niech, jeśli w ogóle się uniesie, powisi trochę, a potem wyląduje. Jednak Oleg sprzeciwił się temu, a Siergiejew go poparł. Przecież należało wypróbować nie tylko sam balon, ale również palnik, trzeba było się przekonać, czy balon usłucha człowieka.

– Skróćcie linę – powiedziała matka.

Oleg tylko się uśmiechnął. Linę splatała Liza z Krystyną. On również im pomagał, chociaż zupełnie nie miał na to czasu. Doskonale rozumiał, że Liza robi to tylko dlatego, żeby mu sprawić przyjemność. Ze dwa razy wpadł wieczorem do domu, w którym mieszkała Liza z Krystyną, wysłuchiwał niewidomej, która bez przerwy uskarżała się na los i tęskniła do śmierci – i pomagał związać tę długą linę. Mógłby tam wcale nie przychodzić, bo powroźnik był z niego żaden, a Liza zamiast pracować, gapiała się na niego i szukała sposobności, żeby choć musnąć go ręką. Oleg próbował to znosić, słuchał czezej gadaniny, starając się myśleć o czymś innym, aż wreszcie nie wytrzymał i uciekał do siebie lub do warsztatu.

Wiedział, że jako pierwszy polecą balonem on i nikt mu tego prawa nie odmawiał – balon był niejako jego własnością, bo bez jego uporu nigdy by nie powstał. Kazik przez ostatnie dni chodził za nim krok w krok i liczył na cud, który sprawi, że on również weźmie udział w pierwszym starcie, ale Oleg był nieubłagany. Nie tylko dlatego że tak nakazywał rozsądek. Chodziło mu również o satysfakcję. Nikt nie wierzył, że balon będzie. Ale jest. I to jest jego balon. Nie, naturalnie jest wspólny, zrobiony przez wszystkich, ale jednak jego. I to on nim polecą.

Być może ktoś domyślał się jego pobudek, ale nikt nie powiedział tego na głos. Nikt poza Starym.

* * *

Rankiem dnia, na który zaplanowano start, Stary zapytał:

– Uważasz się za Napoleona?

– Dlaczego? – zdziwił się Oleg. – Nigdy nie widziałem Napoleona nawet na obrazku. I nie wiem, co on zrobił.

– Wiesz – powiedział Stary, przyglądając się Olegowi. Chłopak wyrósł przez zimę, zmężniał, włosy mu pociemniały, ale zachowały puszystość. Natomiast twarz stwardniała, utraciła dziecięcą miękkość.

To była mądra twarz. Może twarz człowieka niedostatecznie silnego, ale wytrwałego. Przyjemna twarz.

– W porządku, wiem – uśmiechnął się Oleg. – Podbił pół Europy.

Naciągnął buty i sprawdził, czy szczelnie przylegają do spodni. Veitkus powiedział, że w powietrzu będzie zimno. Jak w górach.

– Czy to mało? – zapytał Stary.

Przybiegły bliźniaki, wychowanki Starego, beztroskie istotki, wybuchające z byle powodu śmiechem i skłonne do nieprzemyślanych psikusów. One również, podobnie jak cała osada, czuły, że dziś jest uroczysty dzień. Wiedziały, że Oleg, ten bardzo zwyczajny Oleg, który mieszka za przepierzeniem i ma złą matkę, polecą dziś do nieba.

– To za proste – powiedział Oleg. – Zupełnie jak wzór matematyczny. Aleksander Macedoński podbił pół świata. Napoleon podbił pół Europy, Hitler usiłował podbić ją całą. Juliusz Cezar też coś

podbił. Zdaje się, że Egipt. Żadnego z tych ludzi już nie ma. Dla mnie nie istnieją nawet związane z nimi pojęcia. Pan ich widzi inaczej. Zna ich wizerunki, czytał książki o nich. Są dla pana niezwykli, a dla mnie zwyczajni. Przecież ja nawet Europy nie widziałem.

– No cóż, trudno ich nazwać ludźmi zwyczajnymi – zaoponował Stary. – Właśnie niezwykłość sprawia, że się o nich pamięta. Dobra, zła, ale niezwykłość.

– Dla pana tak, zgoda. Pan mógłby wedle nich mierzyć swoje istnienie. Ja nie mogę. Kiedy miałem około dwunastu lat, zaczął mnie nagle męczyć problem, co to znaczy „podbił”? Zapytałem więc w klasie, czy był inny Napoleon, który podbił nie pół, lecz ćwierć Europy. Odpowiedział mi pan wtedy, że różnica między zdobywcami polega jedynie na długości ich sukcesów. I że nie było ani jednego, który osiągnąłby zamierzony cel.

– Pamiętam – skinął głową starzec. – Powiedziałem jeszcze, że nie znamy tych, którzy doznali porażki u początku drogi, bo w każdym starciu musi być strona przegrywająca.

Powiedziałem też, że każdego Napoleona czeka jego własne Waterloo, jeśli nie zdąży zginąć wcześniej. Pamiętam.

– No właśnie – powiedział Oleg, podskakując na miejscu, żeby sprawdzić, czy wszystko ma dobrze przytroczone. Wziął manierkę ze słodką wodą i przewiesił ją sobie przez ramię.

– Podbijanie jest normalnym zajęciem zwycięzców. I wszyscy z nich są tacy sami. Ale to obce mi i niezrozumiałe zajęcie. Podobnie jak handel. Dla mnie niezwykły jest ten, kto robi coś po raz pierwszy.

– Obiektywnie rzecz biorąc masz rację – zgodził się Stary.

– Ale nazwałem cię Napoleonem z zupełnie innego powodu. Cała osada wyległa na dwór, bo dzisiaj wypuszczasz swój balon.

– No, nie ja sam.

– Dzisiaj działanie wszystkich podporządkowane jest twojej woli, choćbyś sobie z tego nie zdawał sprawy. Dlatego wyobraziłem sobie taką scenę... Nie widziałem jej nigdy, ale w przeciwieństwie do ciebie potrafię ją sobie wyobrazić. Wczesny ranek gdzieś w Austrii lub Prusach na początku dziewiętnastego wieku. Napoleon spędził noc w niewielkim, schludnym zajeździe. Obudził go hałas i jeszcze nie całkiem przebudzony podchodzi do okna, otwiera je na oścież. Wszystkie ulice i rynek miasteczka zatłoczone są wozami, furgonami markietanek, końmi ciągnącymi armaty. Idą ludzie, rżą konie, turkoczą koła. I nagle Napoleon pojmuje, że ten niezmierny ruch ma pewną dziwną cechę, że został przez kogoś zapoczątkowany, że z jakiegoś powodu narasta, potężnieje... I że ci żołnierze nie dlatego czekają na śniadanie stłoczeni wokół kuchni polowej, że lubią pożywiać się właśnie w ten sposób, że te działa wjeżdżają na plac wcale nie dlatego, że artylerzyści nie mają nic lepszego do roboty, że cały ten ruch zbiorowiska losów i żywotów ludzkich dokonuje się z jego, Napoleona woli. Z woli człowieka, któremu przez całą noc dokuczał bolący ząb i który nagle zapragnął krzyknąć w otwarte okno: „Ludzie! Wracajcie do domu!”.

– I krzyknął? – zapytał Oleg.

– Obserwuję u ciebie immanentną cechę wielkiego człowieka – Stary był niezadowolony. – Zanik poczucia humoru.

Do domu zajrzał Kazik i pełen napięcia znieruchomiał w progu. Mowgli w żaden sposób nie mógł się pogodzić z tym, że dziś nie polecą. Nie rozumiał, że najważniejsze jest, aby balon w ogóle wzleciał, chociażby bez niego, bo jeśli dziś wzniesie się w powietrze, to następny lot bez Kazika się

nie obędzie.

– Idę – powiedział Oleg. Był gotowy.

Razem z Kazikiem wyszedł z domu, a za nimi wolno ruszył Stary, ciężko wspierając się na lasce. Laska była nowa i spokojna. Starą, gładką i srebrzystą, wyciął mu jesienią Dick w syczących zaroślach. Wszystko było w porządku, zanim nie nadeszła wiosna. Wówczas pewnego pięknego dnia laska wypuściła lepkie pędy i próbowała wysliznąć się z domu, w którym Stary prowadził lekcję. Uganiała się za nią cała klasa, wreszcie ją złowiła, ale ostatecznie wypuściła na wolność. Laska dopęłzła do palisady, puściła tam korzenie i przekształciła się w bujny krzew. Stary usłyszał kiedyś, jak chłopcy, wybierając się na ryby, umawiali się „koło laski” i natychmiast zrozumiał, co mieli na myśli.

Oleg, będąc już na polanie, odwrócił się i popatrzył na wolno kuśtykającego starca. Nagle zrobiło mu się go żal. Stary niedługo umrze. Coraz trudniej mu chodzić, często choruje i nawet prowadzenie lekcji staje się dla niego zbyt męczące. O wszystkim zapomina i wszystko gubi. Dobrze, że dzieci podrosły i niedługo odlecą na Ziemię. Stary bardzo wiele zrobił. Gdyby nie jego szkoła, nikt nie potrafiłby nauczyć dzieci tak wielu rzeczy.

Na równym gruncie za szopami leżał pofałdowany tłumok powłoki, do której wnętrza palnik wtłaczał z sykiem gorące powietrze. Pracował zresztą na razie zjedną czwartą wydajności, bo dowodzący startem Siergiejew nie chciał ryzykować.

Balon przypominał wielkiego górskiego słonia, bezkształtną górę mięsa podrygującą we śnie. Jeszcze o świcie balon był po prostu wielką stertą lśniącej błony i sieci z doczepionym do niej koszem. Teraz wszystko się zmieniło. Balon ożywał.

Koza z koźletami przystanęła z boku, zerkając z lękiem na całe zamieszanie.

Kiedy Oleg podszedł, stojący obok kosza Siergiejew, zapytał:

– Zwiększyć płomień?

Zwracał się do Olega jak do równego sobie. Również uznawał balon za własność Olega, podobnie jak wszyscy wiedzieli, że lustro jest własnością Marianny, co zresztą nic znaczyło, że lustro nie należy do wszystkich. Przecież Mariannie nawet nie mogło przyjść do głowy odmówić komuś, kto chciałby się przejrzeć, prawda?

– My też potem polecimy? – zapytała ruda Ruth. Wszystkie twarze wydawały się Olegowi bardzo wyraźne, jakby patrzył na nie przez szkło powiększające. Patrzył niby nieuważnie, ale wszystko odnotowywał...

Oto biegnie Marianna ze słoikiem kleju – zauważyła, że jakiś szew powłoki przepuszcza powietrze.

Oto Duża Luiza, ciężka, otyła kobieta o nalanej twarzy poprawia sieć zaczepioną o pręty kosza.

Oto...

Balon drgnął, jakby westchnął i jakoś od razu zrobił się krągłyjszy.

Oleg pochylił się, by sprawdzić, czy wystarczająco mocno przywiązany jest do ziemi.

Od palików głęboko wbitych w grunt biegły mocne postronki, a w pobliżu kosza był zakopany wygięty pręt z drzewa żelaznego – kotwica. Obok leżał porządny zwój grubej liny.

Balon jeszcze raz westchnął. Teraz był już prawie okrągły i dotykał ziemi tylko w jednym miejscu.

– Może już wejść do kosza? – zapytał Oleg Siergiejewa nieoczekiwanie wysokim głosem. Przestraszył się, że ludzie spostrzegą zdenerwowanie i zaczną się śmiać; Pomyślał: „Nie jestem

Napoleonem. Nie pragnę podbojów, lecz niezwykłych dokonań. Nie chcę, aby przeze mnie ludzie musieli żywić się w kuchniach polowych i strzelać z dział. Ludzie znajdują się W ruchu nie z mojego rozkazu, ale jeśli zdołam im ten ruch ułatwić, jeśli moje działania pomogą im w osiągnięciu ich celów – będę niezmiernie rad”.

– Jeszcze za wcześnie, nie odleci bez ciebie – odpowiedział Siergiejew. Był bardzo poważny.

Nieoczekiwanie balon uniósł się, oderwał od ziemi, ale natychmiast znów opadł. Rzadka sieć wbiła się w ciało powłoki i cienka błona wylazła pęcherzami przez oka.

– Lepszy byłby sztywny materiał – powiedział Veitkus. – Na przyszłość lepiej będzie wzorować się na konstrukcji sterowców.

– Na czym? – zapytał Oleg, dla którego słowo „sterowiec” było pustym dźwiękiem.

– Jeśli pokryć powłokę balonu cienką warstwą kleju, to stanie się ona sztywna i bardziej wytrzymała – odparł Veitkus drapiąc się w brodę.

– Czemuś tego wcześniej nie powiedział?! – Oleg natychmiast ocenił piękno tego pomysłu i obraził się na Veitkusa, że go przed nim ukrywał.

– Bo dopiero teraz przyszło mi to do głowy – odparł zmieszany Veitkus.

– Taka powłoka byłaby o wiele cięższa – zauważył Siergiejew.

W tym momencie balon ostatecznie oderwanie od ziemi i jakoś krzywo poszybował do góry.

Oleg już dalej nie czekał. Wdrapał się do kosza i stanął na jego dnie, trzymając się burty obiema rękami.

Kosz był niewielki. Miał jakieś półtora metra średnicy i sięgał mu do pasa. Ciasnotę powiększał jeszcze stojący pośrodku zapas paliwa i kilka worków piasku – bo przecież każdy balon zabiera na pokład balast...

Balon wolno kołysał się nad głową i do dolnej krawędzi powłoki, pod którą był umocowany palnik, można było dosięgnąć ręką. Oleg sprawdził ręką liny mocujące kosz do sieci. Liny były mocne.

Kosz stał na ziemi, można było łatwo przeskoczyć przez jego burtę i stanąć na miękkiej młodej murawie, ale Oleg czuł się lekko wyobcowany, jakby już wszyscy inni zostali daleko w dole.

Kosz gwałtownie drgnął. Balon napiął liny starając się unieść go w powietrze.

– Poleci, poleci, odwiążujcie! – krzyknęła ruda Ruth.

– Cicho bądź! – skarcił ją Siergiejew. – Jeszcze za wcześnie.

Oleg z zadartą do góry głową patrzył na balon, który był tak wielki, że zasłaniał pół nieba. Ogromny i brzydki – nierówno sklejonny, poskręcany i jakby pryszczaty, poprzecinany węzlastymi linkami sieci. Półprzezroczysta, biaława powłoka odbijała trawę i krzywe chałupiny osady. A jednocześnie w tym nieporadnym ogromie wyczuwało się dziwną siłę przejawiającą się w dążeniu do zerwania się z uwięzi, w naprężeniu linek podtrzymujących kosz i w dudniącym syku palnika, którego odgłos wzmacniany był w trzewiach olbrzymiej powłoki.

Teraz balon wisiał dokładnie nad głową, a linki były silnie napięte. Oleg zagapił się i nie od razu spostrzegł, jak na sygnał Siergiejewa ludzie pochylili się nad palnikami, do których były przywiązane liny.

– Trzymaj się, Oleg – powiedział Siergiejew. – Będziemy odwiązywać. Trzymaj się mocno, bo może szarpnąć.

– Trzymam się! – odkrzyknął Oleg, patrząc jak Veitkus nisko przygięty do ziemi rozplątuje węzeł.

Mało jednak brakowało, żeby wypadł z kosza.

Chociaż Siergiejew bardzo się starał, żeby linki zostały zwolnione równocześnie, to jednak siły jego pomocników były bardzo nierówne. Veitkus już swoją odwiązał i mocno trzymał w rękę, zaś Dick wyprostował się z lekkim uśmiechem, demonstrując wszystkim obecnym, że całą aferę z balonem uważa za niepoważną zabawę. Swoją linkę trzymał od niechcienia, bo balon, choć taki duży, wydawał mu się łatwy do opanowania. Z drugiej strony kosza Duża Luiza wspomagana przez Veitkusową trochę się spóźniła z odwiązywaniem zasupłanej liny. Balon jakby tylko na to czekał. Lekko pociągnął za liny, przekonał się, że z jednej strony jeszcze mocno trzymają się ziemi, a z drugiej już są luźne, poczekał na lekki poryw wiatru i porządnie szarpnął.

Veitkus był przygotowany na to szarpnięcie. Całym ciężarem zawisł na linie, ale druga linka gwałtownie pomknęła w górę, rozorała Dickowi dłonie i wyrwała się, odrzuciwszy go na ziemię. Dick natychmiast zrobił szalony przewrót przez głowę, zerwał się na równe nogi i spróbował chwycić linę. Było już jednak za późno. Gwałtownie szarpnięty kosz przechylił się na bok, Oleg upadł na zbiornik z paliwem przytłoczony workami piasku. Kosz odrzucił w bok Dużą Luizę, przygniótł Veitkusową, a potem balon szarpnął jeszcze raz, zachwiał się w drugą stronę, przewrócił Veitkusa, wyrwał pozostałe liny i z palikami majtającymi się na ich końcach pomknął do góry.

Kosz telepał się pod nim jak miotane wiatrem piórko. Wszystko to trwało zaledwie parę sekund pełnych trzasku, krzyku i huku powietrza.

Zaraz po tym nastąpiła cisza, krótki okres ciszy, w którym słychać było tylko cichy płacz Fumiko. Dziewczynka zaczęła płakać już zawczasu, bojąc się o Olega.

Milczeli wszyscy. Nawet Veitkusowa, której kosz mocno pokaleczył rękę, wciąż jeszcze leżąca na ziemi Luiza, Siergiejew, Veitkus i nawet dzieci. Wszyscy patrzyli w górę, bo tam, w koszu, był Oleg.

Tylko matka Olega trwała z zamkniętymi oczami, ponieważ z przerażającą jasnością wyobraziła sobie, jak ciało jej syna wypada z kosza i leci z rozrzuconymi rękami ku ziemi.

A dla Olega wszystko potoczyło się bardzo szybko: w mgnieniu oka upadł na dno gondoli, a zaraz potem niczym zmora zwałił się na niego worek z piaskiem. Zrozumiał, że leci, że niczego pod nim nie ma, a ziemia została gdzieś daleko, ponieważ kosz kołysze się swobodnie i lekko, a przez szczeliny w dnie widać światło.

Bardzo wolno, sparaliżowany lękiem wysokości, uniósł się na czworaki, czując jednocześnie, że kosz kołysze się coraz wolniej, a wypełniona gorącym powietrzem powłoka coraz pewniej ciągnie go w górę.

Kiedy tak się podnosił, stopniowo wracało mu poczucie rzeczywistości, jakby narządy zmysłów włączały się po kolei, meldując mu, co się dzieje dookoła. Syczał palnik, oka sieci przesuwwały się z szelestem po powłoce, skrzypiały pręty kosza pod nogami, a z dołu dobiegał cieniutki płacz dziecka.

Postanowił wstać. Chwycił mocno za krawędzie kosza i już gotów był się wyprostować, ale na szczęście nie zdążył tego zrobić, bo gondolę tak gwałtownie szarpnęło, że omal nie wypadł na zewnątrz. Oleg natychmiast domyślił się, że rozwinęła się cała lina, którą kosz był przymocowany do kotwicy.

Ruch w górę ustał, chociaż balon nadal usiłował się uwolnić, przez co kosz dygotał i miotał się na boki.

Ludziom pozostałym na dole wydawało się, że upłynęło bardzo wiele czasu. Przez niemal minutę wszyscy patrzyli w górę i milczeli. Balon uniósł się na jakieś sto metrów – dalej nie puszczała go

lina – i zaczął wolno przesuwając się w stronę lasu, jakby usiłował oszukać linę mocno przykuwającą go do ziemi.

Olega wciąż nie było widać, ale przynajmniej pozostawał w koszu.

Siergiejew, który pierwszy oprzytomniał, już zamierzał zawołać do Veitkusa i Dicka, żeby pomogli mu ściągnąć balon w dół, kiedy zorientował się, że najpierw trzeba zakręcić palnik, bo teraz siła nośna jest zbyt wielka i nie da się jej przewyciężyć. Wówczas rozkrzyczała się Irena.

– Synku! – wołała, zakłócając uroczystą ciszę lotu. – Synku, żyjesz? Synku!...

Oleg usłyszał ten krzyk i zrobiło mu się wstyd, że matka woła go jak dzieciaka, ale potem przemknęła mu myśl, że nawet Napoleon pewnie miał matkę, wychylił się więc z kosza i, mocno trzymając się linek, krzyknął w dół:

– Wszystko w porządku!

Malutka figurka Olega, a właściwie ciemna sylwetka głowy i ramion była doskonale widoczna z ziemi. Wszyscy zaczęli krzyczeć, dzieci podskakiwać, a Irena rozplakała się na cały głos.

Balon wolno płynął nad głowami. To był prawdziwy statek powietrzny, który może polecieć do nieba.

Stary pomógł siedzącemu wciąż na ziemi Veitkusowi podnieść się i powiedział do niego:

– A potem wynaleźli żeglugę powietrzną. – Veitkus uśmiechnął się.

– Przykręć palnik! – krzyknął Siergiejew. – Zmniejsz siłę nośną! Słyszysz mnie?

– Doskonale słyszę! – odezwał się Oleg i jego głowa zniknęła. Oleg odwrócił się do palnika i zaczął ostrożnie redukować płomień.

Nie przykręcał go jednak zbyt silnie, bo teraz, kiedy wszystko się powiodło, wcale nie miał ochoty wracać na dół. Jeszcze raz wychylił się i pomachał ręką.

– Wszystko w porządku! – zawołał jeszcze raz. I zobaczył osadę z góry.

Całą. Błotniste koryto uliczki, wzdłuż której ciągnęły się tak żałośnie wyglądające z góry chatki, zobaczył krzywe dachy szop i warsztatu, nierówną linię palisady. Zobaczył też malutką garstkę nierozpoznawalnych ludzików wymachujących rękami, podskakujących w dzieciennym tańcu radości. Zobaczył Krystynę siedzącą na progu swojej chaty. Może nie chciała przyjść do balonu, a może w tym całym zamieszaniu po prostu o niej zapomniano... Z boku stała Koza z pyskiem zadartym do góry. Nigdy jeszcze nie widziała latających słoń.

Spojrzenie Olega przeniosło się dalej, za palisadę, gdzie zaczynała się wąska smuga łąki, a zaraz za nią las. Po raz pierwszy widział go z góry. Kłębowisko białawych nagich gałęzi, gdzieniegdzie brunatne i zielone plamy porostów i lian ciągnące się do bagna. Z lotu ptaka bagno, takie przecież rozległe, wydaje się całkiem niewielkie. Za nim rozciągają się zarosła, a dalej znów las, zwarty, zbity las nikiący w półprzeźroczystej mgiełce.

Ostrożnie przeszedł na drugą stronę kosza. Teraz widział początek drogi, którą szli ku góróm, do „Polusa”. Znowu las, za nim pustkowienie i czerwone skały wyrastające z lasu.

Jeszcze dwa kroki w prawo.

Też las, tyle że poprzecinany splachciami stepu, na którym poluje się na jelenie, i ciemna ściana odległego boru, do którego rzadko kiedy docierają co odważniejsi myśliwi i zbieracze. Nie ma tam większej zwierzyny, a w wilgotnym półmroku czają się drapieżne kwiaty i liany.

Nadleciał poryw wiatru. Kosz zadygotał.

Oleg rozumiał, że powinien jeszcze bardziej przykręcić płomień.

Ludzie w dole czekają na jego powrót. Rozumiał to, ale nie mógł oderwać wzroku od

rozciągających się przed nim przestworów. Przystał być mrówką pełzającą w trawie i wznosił się nad światem jak ptak. Zupełnie odmienna skala tego powietrznego świata sprawiła, że Oleg poczuł się większy i potężniejszy od ludzików czekających nań w dole. To uczucie było w jakiś sposób pokrewne temu, jakiego doznał, kiedy po raz pierwszy zobaczył za przełęczą w górskiej dolinie przysypaną śniegiem gigantyczną soczewkę statku kosmicznego. Ale tamten statek był jedynie martwym pomnikiem potęgi ludzkości, a ten lot był jego zasługą. Jego własną. Oleg zrozumiał, że najchętniej przeciąłby linę, uniósł się ponad chmury, zapuścił wzrok jeszcze dalej, poleciał nad tymi lasami, nie kryjąc się w nich i nie obawiając się nikogo.

Pomyślał, że bracia Montgolfier nie mogą się z nim równać, bo wzniesli się nad swoim rodzinnym miastem, gdzie nikt nie groził im śmiercią. Musieli pokonać tylko powietrze, on natomiast musiał pokonać całą tę planetę, która chciała ich zabić.

Wysokość była niewielka i wątpliwe, aby sto metrów nad ziemią mogło być o wiele chłodniej niż w dole, ale Olegowi nagle zrobiło się zimno. Pewnie ze zdenerwowania. W każdym razie palce przykręcające palnik mocno mu drżały.

Balon stopniowo tracił siły i chęć, aby wyrwać się w obłoki.

Na dole Siergiejew i Dick zaczęli ciągnąć za linę, aby pomóc balonowi w łagodnym lądowaniu. Świat dokoła zaczął się zmniejszać, horyzont zacieśniać.

* * *

Na początku lata przygotowania do wyprawy na statek uległy pewnemu zahamowaniu. Dwaj najważniejsi uczestnicy tego przedsięwzięcia – Oleg i Siergiejew – często brali się za inne roboty. Oleg nadal zajmował się balonem, ciągle w nim coś udoskonalał, niemal codziennie wznosił się nim w powietrze, najczęściej z jakimś pasażerem. Siergiejew miał głowę zaprzątniętą czymś innym. Linda wreszcie przeniosła się do niego. Żadnego ślubu nie było i uroczystości też właściwie nie, jeśli nie liczyć tego, że dorośli, których pozostało już bardzo niewielu, zebrali się w ich domu, posiedzieli, powspominali Tomasza i zmarłą żonę Siergiejewa, napili się herbaty i rozeszli, życząc Lindzie i Siergiejewowi szczęśliwego powrotu na Ziemię.

Dorosłych w osadzie pozostało bardzo niewielu i niektórzy z nich byli w bardzo złym stanie. Bardzo podupadł na zdrowiu Stary, kwękała Duża Luiza, a niewidoma Krystyna sama o sobie mówiła, że już długo nie pociągnie. Matka Olega większą część dnia spędzała w łóżku. W rezultacie warzywnikiem zajmowali się Veitkusowie i Linda, Siergiejew całe dni spędzał w warsztacie, a najwięcej pracy przypadło młodym. Polowanie stało się wyłączną domeną Dicka, który brał ze sobą Kazika, a czasami również Piatrasa Veitkusa. To już nie były dzieciaki, tylko niemal młodzieńcy – sprawni, zwinni i szybcy. Nie chodzili już do szkoły, zresztą Stary nie mógł już dać im niczego więcej.

Jego przeszłość była dla nich przyszłością i to przyszłością bliską i realną. Teraz wszyscy wierzyli w balon i nawet skłonni byli przeceniać jego możliwości. Wydawało się, że można na nim polecieć na statek, kiedy się tylko zapragnie.

Oleg lepiej od innych rozumiał, że niezbyt można polegać na jego statku. Już nauczył się czuć balon i wiedział, z jaką łatwością, pod wpływem lada wietrzyku, gotów jest umknąć diabli wiedzą dokąd.

W swój drugi lot wziął ze sobą Kazika. To było sprawiedliwe, bo Kazik dobrowolnie zajmował się najuczciwymi pracami związanymi z balonem. Nieustannie nosił drewno i prasą wyciskał

z niego żywicę. Stale też polował na mustangi, gdy trzeba było łątać powłokę.

Oleg zauważył po jakimś czasie, w jaki sposób przejawia się ludzki egoizm w stosunku do balonu. Może ludzie nie zdawali sobie sprawy z własnego egoizmu widocznego tylko dla postronnego obserwatora, ale... Ci, którzy mieli ochotę się przelecieć, uczciwie pomagali przy starcie, trzymali linki, zwijali i chowali pod dach opróżnioną już powłokę. Jednak po tym, kiedy już sami wznieśli się w powietrze, przestawali interesować się balonem. Większość z tych, których Oleg zabierał ze sobą, czuła się lotem rozczarowana. Był moment strachu, kiedy balon się wznosił, potem chwila zainteresowania widokiem osady z lotu ptaka i koniec. Tak było z Lindą i z Luizą, która trzy razy przepuszczała swoją kolejkę, bo bardzo się bała, ale w końcu wdrapała się do kosza i w trakcie wznoszenia tak piszczala, że przyglądające się z dołu dzieciaki omal nie pomarły ze strachu. Veitkus, będąc już w powietrzu, uważnie rozejrzał się dokoła, a potem powiedział, że trzeba będzie wybrać się za bagno, bo widzi w rozciągającej się za nim gęstwinie jabłoniowe zarośla. Stary w gondoli milczał. Milczał jakieś dwadzieścia minut, a potem powiedział: „Dziękuję, możemy lądować”.

Aggie Veitkusowa patrzyła na wioskę, a potem wytarła oczy załzawione może od wiatru, a może dlatego że dostał się jej pod powiekę jakiś paproch. I powiedziała:

– Mój Boże, co za nędza...

Matka nie chciała lecieć i dobrze. Jednak za każdym razem, kiedy Oleg przygotowywał się do lotu, wychodziła na placyk startowy i starannie sprawdzała, czy lina mocno trzyma.

Kazik z Fumiko przedłużyli linę o jakieś dwadzieścia metrów. Więcej się nie dało, bo lina zrobiła się ciężka i ciągnęła balon w dół, a w dodatku zaczynała się rwać.

Dick wzleciał jako jeden z ostatnich. Przez kilka dni po pierwszym starcie unikał Olega, gdyż uważał się za winnego. Przecież jego beztroska omal nie doprowadziła do katastrofy... Oleg sam go zapytał, czy ma ochotę polecieć i wówczas Dick się zgodził.

Tego dnia siąpił drobny deszcz, grube krople spływały z powłoki i pogarszały widzialność. Oleg widział, że Dick czuje się nieswojo, znalazł się bowiem w obcym dla siebie otoczeniu, podobnie jak na pokładzie „Polusa”. Przez cały czas tkwił w miejscu, trzymając się lin po swojej stronie kosza i lękając się obejść go dookoła. Dick wziął ze sobą w powietrze kuszę i nawet zatknął za pas blaster. Wszystko to było niepotrzebne, ale Oleg udał, że niczego nie zauważył. Nieoczekiwanie Dick powiedział:

– Latem trzeba będzie dojść do wielkiego stepu. Uważam, że on zaczyna się gdzieś tam – pokazał palcem na południe, gdzie las zlewał się z chmurami. – Tam powinno być dużo jeleni – dodał.

Oleg zrozumiał, że Dick mimo wszystko mocno stąpa po ziemi. Mylił się jednak. Dick czuł się niepewnie w lekkim, niemal przezroczystym koszu, ale, co najważniejsze, po raz pierwszy w życiu zazdrościł Olegowi.

Dopóki Oleg zajmował się rzeczami wprawdzie pożytecznymi dla wsi, ale całkiem nieistotnymi z punktu widzenia Dicka, Dickowi było wszystko jedno. Miał przecież swój las i swoje leśne zwyczajstwa. I dopiero teraz, patrząc na las i widząc, jak wśród drzew przemykają szakale, jak po konarze pełźnie wielonoga zmija, jak pęcznieją od wiosennych soków pnie srebrzystych sosenek, widząc to, czego nie dostrzegał mniej wprawny wzrok Olega, Dick zrozumiał, ile dodatkowych możliwości daje posiadanie balonu. Zapragnął mknąć przez powietrze ku nowym lasom, ścigać stada nieznanych zwierząt, lądować na noc w pobliżu tajemniczych rzeczek... Oleg ze zdumieniem spostrzegł, że Dick chwyta za blaster.

– Co ty robisz? – zapytał zdziwionym głosem.

– Cicho – szepnął Dick. Cienki jak nitka zielony promień sięgnął nieruchomych drzew stojących nad bagnem i w dole natychmiast eksplodował ruch. Jakieś wielkie zwierzę drgnęło w zaroślach i wytoczyło się na polanę.

– Jeszcze takiego nie widziałem – powiedział Dick, chowając blaster. – Lądujemy. Chcę zobaczyć, co zabiłem.

Z Marianną Oleg poleciał w ciepłą, bezwietrzną pogodę.

– Tu jest bardzo ładnie – powiedziała Marianna. – Nie chce się wracać, prawda?

Oleg patrzył na nią jak gościnny pan domu pokazujący miłej mu osobie całą posiadłość. Ponieważ doskonale znał zalety tej posiadłości, to wprawdzie komplementy uważał za rzecz naturalną, ale było mu przyjemnie, że właśnie Marianna potrafiła ocenić urok i piękno lotu.

– I cicho – dodała Marianna.

– Dziękuję – powiedział Oleg.

– Dlaczego? – Marianna popatrzyła na niego tak uważnie, jakby zobaczyła go po raz pierwszy w życiu. – Dlaczego mi dziękujesz?

Oleg wyciągnął rękę i dotknął jej palców leżących na krawędzi kosza. Gondola nieco się zachwiała, ale Marianna się nie złąła.

– Bo wszystko rozumiesz – powiedział Oleg.

Marianna oderwała rękę od krawędzi kosza i wsunęła palce w jego dłoń.

To było tak naturalne, iż Oleg się nawet nie zdziwił. Kosz znów się zachybotał i Marianna zrobiła krok do przodu, żeby nie stracić równowagi. Znalazła się bardzo blisko niego i Oleg pocałował ją w policzek. Chciał pocałować w usta, ale chybił i pocałował w policzek, tuż obok kącika ust. Marianna przywarła do niego i znieruchomiła jak spłoszone zwierzątko. I już nie było niczego – ani nieba, ani balonu – unosili się tam, gdzie nie było nikogo poza nimi, gdzie było dobrze i naturalnie.

– Hej! – krzyknął z dołu Kazik. – Gdzieście się podziiali?

Marianna uniosła twarz – była o głowę niższa od Olega – i uśmiechnęła się.

– Co? – nie rozumiał Oleg.

– Dobrze byłoby tak latać codziennie – odparła i roześmiała się.

– No to będziemy – Oleg również się roześmiał. – Rano będziemy startować i unosić się aż do wieczora.

– Tylko Kazika szkoda. Może zabierać go ze sobą?

– Nie – odparł Oleg cicho, bo nagle się przestraszył, że na ziemi mogą ich usłyszeć. – Nikogo nie będziemy ze sobą zabierać.

– Hej! – krzyczał Kazik. – Lądujcie! Idzie burza.

Kazik miał zdumiewające wyczucie pogody, zupełnie jak dzikie zwierzę. Nigdy się nie mylił. Jeśli czuł, że idzie burza, to znaczyło, że trzeba się kryć.

Oleg bez pośpiechu przykręcił palnik i kiedy balon ochładzając się wolno opadał w dół, ani na moment nie wypuszczał ręki Marianny.

Zdołali wylądować w ostatniej chwili. Silne porywy wiatru tak miotają balonem, że trzeszczała gruba lina kotwiczna. Na dole poza Kazikiem nikogo nie było, ponieważ po trzecim starcie wszyscy uznali, że ściąganie balonu za linę nie ma sensu, bo i tak nigdzie nie uleci. Ale tym razem zwłoka omal nie skończyła się źle, bo balon spychany przez wiatr opadł nie na miejsce startu, lecz o całą długość liny w bok, tuż przy skrajnym domu. Tak blisko, że mało brakowało, żeby o niego zaczepił. I już w deszczu, walcząc z burzą, skakali po powłoce, żeby jak najszybciej wycisnąć z niej powietrze

i przeciągnąć pod dach. Pospieszyl im z pomocą Dick, potem Siergiejew.

Wszyscy przemokli, zmordowali się i wymyślali Olegowi za to, że wcześniej nie wylądował.

– Przecież krzychałem do ciebie! – powtarzał Kazik. – Ty co, ogłuchłeś?

Oleg nie odpowiadał. Rozpierało go pragnienie, do którego przecież nie mógł się przyznać, żeby znów unieść się wysoko w górę i pędzić tam wraz ze wściekłym wiatrem.

Łowił spojrzenie Marianny. Wydawało mu się bardzo ważne, aby dziewczyna na niego patrzyła. Dwa razy mu się to udało. Spojrzała na niego uważnie, a jemu natychmiast zaczęło się wydawać, że dziewczyna tylko sobie żartowała i wcale nie czuje tego, co tak dojmująco czuł on sam.

Kiedy jednak byli już w szopie, a balon został bezpiecznie schowany, Marianna zerknęła na Dicka i Siergiejewa, którzy stali w otwartych wrotach, przeczekując ulewę, i wyszeptala:

– Jak dobrze, że lataliśmy razem, prawda?

W jej głosie również była niepewność, czy można wierzyć temu, co było. I ta niepewność bardzo Olega ucieszyła.

– To wspaniale, że lataliśmy razem – powiedział z przekonaniem.

* * *

Tego dnia, kiedy po raz pierwszy zdecydowali wznieść się bez liny, z Olegiem poleciał Siergiejew. Doczekali bezwietrznej pogody i wystartowali. Balon leciał pewnie i spokojnie. Oleg potrafił już się z nim obchodzić, poznał wszystkie jego narowy. Kiedy mijali pułap określony przez długość liny, Oleg wychylił się z kosza i pomachał ręką ludziom zebranych w dole. Znowu była tam cała osada, jak w dniu pierwszego lotu. Oleg odszukał wzrokiem Mariannę. Machał do niej, ale nikt poza Marianną się tego nie domyślał. Balon wznosił się leniwie, ale uparcie. Oleg podświadomie czekał na szarpnięcie zatrzymującej ich liny. Lot trwał, a horyzont coraz bardziej się rozszerzał ku mgielce kryjącej skraj ziemi. Osada stała się gniazdem mszyc, a las bezbrzeżnym morzem. Nagle ściemniło się. Opadający z góry jeźor obłoku zasłonił horyzont.

– Może zejdziemy w dół? – zapytał Siergiejew.

– Nie – powiedział Oleg. Zdziwiło go pytanie Siergiejewa, bo przecież od samego początku zamierzali przebić warstwę chmur i zobaczyć niebo. Siergiejew milczał.

Było bardzo cicho, wręcz niewiarygodnie cicho. Olegowi wydało się, że nigdy w życiu nie słyszał takiej ciszy.

Balon jakby zawisł w powietrzu, ale jednak wznosił się, gdyż kłaki gęstej mgły wolno opadały przed oczami. Na tej wysokości było zimniej niż na ziemi. Krawędź kosza zwilgotniała.

– Według mnie przestaliśmy się wznosić – powiedział Siergiejew. Oleg sięgnął do palnika i zwiększył płomień.

Zrobiło się jeszcze ciemniej, a wraz z ciemnością zaczął podkradać się strach. Oleg patrzył na Siergiejewa i myślał: oto szczęśliwy człowiek, który wcale się nie boi, a ja nie wiem, dokąd nas niesie i czy kiedykolwiek wydobędziemy się z tej mokrej waty. Nie wiedział, że Siergiejew boi się bardziej niż on, ponieważ dopiero drugi raz znalazł się w gondoli lecącego balonu, mając przy tym świadomość, iż wystarczy jakieś zawirowanie powietrza, aby zniosło ich w bok, ku górom, a nawet rozbiło o ziemię.

– Zrzucę balast, dobrze? – zapytał Oleg.

Pytanie było retoryczne, bo przecież dowódcą balonu był on, a Siergiejew uznawał jego zwierzchnictwo w powietrzu. Dodatkowe worki balastu zostały zabrane na pokład właśnie w tym

celu. Umówiono się nawet, że po starcie balonu wszyscy mieszkańcy osady odsuną się jak najdalej od polany, żeby worek balastu przypadkiem nie spadł komuś na głowę.

Siergiejew pomógł Olegowi zrzucić worki. Po każdym kosz drgał, a balon skakał w górę, jak zmęczony pływak, który wynurza się na powierzchnię, żeby zaczerpnąć łyk powietrza.

I nagle nieco się przejaśniło. Światło było dziwne, nieznanne. Oleg domyślił się, że wkrótce wyłonią się z chmur.

Wyskoczyli z nich w miejscu, które wyglądało jak dolina między wypiętrzonymi obłokami. Otaczała ich jeszcze szara wata, ale nad głowami świeciły już gwiazdy. Oleg spostrzegł, jakim wstrząsem stał się ten widok dla Siergiejewa, który od wielu, wielu lat nie widział gwiazd.

Siergiejew znieruchomiał z głową zadartą do góry. W ogromie balonu odbijały się chmury, ale między jego krągłymi bokami a ścianą mgły jarzył się czysty granat nieba upstrzonego gwiazdami. Przy tym było jasno, zupełnie jasno, bo z prawej strony gorzało słońce. Było jednocześnie zimno jak w górach i gorąco od słońca.

A balon wciąż się wznosił, pozostawiając w dole chmury, które wydawały się miękkie, ale wystarczająco wytrzymałe, aby iść po nich, lekko zapadając się jak w biały mech.

Siergiejew pierwszy się ocknął i powiedział:

– Przykręć palnik, bo nas zniesie.

Oleg usłuchał.

Milczeli i patrzyli na niebo, na chmury. Nie chciało się im wracać na dół, chociaż bardzo już zmarzli.

I w tym momencie Oleg spostrzegł dziwną rzecz.

Po niebie szybko i zdecydowanie przesunął się czarny punkt.

Pojawił się na skraju pola widzenia i Oleg z początku zauważył nie sam punkcik, lecz ciągnący się za nim wspaniałe ogon, biały i prosty, niczym strumień pary tryskający z cienkiej rurki.

– Siergiejew – powiedział Oleg. – Popatrz. Co to może być za zwierzę?

Siergiejew odwrócił się. Punkcik zbliżał się do balonu zasłaniającego połowę nieba i lada moment gotów był się za nim skryć. Siergiejew powiedział:

– To niemożliwe!

– Co? – Oleg usłyszał w głosie Siergiejewa nieprawdopodobne zdumienie.

– To jest samolot!... Albo rakietka... Albo... W każdym razie to musiało zostać zrobione przez człowieka!

Czarny punkcik zniknął i Siergiejew pospieszył na drugą stronę gondoli. Oleg poszedł za nim. Kosz się przechylił.

Nie zważając na przejmujący ziąb zaczęli czekać, aż czarny punkt wypłynie zza powłoki i ruszy dalej wprost przed siebie, zostawiając zrazu cienki, a potem wciąż rozszerzający się ogon.

– Jak to przez człowieka? – zapytał Oleg bardzo nieśmiałym głosem. – Przecież tu nikogo nie ma. Może to jest ptak?

– Policz sobie szybkość i pułap – odparł Siergiejew. – Myślę, że to jest próbnik.

– Co?

– Badawcza sonda atmosferyczna. Leci z prędkością około dwóch tysięcy kilometrów na godzinę na wysokości od dziesięciu do piętnastu kilometrów. Takich próbników używają wyprawy geologiczne.

– To znaczy, że ktoś tu jest?

– To znaczy, że ktoś tu jest! – odparł Siergiejew, patrząc na słońce, aby określić kierunek lotu próbnika.

Sonda zaczęła, się obniżać. Dokładnie widzieli, jak zniża się i redukuje prędkość. Biały ślad urwał się niedaleko warstwy chmur.

– Schodzimy w dół – powiedział Siergiejew.

– Dobra – zgodził się Oleg. – Potwornie zmarzłem.

Wylądowali na bagnie i potem cała osada do wieczora wyciągała z niego balon. Wszyscy utapłali się jak nieboskie stworzenia i przemokli, ale nikt na to nie zwracał uwagi. To nie było ważne.

Ważne było to, że na planecie znajdują się ludzie. Inni ludzie.

* * *

Planeta nie miała nazwy.

Miała numer kodowy, na którego podstawie dowolny komputer informacyjny dostarczał odpowiednich danych, nawet nie podejrzewając, że ludzie wolą, gdy planeta ma nazwę. Takie małe dziwactwo.

Tak jednak bywa z planetami odkrytymi zdalnie, z kosmosu, a następnie wpisanymi na listę badawczą.

Planeta została odkryta kilka lat temu. Potem w normalnym trybie wysłano ku niej Test. Automatyczna stacja badawcza weszła na orbitę wokółplanetarną, wystrzeliła próbniki, które sfotografowały jej powierzchnię, a następnie pobrały próbki powietrza i gleby. Potem Test zwołał wszystkie swoje sługi i wyruszył na trasę, gdzie został podjęty przez statek-matkę. Na statku-matce adiunkt Kirejko przejrzał materiały, odpowiednio je pokwalifikował i odesłał do archiwum, aby czekały na swoją kolej.

Adiunkt Kirejko mógł odkryć, że planeta jest szczególnie interesująca ze względu na obecność na niej życia rozumnego lub na niezwykłość życia nierozumnego, wspaniałość klimatu i doskonałe warunki do kolonizacji, bądź wreszcie dlatego że jej zasoby naturalne oszałamiają obfitością i różnorodnością.

Niczego podobnego adiunkt Kirejko nie odkrył.

Planeta była pozbawiona życia rozumnego. Jej okolice podbiegunowe pokrywały ośnieżone góry, niżej leżały zakryte wiecznymi chmurami pierwotne dżungle, a w strefie równikowej rozciągały się tysiące kilometrów rozpalonych pustyń. Kąt nachylenia jej osi był niewielki, okres obiegu wynosił nieco ponad tysiąc dni. Nic szczególnego.

W zasadzie strefa umiarkowana, obszary mglistych lasów nadawały się w cieplejszych porach roku do zamieszkania przez człowieka, ale odległość globu od uczęszczanych tras kosmicznych i stały brak grup badawczych w tym peryferyjnym sektorze Galaktyki skazały planetę na częściowe zapomnienie.

Skoro na planecie nie ma życia rozumnego i brak szans na to, aby pojawiło się ono tam w ciągu najbliższych tysiącleci, to może się na razie obyć bez nazwy.

W najgorszym razie, myślał Pawłysz, montując biurko, możemy ją ochrzcić wedle własnego uznania. Możemy ją nazwać powiedzmy Fiołkiem – pod warunkiem, że w katalogu ciał galaktycznych nie ma już innego fiołka.

Biurko w żaden sposób nie dawało się zmontować. W komplecie brakowało dolnego członu jednej z teleskopowych nóżek, ale za to była dodatkowa szuflada. Pawłysz nadmuchał szuflady i wsunął na miejsce, a z dodatkowej postanowił zrobić kosz na papiery. Z nóżką było gorzej. Długo sobie nad tym problemem łamał głowę, aż wreszcie nadsztukował kulawe biurko śledziem od namiotu.

Klaudia widziała te jego zmagania i bardzo się gniewała. Nie znosiła nieporządku bez względu na to, z czego ten nieporządek wynikał.

Pawłysz ustawił biurko pod iluminatorem w ten sposób, aby szare, rozmyte światło padało

z prawej strony. Nie lubił pracować z twarzą zwróconą ku światłu.

Klaudia postawiła swój stół twarzą do światła.

W jej komplecie były naturalnie wszystkie potrzebne części i ani jednej zbędnej. Uporawszy się ze stolikiem, Klaudia zaczęła rozkładać na nim przybory, czyste i schludne, chociaż niektóre z nich pracowały już na kilku planetach o wiele trudniejszych od tej.

Trzecie biurko należące do Sally Gosk pozostawało na razie w płaskiej skrzynce. Sally odłożyła własne sprawy do momentu, kiedy stacja będzie już całkowicie urządzona.

Stacja miała być kobieca, obsadzona załogą Klaudii Sung. Klaudia Sung – szef stacji i geolog. Sally Gosk – łącznościowiec, elektronik i kucharka. Srebrina Talewa – biolog. Pracowały w tym składzie już na czterech planetach.

Ośrodek Badań Kosmicznych stara się nie stwarzać w małych grupach zwiadowczych sytuacji komplikujących życie codzienne i dobiera takie grupy albo z par małżeńskich, albo wyznacza do nich osoby jednej płci. Kopuła stacji jest niewielka, prysznic i toaleta oddzielona jest w niej od wspólnego pomieszczenia roboczego plastikowymi zasłonkami, a przepierzenia między kabinami sypialnymi mają około dwóch metrów wysokości.

Ale Srebrina Talewa złamała biodro na dzień przed desantem.

Kapitan „Magellana”, stary przyjaciel Pawłysz, Gleb Bauer, wezwał go do siebie.

– Naturalnie wiesz – powiedział, patrząc na Pawłysza ze współczuciem – że grupa Klaudii Sung jest ostatnia. Pozostałe już pracują w terenie.

– Srebrinę mogę wypisać dopiero za miesiąc – powiedział Pawłysz. – Bardzo skomplikowane złamanie.

– Wiem i dlatego chciałem cię zapytać, co one tam będą robiły bez biologa.

– Bez biologa będzie im trudno – zgodził się Pawłysz.

– Rozumiesz, że naruszymy plany badań? – My?

– Tak, bo za nie odpowiadamy – powiedział Bauer takim tonem, że stało się jasne, iż odpowiedzialność za realizację planu badań ponosi osobiście Pawłysz.

– Mam jej oddać swoją nogę?

– Sława, to nie pora na dowcipy!

Zaskakująca rzecz, jak szybko kapitanowie zaczynają się czuć kapitanami. Można by pomyśleć, że upłynęły wieki od czasów, kiedy Bauer był drugim oficerem na „Segeży”. Co prawda Pawłysz był wówczas lekarzem pokładowym i nadal nim pozostał.

– Cóż zatem proponujesz? – zapytał Pawłysz. – Kapitan powinien mieć radę na wszystko.

Bauer nie miał zamiaru dostrzegać ironii w jego głosie.

– Słuchaj, Sława – powiedział już znacznie mniej kapitańskim tonem. – Przecież tyle razy mnie prosiłeś, żebym cię puścił na zwiad, bo znudziło ci się siedzenie w żelaznej puszcze. Było tak?

– Mam się przeistoczyć w Srebrinę Talewą?

– Pytam, czy chcesz pomóc zwiadowcom.

– Nie chcę.

– A to dlaczego?

– Nie wyobrażam sobie pracy w żeńskiej grupie.

– Ta grupa w trzydziestu trzech procentach będzie się składać z mężczyzn.

– Klaudia Sung mnie zje. Przecież znasz jej reputację.

– Klaudia to wyjątkowo sympatyczna kobieta. Daję ci na to słowo honoru.

- Pozwolisz jednak, że zostanę przy własnym zdaniu. Prosiłem cię o pozwolenie pracy z grupą Sato. Tam była ciekawa planeta i ludzie, których dobrze znałem.
- Boisz się słabej kobiety czy pracy?
- Kobiety. Zresztą ona i tak się nie zgodzi.
- W takim razie z tobą sprawa jest jasna. A Klaudia poleci chociażby z samym diabłem, żeby tylko nie zawalić badań.

Klaudia naturalnie zgodziła się lecieć z Pawłyszem, bo w przeciwnym razie musiałaby z braku biologa wracać na Ziemię. Inna rzecz, iż była pełna jak najgorszych obaw i, jak to często bywa, Pawłysz, wbrew swojej woli, zaczął te obawy potwierdzać. Przy załadunku udało mu się rozbić infraskop, który teoretycznie bez żadnej szkody można zrzucić z dziesiątego piętra na beton. A teraz na przykład nie potrafił zrobić najprostszej rzeczy – zmontować biurka.

W każdym stadzie, łącznie ze stadem ludzkim, istnieje ścisła hierarchia. Do ukształtowania się takiego systemu wystarczą trzy osoby. Pojawienie się Pawłysza zburzyło istniejącą od kilku lat strukturę. Wszystko byłoby znacznie prostsze, gdyby Klaudia miała sto lat, gromki głos i figlarne wąsiki. Jednak Klaudia Sung zupełnie nie wyglądała na kosmiczną wilczycę i szefową grupy zwiadowczej. Była pozornie kruchym i bezbronnym dziewczątkiem o wielkich, nieco skośnych oczach i bujnych czarnych włosach, szesanych wbrew naturze w nauczycielską fryzurę z ciężkim kokiem na karku.

Klaudia Sung należała do tych kobiet, które natychmiast i bezapelacyjnie zaczynały przewodzić w żeńskim towarzystwie, ale peszą się w obecności dużych mężczyzn, przez co stają się agresywne i zaczepne. W dodatku Klaudię czasami zawodziło poczucie humoru, które Pawłysza nie opuszczało nigdy.

Przytłoczona wewnętrznie przez Pawłysza, Klaudia wzmogła opór zewnętrzny, gdy tylko okazało się, że do jej świetnie zorganizowanego kobiecego gniazda podrzucono kukułcze pisklę płci męskiej.

Zasadniczo Pawłysz winien odziedziczyć niszę ekologiczną po Srebrinie Talewej, kobiecie romantycznej, skłonnej do nieoczekiwanych zmian nastrojów, szczerzej i wesołej, ale pechowej, bo przecież zwykłemu człowiekowi w życiu nie udałoby się złamać biodra na pokładzie statku kosmicznego. Jednak Klaudia natychmiast zaczęła przeciwstawiać, nie zawsze sprawiedliwie, „gamonowatego i głupawego” Pawłysza „idealnej pracownicy i wspaniałej kobiecie” Srebrinie. To znaczy Pawłysz w jej oczach stał się jakby Antysrebriną.

Ale Pawłysz potrafił znajdować dobre strony nawet w takiej, pozostawiającej wiele do życzenia, sytuacji. Miał przecież spędzić cztery miesiące na całkowicie dziewiczej planecie, co było nieziszczalnym marzeniem tysięcy naukowców. Uzyskał szansę pozostawienia śladu w nauce, odkrycia nieznannej rodziny bakterii lub nowego typu symbiozy. Czemu nie? Zresztą, co może być lepszego nad wyrwanie się z monotonnej rutyny życia pokładowego i rzucenie się na spotkanie z przygodą? Czyż to nie on sam wielokrotnie prosił Bauera o wysłanie go z grupą badawczą? Naturalnie, że prosił. I chociaż wszelkie podręczniki i instrukcje powtarzają do znudzenia, że dobrze prowadzona stacja poszukiwawcza winna obywać się bez przygód, że dobrze zorganizowana praca nie znosi zakłóceń, a przygoda to nic innego jak irytujące zakłócenie... Słowem lekarz pokładowy Pawłysz, czterdziestolatek imieniem Władysław, w miarę zdolny i dociekliwy, niezbyt próżny i wcale jeszcze nie stetryczały zszedł z pokładu fregaty prującej kosmiczne fale i niemal dobrowolnie zstąpił na brzeg bezludnej wyspy w towarzystwie dwóch pięknych kobiet. Jedna z nich, Sally Gosk, była panienką, druga zaś rozwódką. Teraz pozostawało jedynie dowiedzieć się, czy na bezludnej

wyspie są palmy kokosowe, tygrysy i Piętaszek.

W tym miejscu jego rozmyślań śledź od namiotu skrzypnął, wsunął się do nóżki biurka, a to, zwinnie przechytrzając Pawłysza, ułożyło się pośrodku pokoju, rozrzucając po podłodze wszystko, co „głupawy gamoń” zdołał na nim ustawić.

Klaudia z niejaką irytacją obserwowała, jak jej nowy biolog pełza po podłodze, zbierając swój dobytek. Sally, wyjrzawszy z kambuza, powiedziała, rozdarta między współczuciem dla Pawłysza a subordynacją wobec swej groźnej szefowej:

– Może na razie podłożymy pod nóżkę szufladę, a potem Sława wytnie jakiś patyk i nadsztukuje nóżkę?

– Naturalnie – odparła sucho Klaudia, nie patrząc na podwładnych, lecz zatapiając spojrzenie w iluminatorze, za którym ciemniał zamglony las. – Tego tylko jeszcze brakowało, żeby zarazić kopułę miejscową mikroflorą.

– Pewien chłopczyk – powiedział Pawłysz, oponując nie tyle przeciwko treści słów Klaudii, ile przeciwko ich tonowi – przywłókł do domu krokodyla, który potem odgryzł dziadkowi palec.

– Mój mąż... – powiedziała Klaudia nieoczekiwanie, ale zaraz przygryzła wargę i zamilkła.

– Klaudio, daj spokój – poprosiła Sally.

– Dlaczego? Niech się dowie.

Klaudia patrzyła Pawłyszowi w oczy. „Mój Boże – pomyślał Pawłysz. – Wydawało mi się, że ona jest rozwódką, a tymczasem jej mąż zginął na jakiejś okropnej planecie”.

– Mój mąż – powtórzyła Klaudia – z którym rozstałam się sześć lat temu, omal nie doprowadził do zguby wyprawy badawczej w układzie gwiazdym Corraque, ponieważ lekkomyślnie przywłókł na stację miejscowe zwierzę.

„I po tym naturalnie się z nim rozstałam – zakończył za nią w myśli Pawłysz – ponieważ nie mogłam znieść takiego oburzającego pogwałcenia instrukcji”. Natomiast na głos powiedział:

– Klaudio, obiecuję pani solennie, że nigdy nie będę przynosił na stację żadnych miejscowych zwierząt.

Klaudia westchnęła z widoczną ulgą. Prawdopodobnie postanowiła przyjąć to jego oświadczenie za dobrą monetę.

Pawłysz wziął nie szufladę, lecz jedną ze skrzynek opróżnionych przez Sally i podłożył ją pod chromą nóżkę biurka.

* * *

Usiadł przy biurku. Oparcie fotela objęło go posłusznie. Poruszył się. Chyba wygodnie. Popatrzył w prawo. Szyba iluminatora zrobiła się mokra. Przetarł ją, ale nie zdążył przyjrzeć się lasowi, bo wiatr rzucił w okno garść śniegu z deszczem, rozmywając sylwetki majaczących opodal drzew.

– Należałoby założyć na okna wycieraczki – zwrócił się Pawłysz do Klaudii. – Ich brak utrudnia podziwianie krajobrazu.

– Już dawno o tym myślałam – odparła szefowa – moja poprzednia planeta też była bardzo deszczowa. Ale sami sobie z tym nie poradzimy.

Pawłysz westchnął. Uwielbiał takie poważne kobiety. Śnieg rozpadał się na dobre i teraz za oknem nic już nie było widać.

– Była już prognoza pogody? – zapytał Pawłysz.

– Jak to? – zdziwiła się Klaudia, ale zaraz zorientowała się, że ją nabierają i burknęła: – Proszę

nie gadać głupstw.

– Zupełnie nie mam pojęcia, co mam założyć, kiedy wybiorę się na spacer.

– Proponuję bioskafander. – Klaudia nie miała ochoty żartować. – Proszę go założyć i nigdy nie zdejmować poza stacją.

– A więc nie było prognozy... – Pawłysz złapał się na tym, że ma ochotę drażnić Klaudię.

Sally zachichotała, a zaraz potem rozległ się jakiś syk.

– Nie upilnowałam mleka – oświadczyła kucharka.

– Pawłysz, mamy najwidoczniej odmienne spojrzenie na świat i różne temperamenty – powiedziała Klaudia. – Potrzeba dowcipkowania prowadzi do lekkomyślności i brawury. Brawura skłania do podejmowania niepotrzebnego ryzyka, a takie ryzyko jest tu skrajnie niebezpieczne. Od pańskich figli może zależeć los całej stacji.

– Będę zachowywał się bardzo poważnie – westchnął Pawłysz. Brzęczyk radiostacji przerwał tę miłą rozmowę. Sally poprosiła Klaudię o zastąpienie jej przy kuchni, a sama pospieszyła do nadajnika. Wzywał ich „Magellan”, który wyruszał w dalszą trasę i za kilka godzin, kiedy wykona skok ku następnej planecie, łączność zostanie przerwana na cztery miesiące. Stacje łączności kosmicznej instaluje się tylko na dużych statkach i wielkich stacjach. Grupy zwiadowcze ich nie mają. Jest w tym pewien element ryzyka, z którym należy się godzić, gdyż nadajnik grawitacyjny zająłby całą kopułę.

Na wszelki wypadek w otwartym kosmosie, za granicami układu znajduje się radiolatarnia. Jeśli coś się zdarzy, można do niej dotrzeć kutrem planetarnym.

Gdy statek odleci, łączność można będzie utrzymywać jedynie niespieszną starożytną metodą. W razie konieczności sygnał popelźnie ze zwykłą prędkością fal radiowych do radiolatarni, która znajduje się w otwartym kosmosie o miesiąc świetlny od planety. Stamtąd pomknie na Ziemię-14 i dlatego przed upływem sześciu tygodni nikt go nie usłyszy.

Pod koniec seansu łączności Bauer przekazał wszystkim życzenia wszelkiej pomyślności i wyłączył się.

Pawłysz podszedł do okna i popatrzył w niebo. Mógł się nie fatygować, bo i tak niczego poza brudną mgłą nie zobaczył.

Wiedział, że ich lądownik opadł na planetę pod koniec wiosny, na półkuli północnej, w jej strefie umiarkowanej, a zatem można było liczyć na stopniową poprawę pogody. Ten czas i miejsce zostały wybrane na podstawie danych zebranych uprzednio przez automaty. Panował tu klimat optymalny dla badaczy, bo na północy ciągnęły się masywy górskie, puste i mroczne, a za nimi naga tundra. Ku południowi za oceanem leżała pustynia. Strefa wybrana do eksploracji była biologicznie najaktywniejsza, a większość prac zamierzano prowadzić w okolicach kopuły.

W iluminatorze było widać zarys śluzy, okrągłego tunelu prowadzącego do mniejszej kopuły – laboratorium biologicznego. Takich pomocniczych kopuł było trzy. Jedna, mieszcząca próbniki biologiczne, należała do Pawłysza. Druga, ze sprzętem geologicznym – do Klaudii. Trzecia była magazynem i garażem, w którym stał łazik. Sam lądownik, czyli kuter planetarny, którym tu przylecieli, stał niedaleko. Przypominał dziecinny bąka, ale zamiast ostrego końca, na którym powinien się obracać, kuter spoczywał na trzech cienkich i pozornie kruchych nóżkach. Ale były to bardzo wytrzymałe nóżki.

– Jeśli moja pomoc nie będzie potrzebna – powiedział Pawłysz – pójdę do magazynu rozejrzeć się w gospodarstwie.

– Niech pan idzie – zezwoliła Klaudia. – A po obiedzie proszę przygotować próbники. Od jutra startujemy z programem badawczym.

– Wiem – powiedział Pawłysz.

Poszedł do drugiego przedziału magazynu. Pojemniki ze sprzętem i zapasami żywności leżały tam w pedantycznym porządku. Rozładunek nadzorowała Klaudia, na której widok nawet roboty drżały ze strachu. W pomieszczeniu było duszno. Pawłysz podszedł do klimatyzatora i przesunął jego dźwignię regulacyjną o jedną kreskę. Musiał sobie stworzyć jak najlepsze warunki, bo przystępował do najtrudniejszej dla siebie części prac przygotowawczych. Musiał odszukać w tych schludnych stosach skrzynek akurat te dwadzieścia trzy kontenery, które zawierały zdemontowane próbники biologiczne, analizatory, odbiorniki laboratoriów automatycznych, autodiagnostery, połowę salę operacyjną, prosektorium i coś tam jeszcze. Ze smutkiem trzymał w ręku tabliczkę ze spisem wyposażenia, wiedząc, że przynajmniej trzy spośród czterech miesięcy wyprawy spędzi na poszukiwaniach i montażu swojego dobytku. Najbardziej jednak pragnął odszukać skrzynkę ze swoimi mikrofilmami. Pawłysz obawiał się, że sprawdzając przy załadunku bagaż, Klaudia mogła usunąć z niego kontener, w którym wiózł zapas kryminałów i powieści fantastyczno – naukowych. Zorientował się wreszcie, że mikrofilmy znajdują się w pojemniku numer szesnaście, przywalonym kontenerami z numerem szóstym i trzydziestym czwartym, akurat najcięższymi z kontenerów. Nie mógł jednak przecież czekać, aż Sally zaktywuje serworoboty ciężarowe.

Starając się zbytnio nie hałasować, Pawłysz przetaszczył do wolnego kąta przeszkadzające kontenery i dobrał się do upragnionej skrzynki. Niestety, jego najgorsze obawy się potwierdziły i znenawidził Klaudię. Oczywiście ta zołza musiała znaleźć pudełko z artystyczną makulaturą, wyrzuciła je, a na to miejsce wetknęła swoje pudło, niezmiernie cenne dla nauki. Rozczarowanie, choć spodziewane, było głębokie i bolesne. Pawłysz zrozumiał, że bez kryminałów nie wytrzyma nawet tygodnia w towarzystwie tej harpii.

Przysiadł na jakiejś skrzynce i spróbował przemówić sobie do rozsądku, przekonać się, że dobrze się stało, ponieważ teraz będzie mógł poświęcić więcej czasu poważnej pracy, w związku z czym szansę na dokonanie cennego odkrycia wydatnie się zwiększą.

Autoperswazja nic nie dała i Pawłysz zaczął układać w myśli patetyczne wypowiedzenie, motywując je sadystycznym okrucieństwem wykazywanym przez kierownictwo stacji w stosunku do załogi.

Tekst wypowiedzenia był niemal gotowy, gdy do magazynu weszła Sally. Rozejrzała się i usiadła na sąsiednim pojemniku. To była silna, pulchna kobieta o jasnych włosach, mądrych zielonych oczach i skorych do uśmiechu, pełnych wargach.

– Spróbuję ulżyć pańskiemu strapieniu – powiedziała, uśmiechając się szeroko.

Wstała, podeszła do stosu kontenerów i dodała:

– Sława, proszę mi pomóc.

Wyciągnęli drugi od góry pojemnik oznaczony numerem 57, co świadczyło o tym, że zawiera on jakiś sprzęt geologiczny. Sally otworzyła go i wyjęła sławetne pudełko z mikrofilmami.

– To pani zrobiła? – powiedział radośnie Pawłysz i omal z wdzięczności nie objął czarującej, dobrej i życzliwej Sally. – Ona wyrzuciła, a pani włożyła?

– Niezupełnie tak – odparła Sally. – Klaudia nigdy by nie pozwoliła sobie rozporządzać jakąś rzeczą bez zgody właściciela. Po prostu w pojemniku geologicznym nie mieściła się jej mikrowiertnica, zamieniłyśmy więc pudełka.

- Mimo wszystko dziękuję.
- A ja wolę literaturę klasyczną – powiedziała Sally.
- A Klaudia słownik geologiczny?
- I „Annę Kareninę”. Wszędzie ją ze sobą wozi i zaczyna czytać, gdy tylko coś się jej nie układa.

Obawiam się, że i dzisiaj weźmie się do lektury. Bardzo się przez pana martwi.

- Przeze mnie?
- Tak, bo jej się wydaje, że pan ciągle się z niej śmieje.
- Cóż za pomysł? Wcale nie ciągle! – odparł Pawłysz, czym serdecznie pocziwą Sally rozweselił.

Iluminator w magazynie był niewielki i dlatego, kiedy zbliżyła się nieznana im dotąd bestia, we wnętrzu od razu zrobiło się ciemniej. Pawłysz i Sally natychmiast spostrzegli tę zmianę oświetlenia.

Bestia była biała i jeśli w ogóle miała oczy, to dokładnie ukryte pod długą, sztywną sierścią. Natomiast sterczące do przodu zęby, którymi bestia chciała wypróbować wytrzymałość szyby, były brązowe. Pawłysz pomyślał, że pewnie nigdy ich nie myje. Między zębami, jak za częstokółem pradawnej twierdzy, siedziały małe błyszczące stworzonka podobne do niedojrzałych cytrynek. Cytrynki też miały zęby. Wydostawały się ze swojej twierdzy i, nie wiadomo czym czepiając się gładkiej powierzchni, rozbiegały się po szybie. Poruszały się tak szybko, że zlewały się w zielonkawą migotanie.

Bestia zatrzasnęła paszczę. Pawłysz zorientował się, że Sally trzyma go za rękę.

- Złękła się pani? – zapytał. Sally cofnęła rękę.
- Ze spacerów nic nie będzie – powiedziała z żalem.
- A myślałam, że tutaj będzie można sobie pospacerować!
- A ja mam już temat do mojego pierwszego artykułu dla „Kosmozoologii” – powiedział

Pawłysz. – Cechy szczególne wspólnot symbiotycznych na planecie... Jak się ona właściwie nazywa?

– Ma pan silne nerwy, Sława – powiedziała Sally. – Potrafi pan myśleć o rzeczach oderwanych, podczas gdy ja zaraz umrę ze wstrętu.

– Proszę tylko pomyśleć, jacy obrzydliwi musimy wydawać się tym stworzeniom!

Biały bezoki pysk zniknął. Cytrynki zaczęły poruszać się jeszcze szybciej. Widocznie przestraszyły się, że ich dom sobie poszedł. Sally wywołała Klaudię.

Klaudia rzuciła tylko okiem na cytrynki i natychmiast pobiegła po swoją kamerę, naturalnie już rozpakowaną i gotową do pracy. Niemy wyrzut pod adresem Pawłysza.

Czarny bicz uderzył w szybę rozcinając jedną z cytrynek, której żółtawy sok pociekł po iluminatorze. Pozostałe cytrynki znieruchomiały. Bicz przesunął się leniwie, wolno rozszerzając się we wstęgę o szerokości około dziesięciu centymetrów. Potem wstęga zwinęła się w trąbkę i cytrynki zaczęły posłusznie się w nią wtaczać. Po kilku sekundach szyba była już pusta, jeśli nie liczyć żółtej plamy na jej skraju.

- Do tej pory nie włączyliśmy kamer zewnętrznych
- powiedziała Klaudia – i nawet nie wiemy, co się dzieje za ścianami kopuły.
- Dziękuję, że nie zapomniała pani zabrać moich kryminałów – powiedział Pawłysz.
- Proszę bardzo – odparła Klaudia. – Mam jednak nadzieję, że w chwilach wolnych od lektury

pomyśli pan również o pracy.

– Stale o niej myślę. Zacząłem sobie nawet przypominać łacinę i teraz mogę nadawać straszne nazwy wszystkim gadom, które zobaczymy za oknem. W tym celu bierze się łacińskie słowo

oznaczające coś przerażającego, wstrętnego, paskudnego i dodaje się nazwisko odkrywcy. Jak widać otwierają się przed nami nader szerokie możliwości.

Klaudia wyszła.

Sally popatrzyła za nią i powiedziała:

– Kiedy postanowi pan nazwać jakiegoś stwora moim imieniem, proszę łaskawie poszukać możliwie niezbyt paskudnego łacińskiego słowa.

– Pani imieniem będę chrzczył tylko miejscowe motylki – zapewnił ją Pawłysz.

W centralnej kopule Klaudia strzelała garami. Nakrywała do stołu.

– Czy tutaj może istnieć życie rozumne? – zapytała Sally.

– Wątpię. Próbniki Testu niczego nie wykryły, a ponadto ogólny poziom biologiczny jest tu bardzo niski.

– A mimo wszystko?

– To będziemy mogli stwierdzić, gdy zaczniemy zbierać się do odlotu.

– Bardzo lubię nowe planety – wyznała Sally. – Z początku jest całkowity mrok, jakby człowiek dopiero co się urodził. A potem wchodzi się w ten świat i robi się jaśniej.

Pawłysz znów podszedł do iluminatora. Drobne owady mrowiły się wokół żółtego zacieku. Śnieg ustał. Las był pusty i czujny. „Ależ my jesteśmy tu obcy! – pomyślał Pawłysz.

– Drobinki protoplazmy w plastikowej otocze. Czy zrozumiemy ten świat? Czy nas odrzuci? Czy też po prostu nie zauważy naszej obecności?”

– Najbliższy człowiek znajduje się o parę miliardów kilometrów stąd – powiedział na głos.

– Musi pan czytać moje myśli? – oburzyła się Sally.

– Ale miliard kilometrów to wcale nie tak wiele – powiedział Pawłysz. – Nasze istnienie jest zarejestrowane, gdzie tylko można. We Flocie Kosmicznej, na Ziemi-14, w Dalekim Zwiadzie oraz w Instytucie. Liczy się nam staż przemnożony przez współczynnik utrudnień... Jeśli cokolwiek nam się przydarzy, rozpocznie się taki szum, że krążowniki ratownicze zwałą się tu z całej Galaktyki.

– A jeśli się spóźnią?

– Aby się nie spóźniły – powiedział Pawłysz mentorskim tonem – musimy się grzecznie sprawować i słuchać cioci Klaudii. Wtedy nic złego się nie stanie. Najważniejsze, to myć ręce przed jedzeniem.

– Już wiem – powiedziała Sally. – Czuje się pan samotny i już żałuje, że z nami poleciał.

– Ależ nic podobnego!

Pawłysz wciąż patrzył na las. Pragnął dostrzec w nim najmniejszy ruch, życie i pewnie dlatego wydało mu się, że drzewa zaczęły powoli, jakby w somnambulicznym tańcu w rytm bicia bębnow, wywijać gałęziami.

* * *

Stacja zwiadowcza przyczaiła się na skraju lasu. Przez dwa dni po eksplozji aktywności, zamieszania, ustawiania kopuły, wyładunku – panowała kompletna cisza.

Nikt nie wychodził ze stacji, a jej cienkie podwójne ściany tłumiły jakikolwiek dźwięk rozlegający się w środku.

Nieruchomy przedmiot nie wzbudza lęku.

Wielki las zaczął się przyzwyczajać do tego, że tuż obok żyje coś obcego.

Pawłysz, choć nieustannie zajęty krzątaniem, z ciekawością obserwował proces wtapiania się

stacji w nowy świat. Szło mu to tym łatwiej, że już zostały włączone zewnętrzne kamery, działało obserwatorium meteo, a wiertnice ustawione pod kopułą geologiczną zaczęły wgrzać się w grunt. Rozpoczęło się poznawanie lasu i ziemi, poznawanie obiektywne, niezwiązane z narządami zmysłów, gdyż przyrządy niezwłocznie kodowały uzyskane informacje. A zakodowane pojęcia dadzą się łatwo przetworzyć na uogólnione prawidłowości, ponieważ wszystkie planety składają się z jednych i tych samych pierwiastków zestawionych najczęściej w tych samych proporcjach, zaś żywa przyroda podporządkowana jest wspólnym prawom genetyki i w dowolnym punkcie Galaktyki składa się z takich samych białek. Różnica polega nie na biologicznej istocie, lecz na zewnętrznych odmiennościach. Dlatego Pawłysz nieustannie stresował rozziew między zgromadzonym już zbiorowiskiem danych obiektywnych, a całkowitą niewiedzą zmysłową.

Doskonale rozumiał, że szaleństwem byłoby wyjść na zewnątrz, głęboko zaczerpnąć tego żywego, niesterylizowanego powietrza, rozetrzeć w palcach liść drzewa lub zerwać źdźbło trawy i powąchać je. Wiedział, że za pozornym spokojem otaczającego świata kryją się siły wrogie człowiekowi nie dlatego, że wymierzone są właśnie w człowieka, lecz dlatego, iż są dlań całkowicie obce, nie znają go i postarają się go odrzucić, gdy tylko spróbuje wejść z nimi w kontakt. Na trzeci dzień rano Pawłysz postanowił wystrzelić pierwszy próbnik. Miał tych próbników biologicznych w sumie trzy i zamierzał z ich pomocą zarejestrować chemiczny i biologiczny skład atmosfery na różnych wysokościach. Podobne próbki miała Klaudia, ale ich zadaniem było zestawienie mapy geologicznej planety. Różnica polegała na tym, że w razie konieczności Klaudia mogła zmusić swoje próbki do wylądowania i pobrania próbek gruntu. Próbniki Pawłysza były po prostu akumulatorami informacji oddawanych po powrocie. Pawłysz przeglądał po każdym locie wstępnie przetworzony raport próbniaka, zapoznawał się ze zdjęciami i określał punkty, w które sam powinien się udać.

Teraz przeszedł niskim owalnym korytarzem do swego laboratorium, gdzie próbki już na niego czekały, ustawione na wysokich wyrzutniach. Zgodnie z dawno już opracowanym standardowym programem powinien w pierwszym etapie rozsyłać próbki w stokrotkę. Każdy start odpowiadał jednemu płatkowi kwiatka. Długość płatka wynosiła pięćset kilometrów przy zmiennej wysokości lotu. Dzięki temu zostaje zbadany cylinder atmosfery o wysokości około trzydziestu kilometrów i średnicy tysiąca.

Sama procedura startu była nieskomplikowana. Wystarczyło zaprogramować lot, nacisnąć klawisz startowy i już. Reszta odbywała się automatycznie.

Próbnik mrugnął do Pawłysza zieloną lampką gotowości startowej, a wyrzutnia uniosła się pod kopułę, w której odsłonił się otwór wystarczająco duży, aby próbnik wydostał się do atmosfery. Pawłysz zadzierając do góry głowę, zobaczył szare, zachmurzone niebo. Kropla deszczu upadła na hełm skafandra. Starł ją rękawicą.

Szczęknięło. Próbnik uniósł się nad wyrzutnią i wyprysnął przez otwór w stropie. Buczał przy tym basowo, niczym chrabaszcz wylatujący na polowanie.

Otwór w kopule natychmiast się zamknął.

– No i dobrze – powiedział Pawłysz na głos. – Zaczął się dzień pracy.

Włączył interkom i zameldował:

– Klaudio, wystrzeliłem pierwszy próbnik. Teraz wyjdę na zewnątrz.

– Tylko ostrożnie – powiedziała Klaudia. Jej głos nieco zniekształcony przez słuchawki wydawał się niemal czuły.

– Nie zapomniął pan aneblastera?

– Nie, mój aniele – odparł Pawłysz. – Ponadto wziąłem żelazny zapas jądła, śpiwór i wielgachną maczugę. Przy okazji pragnę panią poinformować, że odejdę od kopuły dokładnie na sto metrów.

– Sława, niech pan przestanie dowcipkować! – powiedziała Klaudia już mniej czule. – To jest pierwsze pańskie wyjście.

– No, powiedzmy drugie. Proszę nie zapominać, że po przylocie tutaj musieliśmy spędzić około godziny na świeżym powietrzu.

– Pod ochroną kutra planetarnego – poprawiła go Klaudia

– i w obecności dziesięciu członków załogi statku macierzystego.

– Dziękuję – powiedział Pawłysz. – Będę ostrożny. Zresztą i tak trzeba wypróbować aneblaster.

Wyjął z kieszeni kombinezonu niewielki, lecz ciężki pistolet anestezyjny. Z tymi oszałamiaczami bywało różnie. W zasadzie powinny unieruchomić każdego napastnika, od mrówki do słonia, ale nie zawsze chciały. Skuteczność broni zależała nie tylko od wielkości, ale często także od metabolizmu drapieżnika. Dawka, która jednego usypiała na tydzień, innego wpędzała tylko w lekką drzemkę, a trzeciego potrafiła zabić. Tak więc zadaniem Pawłysza było między innymi wypróbowanie aneblastera na miejscowych stworach, co w zasadzie winno odbyć się po dostarczeniu jakiegoś delikwenta do laboratorium. Jeśli naturalnie delikwent nie będzie stawiał nadmiernego oporu.

Luk śluzy mlasnął, przysysając się do ramy.

Pawłysz chwilę postął koło kopuły, rozglądając się wokół i obserwując reakcję miejscowej fauny na jego pojawienie.

Miejscowa fauna nie reagowała.

Pawłysz niespiesznie podszedł po miękkiej trawie do lądownika i pogładził jego krągłe cielsko. Potem zerknął na iluminator laboratorium geologicznego. No jasne, Klaudia stoi pod oknem i sprawdza, czy jej chłopczyk umie przechodzić przez jezdnię na zielonym świetle.

Pomachał do niej, Klaudia w odpowiedzi uniosła rękę, ale od iluminatora nie odeszła.

– Wszystko przez to, że nie masz dzieci – powiedział Pawłysz. – Gdybyś tak miała z piątkę...

Ugryzł się w język w obawie, że nie wyłączył interkomu, bo Klaudia mogłaby się obrazić. Nie, wyłączył.

Teraz można się spokojnie rozejrzeć.

Stroma kopuła stacji z rękawami korytarzy i małymi kopułkami laboratoriów stała o jakieś dwieście metrów od skraju lasu. Na tę właśnie stronę wychodził iluminator, przy którym stało kalekie biurko Pawłysza.

Jeśli obejść stację dokoła, co Pawłysz właśnie zrobił, to trafi się na łagodne zbocze opadające ku wielkiemu jezioru. Stok był pokryty trawą, a w jego dolnej części wyłaziły z nagiej ziemi obłe grzbiety kamieni, wokół których bujnie rozrosły się jakieś krzewy.

Samo jezioro było szare, równe i spokojne, zresztą cały ten świat sprawiał wrażenie spokojnej szarości. Mylne wrażenie. Pawłysz rozumiał, że ta równa szarość maskuje namiętności i tragedie, pierwotne, ale przez to jeszcze bardziej okrutne, że ten świat przyczaił się, obserwując bacznie obcego przybysza.

Popatrzył do góry. Przez trzy dni chmury ani razu się nie rozstały, żeby choć na chwilę pokazać słońce. Niebo było równie szare jak jezioro i tak samo równe. I równie nieruchome.

Z przodu coś błysnęło.

Pawłysz ostrożnie ruszył w tamtą stronę i zatrzymał się o parę kroków od lśniącego stwora, który zwinnie zakopywał się w ziemi. Stworzenie nie zwracało na niego najmniejszej uwagi. Pawłysz

podszedł bliżej, trzymając w pogotowiu aneblaster. Błyszczący metalicznie pancerz zwierzątka już niemal skrył się pod ziemią. Pawłysz przykucnął i zaczął ostrożnie rozgrzebywać spulchniony grunt wokół niego. Potem podsunął pod spód obie ręce i gwałtownym szarpnięciem wyciągnął go do góry.

Stworzenie nie stawiało oporu. Coś trzasnęło. Pawłysz zobaczył tkwiącą w ziemi długą iglicę.

Uniósł kulę wyżej i zrozumiał, że udało mu się złowić zwierzę niezwykle w tych okolicach egzotyczne, a mianowicie ruchomą wiertniczkę Klaudii. Zrozumiał też, że Klaudia ukreśli mu za to głowę i wyjątkowo w tym wypadku będzie miała świętą rację.

Ponieważ przyrząd i tak trzeba było naprawić, wziął go ze sobą, następnie wyciągnął z ziemi jego cienki czujnik i cały ładunek zapakował w pojemnik na próbki. Później, chociaż zupełnie nie miał na to ochoty, nacisnął guzik interkomu i wywołał Klaudię.

– Wszystkie pani wiertniczki pracują? – zapytał.

– Jedna dopiero co się wyłączyła – odpowiedziała Klaudia. – Akurat chciałam pana poprosić o sprawdzenie, co się z nią stało.

– Ta prośba byłaby nieco spóźniona – westchnął Pawłysz.

– Urządziłem na nią polowanie z nagonką i właśnie złowiłem. Przyniosę ją Sally. Ona wszystko potrafi naprawić.

– Przecież wiertnica jest metalowa! Okrągła! Jej nie można z niczym pomylić!

– Jak pani widzi, jednak można. Strach ma wielkie oczy – odparł Pawłysz. – Ignorancja prowadzi do fatalnych pomyłek.

Wyłączył się. Był na siebie zły. Żaden normalny biolog nie pomylił aparatu z żywym stworzeniem. A wszyscy jak dotąd uważali, że Pawłysz jest zupełnie normalnym człowiekiem i w dodatku naukowcem. Na tym właśnie polega niebezpieczeństwo obcego świata skojarzonego z własną nadczujnością. Zdumiewające połączenie nadmiernej ostrożności z poczuciem całkowitego bezpieczeństwa. „Przecież tylko dlatego zacząłem wygrzebywać tę kulę – pomyślał Pawłysz – że wiedziałem, iż mojego skafandra nie przegryzą żadne zęby, że mój aneblaster powali każdego drapieżnika, że w najgorszym razie mogę uciec do kopuły albo nawet odlecieć w kosmos kutrem i tam czekać, aż ktoś mnie zabierze. Nie muszę się bać tej planety nawet wówczas, jeśli zwali na nas jakiś kataklizm. A jednocześnie jej nie ufam. Lękam się jej i robię wszystko, żeby badając ją, jednocześnie, broń Boże, jej nie dotknąć. A co by było, gdybym dostał się tu bez tych wszystkich kopuł i skafandrów, stanął na tej trawie nagi i bosy? Czy patrzyłbym na to jezioro takim samym zaciekawionym wzrokiem? Czy może las, jezioro i powietrze groziłyby śmiercią?” To były puste, do niczego nie wiodące myśli. Lepiej zejść nad samo jezioro i pobrać próbki wody. Naturalnie z równym powodzeniem może to zrobić automat, i to lepiej niż Pawłysz, ale przecież nie wolno wszystkiego oddawać w łapy automatom. Automaty pozbawione są wyobraźni, w przeciwieństwie do Sławy Pawłysza, który wolno podchodził do brzegu jeziora, omijając skupiska krzewów. Wolał wolną przestrzeń.

Miejscowa fauna wyglądała na biedną, co było o tyle dziwne, że z miejscową roślinnością było wszystko w porządku. Inna rzecz, iż nie można wykluczyć istnienia świata, w którym dominującą rolę odgrywa flora...

Pomyślawszy to zobaczył owada – coś czarnego i szybkiego przemknęło pod nogami, poderwało się do góry i odleciało w stronę krzewów.

„No, nareszcie – pomyślał z satysfakcją Pawłysz. – Pierwsza znajomość”.

Zszedł nad samą wodę i postać tam chwilę. Woda w jeziorze była czysta, przy samym brzegu

pokryta cienkim lodem. Do lodu od dołu przymarzły włoski wodorostów. Cieniutka żmijka smyrnęła między kamienie i zniknęła w głębinie.

Przeciwny brzeg jeziora tonął we mgle i można było jedynie domyślić się wznoszącego się tam pasma wzgórz.

Pawłysz rozbił warstewkę lodu, nabrał do probówki wody, a następnie rozgrzebał kamyki, mając nadzieję znaleźć między nimi jakieś żyjątka, ale nie było tam niczego.

Daleko, co najmniej sto metrów od brzegu woda wzburzyła się, uniosło się nad nią coś na kształt pancera ogromnego żółwia, i zaraz potem z głośnym pluskiem zapadło się pod powierzchnię. Po jeziorze rozeszły się wielkie kręgi.

Pawłysz wyprostował się z probówką w ręku. Woda się uspokajała, jezioro milczało. Czekają, co zrobi przybysz. Pawłysz odruchowo obejrzał się i stwierdził, że do kopuły jest daleko. Woda znów się rozfalowała, ale inaczej. Pojawił się na niej wzburzony ślad. Ktoś dyskretnie ukryty pod powierzchnią szybko płynął do brzegu.

Przy tym wszystkim panowała martwa cisza, nawet wiatr ucichł.

Pawłysz zaczął ogarniać niewytłumaczalny, irracjonalny lęk przed tym czymś czy kimś, niewidocznym i bezdźwięcznym, pędzącym w jego stronę. Zrobił krok pod górę, potem jeszcze jeden, potknął się o kamień, z najwyższym trudem utrzymał równowagę i nieoczekiwanie dla siebie ruszył w stronę kopuły, nie odwracając się i starając się udawać, że nie ucieka, tylko po prostu idzie, bo znudziło mu się spacerowanie po brzegu.

– Pawłysz? – usłyszał głos Klaudii. – Nic się nie stało? Ta kobieta miała intuicję. Albo doświadczenie.

– Nic – odparł Pawłysz, starając się uspokoić oddech. Zwolnił kroku i obejrzał się przez ramię na jezioro. Jezioro było beztrosko, idyllicznie spokojne.

Tylko z daleka nadbiegała ściana śniegu i woda wzdłuż jej frontu lekko się burzyła.

– Nic – powtórzył Pawłysz. – Wracam. Nic tu ciekawego -

Widok kopuły był krzepiący. Tam w środku było ciepło, potwory do wnętrza nie miały wstępu i w ogóle było miło. Koło lądownika stała Sally Gosk w pomarańczowym, lśniącym od deszczu skafandrze. Pomachała mu ręką.

– Dowiedziałam się – powiedziała – że wybrał się pan na spacer i postanowiłam się przyłączyć. Jeśli naturalnie nie ma pan nic przeciwko temu.

– A Klaudia nie będzie się gniewać?

– Wręcz przeciwnie. Będzie zadowolona, bo instrukcja zaleca, aby zwiadu w nieznanymi i niebezpiecznych miejscach dokonywać grupą.

– A gdzie tu jest niebezpieczne miejsce?

– Nie odchodźcie daleko – rozległ się głos Klaudii.

– Zajrzymy tylko do lasu i zaraz wracamy – odpowiedziała Sally.

Rzadka trawa porastająca polanę zniknęła w odległości trzech kroków od pierwszych drzew. Była tam tylko naga ziemia z plamami cherlawych mchów.

Pnie drzew były brudnoróżowawe lub brudnożółtawe. Zresztą nie były to właściwie pnie, bo przypominały raczej korzenie, które z jakichś tam powodów postanowiły wyleźć na światło dzienne. Przy samej ziemi owe pnie – korzenie skręcały się w fantazyjne węzły, jakby w obawie, że ktoś je będzie próbował ściągnąć z powrotem pod powierzchnię i zawnoczu się przed tym zabezpieczyły.

Liści w zwykłym rozumieniu tego słowa drzewa nie miały. Korzenie na cienkich końcach

przekształcały się w siwe włosy, które zwisały na kształt frędzli i poruszały się od najmniejszego podmuchu wiatru, co nadawało lasowi złowieszczy, zaczarowany wygląd.

Ziemia między drzewami była mokra, gdzieniegdzie pokryta topniejącymi płatami śniegu, między którymi widniały pomarańczowe płachty porostów i niebieskie wzgórki mchu. Wyglądało to jak nieporządnie zszyty ze szmatek różnobarwny chodnik.

– Jak w przerażającej bajce – powiedziała Sally. Wyciągnęła rękę i ostrożnie dotknęła rękawicą najbliższego pnia, który miękko ustąpił, jakby był z kauczuku, a włosy na głowie drzewa zafalowały. Sally krzyknęła i gwałtownie cofnęła rękę. Pawłysz nawet się nie uśmiechnął. Złowieszcza atmosfera lasu działała przygnębiająco.

– Co? – wysokim głosem zapytała Klaudia.

– Wszystko w porządku – odpowiedziała Sally. – Oswajamy się.

Przeszli jeszcze kilka kroków, starając się nie dotykać pni. Zatrzymali się.

– Proszę spojrzeć – powiedziała cicho Sally.

O kilka metrów przed nimi z mchu wylaniały się niewielkie półkule jak kapelusze grzybów wyrastające z ziemi.

Pawłysz chciał wziąć jeden z grzybów, ale Sally powiedziała:

– Chwileczkę, mam laskę.

Dotknęła grzyba cienkim prętem i grzyb nagle uciekł przed metalem, zapadł się pod ziemię.

– Ciekawe – powiedziała Sally i wyciągnęła pręt w stronę innego grzyba.

Akurat w tej samej chwili cienki korzeń wyrastający z pnia i leżący na ziemi, przypominający pień barwą i dlatego wyglądający niegroźnie, skoczył ku lasce, omotał ją i szarpnął tak silnie, że Sally trzymająca silnie pręt omal się nie przewróciła.

Pawłysz zareagował niemal instynktownie. Wyszarpnął aneblaster z kieszeni i strzelił. Korzeń natychmiast wyprostował się i znieruchomiał.

Sally stała, przyciskając metalowy pręt do piersi, jakby obawiała się, że ktoś jeszcze będzie go chciał jej odebrać.

– Przepraszam – powiedziała.

– Wygląda na to, że nas tu nie lubią – odparł Pawłysz.

W lesie pociemniało. Ściana śniegu nadlatująca znad jeziora wdarła się między drzewa mrowiem mokrych płatków.

– Chodźmy do domu – zaproponowała Sally.

– Zgoda.

W padającym śniegu nie było nic widać na trzy kroki. Pewnie w krótkim starciu z korzeniem stracili kierunek, bo przeszli jakieś pięćdziesiąt metrów, a las się nie skończył. Tylko drzewa rosły tam ciaśniej, a ich pnie były bledsze.

– Klaudio – powiedział wówczas Pawłysz. – Daj nam peleng.

– Tego tylko brakowało, żebyście zabłądzili – powiedziała Klaudia i włączyła brzęczyk pelengu.

Wracali wolno, omijając wzgórki mchu i porosty. Tylko raz Pawłysz wdepnął niechcący w pomarańczowy śluz, który od razu przykleił się do buta, a kiedy pochylił się, żeby go zetrzeć, natychmiast przepelzł na rękawicę.

– W porządku – powiedział Pawłysz. – Umówimy się, że pobraliśmy próbkę miejscowego życia i niesiemy ją do domu.

– Co niesiecie? – zapytała Klaudia.

– Bardzo nieprzytulny las – powiedziała Sally. – Za nic nie chciałybyś tu zabłądzić.

– Zaraz nastawię herbatę – obiecała Klaudia.

– Znakomita myśl! – ucieszył się Pawłysz.

Przez ostatnie drzewa widoczne już były zasnute strugami deszczu i śniegu kopuły stacji.

Jednak okazało się, że dojście do nich nie jest takie proste.

Między lasem a kopułami czekało na nich zwierzę.

Zwierzę wyglądało jak ozdoba koszmarne snu. Jego sześć cienkich nóg dźwigało ciężkie ciało pokryte zielonkawą, długą, przypominającą wodorosty sierścią i uwieńczone wzdłuż grzbietu wysokimi kostnymi płytami. Straszliwie wyszczerzony pysk otwierał się wolno i zamykał, jakby potwór przymierzał się, jak tu najlepiej wgryźć się w zdobycz.

Na widok ludzi zwierzę wydało dziwny, beczący głos, groźny i wyzywający, po czym zaczęło kołysać się na boki, grzechocąc płytami kostnego grzebienia.

Nie przestając beczeć, potwór rzucił się w ich stronę.

Pawłysz zdążył osłonić sobą Sally i wypuścił w potwora maksymalny ładunek z aneblastera. Potwór ryknął wysokim głosem i zawirował w miejscu, tracąc zdobycz z oczu. Pawłysz wystrzelił ponownie i znów bez skutku. Tylko przypomniał potworowi, gdzie znajduje się jego zdobycz.

Nie wiadomo, czym by się ten bój zakończył, gdyby nie Klaudia. Ze szczytu głównej kopuły wytrysnął cienki zielony promień i trafione nim zwierzę zważyło się z łoskotem na ziemię.

– Miłe zwierzątko – powiedział Pawłysz, starając się uśmiechnąć. Obrócił się w stronę Sally.

Sally milczała. Starła się wyrwać z objęć drzewa. Widocznie cofając się przed potworem oparła się plecami o drzewo, które otoczyło ją swoją tkanką, chcąc wessać ją do środka, wypić z niej wszystkie soki.

Reszkę ładunku aneblastera Pawłysz wpakował w drzewo. Tym razem poskutkowało. Pień skurczył się, poczerniał i Sally zrobiwszy trzy kroki, wpadła w ramiona Sławy.

– Czemu milczałaś? – zapytał Pawłysz.

– Nie chciałam przestraszyć Klaudii – odpowiedziała Sally cicho.

Podtrzymując dziewczynę, Pawłysz podszedł do rozciągniętego na całą swoją trzymetrową długość cielska potwora.

– Wszyscy mają ochotę nas przekąsić – powiedział.

Wziął od Sally pręt i ostrożnie rozwarł nim paszczę potwora. Zamiast zębów w czarnej dziurze sterczały tępe, żółtawe tarczki.

Klaudia wybiegła z kopuły i przystanęła obok.

– Wniosek pierwszy – powiedziała. – Aneblaster na miejscowe wielkie drapieżniki nie działa lub działa nie dość skutecznie.

– To nie jest drapieżnik – zauważył Pawłysz. – Takimi tarczkami łatwiej przecierać pokarm roślinny niż rwać mięso. Chociaż gdyby nas przetarł, za późno byłoby zastanawiać się nad jego naturą. Dziękuję, Klaudio.

– Nieustannie was obserwowałam.

– Nogi mam jak z waty – wyznała Sally.

– Rada jestem, że tak się stało – ciągnęła Klaudia. – To posłuży za lekcję.

– Nie rozumiem – powiedział Pawłysz.

– Lekcję ostrożności. Postanowił pan spacerować po tej planecie jak po Ziemi. Teraz już nie będzie pan tego robił.

– Może ma pani rację – westchnął Pawłysz. – Pomoże mi pani przenieść to ścierwo do laboratorium?

– Uruchomiłam serworobota – odparła Klaudia. Jakby słysząc jej słowa, z luku wygramolił się serworobot i miarowym krokiem pospieszył ku cielsku potwora.

– Co pan ma na nodze? – zapytała Klaudia.

Pomarańczowy porost pokrył cienką, śliską warstwą nogawkę skafandra niemal do kolana, więc przed poddaniem się dezynfekcji Pawłysz zdrapał uparty śluz do próbówki.

* * *

Śnieg przemieszany z deszczem padał tak obficie, jakby zima postanowiła wrócić. Dlatego wszyscy postanowili zebrać się u Starego, w pokoju lekcyjnym. Ledwie się zmieścili. Dzieciaki siedziały na podłodze, chcieli je wypędzić, ale żaden się nie ruszył, nawet najmłodszy. Olegowi wydawało się, że wszyscy dorośli chcieli tylko jednego – zdyskredytowania Siergiejewa, okrzyknięcia go łgarzem lub fantastą. Olega w tym wszystkim po prostu nie brali pod uwagę. Nie rozumiał, że wynika to z przesadnego lęku, obawy zapeszenia, a każdy z oponentów w gruncie rzeczy marzył o tym, aby dostrzeżony przez Siergiejewa przedmiot istotnie okazał się sondą atmosferyczną i tylko dlatego wysuwał przeciwko tej tezie najbardziej szalone i najgłupsze argumenty.

Na przykład matka, nie wiedząc czemu, powiedziała, że był to satelita obserwacyjny pozostawiony przez jakąś starą grupę eksploracyjną.

– W atmosferze? – odpowiadał Siergiejew. – Na wysokości paru kilometrów? Przecież w gęstych warstwach powietrza satelita spaliłby się już w trakcie pierwszego obrotu!

– A właśnie! – wtrącił się Veitkus. – Jesteś pewien wysokości? – Tak bardzo poczerwieniał z podniecenia, że stał się na twarzy ciemniejszy od swojej rudej brody.

– Oleg może to potwierdzić.

Oleg powtórzył, chyba piąty raz z rzędu, że był to ciemny przedmiot, który poruszał się bardzo szybko i pozostawiał za sobą puszysty ślad.

– A zatem na wysokości najwyżej dziesięciu kilometrów. Wyżej smugi kondensacyjne się nie tworzą – zakonkludował Siergiejew.

W pokoju robiło się coraz duszniej, ale nie otwierali drzwi, bo niewidoma Krystyna była przeziębiona i kaszłała.

– Nie jest wykluczone – powiedziała Luiza – że są tutaj bardzo szybkie ptaki. Bajecznie szybkie.

– Poruszające się z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę? – zapytał cierpliwie Siergiejew.

Oleg zdumiewał się jego cierpliwością. Już dawno chciał wrzasnąć: „To nie był żaden ptak, żaden satelita! Tutaj, może o parę kroków są ludzie, a my siedzimy i tracimy czas na głupie gadanie!”.

– Uważasz, że to było za małe na lądownik? – zapytał Veitkus.

– To była sonda, rozumiesz, typowa sonda – odpowiedział Siergiejew. – W życiu widziałem ich całe setki. I sam wystrzeliwałem.

– To znaczy, że oni nas sfotografowali? – zapytała Marianna.

– Nie sądzę – odparł Stary. – Mapę planety sporządziła poprzednia wyprawa, a dokładniej automatyczna stacja Test. To była sonda biologiczna lub geologiczna...

– No, przynajmniej ty wierzysz... – powiedział Siergiejew.

– Chciałbym wierzyć – odrzekł Stary.

– A więc mogą nas nie zauważyć? – zmartwiła się Marianna.

– Na dwoje babka wróżyła. Równie dobrze mogą zauważyć – powiedział Siergiejew.

– Tylko bez optymizmu! – wybuchła Krystyna. – Nikt nas nie zauważy. Żeby zauważyć, trzeba byłoby nas szukać. Czy sobie nie zdajecie sprawy z tego, jakim jesteśmy tutaj znikomym pyłkiem? Mikroskopijną kropeczką! W dodatku w naszej osadzie prawie nie ma metalu, w związku z czym przy każdej analizie wyda się ona wytworem lasu, jego przedłużeniem. Nikt nas nie znajdzie.

– Może jednak przypadkiem?

– Sondy atmosferyczne pobierają próbki biosfery, powietrza, gruntu, ale nie sporządzają map – powiedział Stary. – Krystyna ma rację, szansę odnalezienia nas są niemal zerowe. Nie należy zapominać również i o tym, że jesteśmy stale zasłonięci chmurami.

– Ale mogą zobaczyć statek – powiedział Oleg. – Nad nim zdarza się czyste niebo.

– Tak, w tym wypadku szansa jest odrobinę większa, ale też nieduża – powiedział Stary.

Koniec, pomyślał Oleg, dorośli zaczynają się zgadzać. Pozwolili się przekonać, ale zrobili to jak z łaski... Zaprzagnął nagle powiedzieć tak głośno, żeby wszyscy usłyszeli, że gdyby nie jego balon, nigdy nie zobaczyliby sondy, że być może wyprawa wystrzeliwująca sondy – szperacze siedzi tu już od pół roku i właśnie zbiera się do odlotu. I tak wyraźnie wyobraził sobie statek podobny do „Polusa”, wyobraził sobie sytych, czystych ludzi, ubranych w piękne mundury lub skafandry, zamykających pojemniki z próbkami i mówiących do siebie: dosyć, na tej planecie nie ma nic poza krzykliwymi kozami i szakalami.

W pokoju panowała cisza i w tej ciszy rozległ się głos Kazika. Kazik siedział na podłodze razem z dziećmi, a Fumiko leżała przewieszona przez jego kolana.

– A może oni odlatują?

– Kto odlatuje? – zapytała wysokim głosem Krystyna.

– Skąd ci to przyszło do głowy? Oni nigdzie nie odlatują.

Dach zadudnił pod nagłym uderzeniem wiatru. Światło przenikające przez okienka zaciągnięte pęcherzami mustangów było tak słabe, iż twarze ludzi rozplywały się w półmroku i nie sposób było rozpoznać ich wyrazu. Jednakowe szare plamy.

– Trzeba do nich pójść – powiedział Dick. – Jeśli tu będziemy siedzieć, to nic się nie zdarzy. Trzeba pójść i powiedzieć im, że tu jesteśmy.

– Zuch z ciebie, Dick – powiedziała Marianna i położyła mu rękę na ramieniu.

Głupio, pomyślał Oleg z poczuciem krzywdy. To ja powinienem był powiedzieć. Dlaczego czekałem, aż Dick się z tym wyrwie.

– I dokąd to zamierzasz się wybrać? – zapytała matka.

– Może te sondy latają po okręgu? Może ta leciała w lewo, a może w prawo? Może wyląduje na drugiej półkuli?

– Co więc proponujesz? – zapytał Stary.

– Trzeba dać jakiś sygnał.

– Jaki? Rozpalić ognisko?

– Myślałem o tym – wtrącił się Siergiejew. – Według mnie sytuacja nie jest zupełnie beznadziejna. Dokładnie znamy kierunek lotu szperacza, a z mojego doświadczenia wynika, że takie sondy prawie nigdy nie są wysyłane na trasy kołowe. Wystrzeliwuje się je w stokrotkę.

– Jeśli to był szperacz – powiedziała matka Olega.

Oleg zrozumiał, iż matka oponuje nie dlatego, że naprawdę nie wierzy Siergiejewowi i uważa każdą próbę odnalezienia wyprawy za pozbawioną sensu. Po prostu lęka się, że na poszukiwanie

ludzi wysłą Olega...

Jej syna.

– Ten „ptak” leciał po bardzo płaskim torze – powiedział Siergiejew – a potem wszedł w chmury.

– Czemuś tego od razu nie powiedział?! – wykrzyknął Stary.

– Bo w ogóle nie chcieliście mi wierzyć, a to akurat jest szczegół.

– Ładny mi, szczegół! – Veitkus roześmiał się wysokim, dudniącym głosem i matka musiała niemal krzyknąć, żeby ją było słychać:

– A daleko to? Gdzie jest ten punkt?

– Mogę określić kierunek – odparł Siergiejew. – Przypuszczalny kierunek, w którym znajduje się baza tego szperacza. – I unióśł rękę.

– Południowy wschód – sprecyzował Stary.

– Chmury przez swą monotonię utrudniają ocenę odległości – ciągnął Siergiejew. Veitkus wreszcie przestał się śmiać. – W dodatku zupełnie nie wiem, jak daleko sonda przeleciała w chmurach i pod nimi...

– Ale rząd wielkości, rząd! – przerwała mu Luiza.

– Kilkadziesiąt kilometrów. Niemal na pewno poniżej stu.

– No, to już zupełnie nadzwyczajny fart – powiedział Veitkus. On nigdy nie chodzi do lasu, pomyślał Oleg, więc nie ma pojęcia, co tutaj znaczy sto kilometrów. Nikt z nas nigdy jeszcze nie chodził tak daleko. Nawet Dick. Nie, chodziliśmy, ale do statku, w góry. A tam na południowym wschodzie jest bardzo trudny las. I bagna. Kiedyś Dick dotarł do rzeki, za którą rozciągają się wielkie bagna.

– Istotnie można uznać, że mieliśmy szczęście – zgodził się Siergiejew. – W każdym razie dotarcie do nich jest realne.

– Trudne – powiedział Dick.

– Ale realne, prawda? – w głosie Veitkusa zabrzmiały proszące nuty. Rozumiał, że sam do bazy wyprawy nie dojdzie i pójść musi Dick. I Oleg.

– Oni już odlecieli – powtórzyła matka. – Zanim tam dojdziecie, po nich nie będzie już śladu.

– Nie możemy stracić tej szansy – powiedział Stary. – Jeśli będzie trzeba, to sam pójde.

– Gdzie tam – powiedział Dick. – Droga jest trudna.

– Ale dojść można – Kazik zerwał się na równe nogi.

– Zrobimy tratwę.

– A bagna? – zapytał Dick. – Próbowałem już tam wleźć.

– Obejdziemy je – powiedział Kazik. – Przecież muszą się gdzieś kończyć.

– W końcu – powiedział Oleg, bo wychodziło na to, że iść ma ktoś inny, a nie on – doszliśmy do przełęczy, a to było trudniejsze.

– Jakieś pięć, sześć dni drogi – powiedział Veitkus.

– Pójde z wami.

– To jest wyprawa o wiele bardziej niebezpieczna niż droga na przełęcz – ostrzegł go Siergiejew.

Za okienkiem ściemniało. Stary zapalił kaganek i odbłask płomienia sprawił, że twarze obecnych stały się niepodobne do siebie i złe.

Ktoś za plecami Olega poruszył się, miękka ręka dotknęła jego szyi. Veitkus z Siergiejewem

spierali się o tereny leżące na południowym wschodzie tak zaciekle, jakby tam już nieraz bywali. Oleg odwrócił się, bo pragnął, żeby to była ręka Marianny, ale wiedział, że Marianna ma dłoń suchą i szorstką. To była Liza.

Zbliżyła wargi tuż do jego ucha i szepnęła.

– Nie idź tam, boję się o ciebie.

Mówiła bardzo cicho, ale ludzie byli tak stłoczeni, że Olegowi wydało się, że wszyscy te słowa usłyszą i będą się śmiać. Odsunął więc głowę, aby uwolnić się od dotknięcia i nic nie odpowiedział. W uszach mu szumiało i dlatego z trudem zrozumiał, że Stary mówi coś o tratwie.

– Na tratwę potrzebne są pnie. Pnie trzeba zrąbać. Siekierę mamy tylko jedną, a nasza piłka nadaje się raczej do drobnych robót stolarskich. Zresztą nie wiadomo, czy pnie rosnących tam drzew będą pływać.

– Gdyby nie rzeka – powiedział Dick – doszlibyśmy w pięć dni.

– Można użyć pęcherzy – odezwał się Oleg. – Powiązać je ze sobą i... Przecież dzieciaki pływają na pęcherzach.

– To jest pomysł – powiedział Stary.

– Chwileczkę, chwileczkę! – zawołała Marianna i zaczęła mówić szybko, jakby obawiała się, że ktoś jej przerwie i sam powie to, co ona ma zamiar powiedzieć: – Oleg mówił o pęcherzach. Właśnie! Wcale nie musimy przepływać rzeki i przeprowiać się przez bagna. Mamy przecież balon!

– Mamy balon! – usłyszał własny głos Oleg. – A tymczasem gadamy i gadamy...

– A jak w takim razie polecimy na statek? – zapytał Siergiejew.

– A po co? – zdziwił się Oleg. – Statek nie jest nam już teraz potrzebny.

Potem był wielki hałas, wszyscy mówili jeden przez drugiego, ponieważ balon był znakomitym wyjściem z sytuacji, a spotkanie z tą tajemniczą wyprawą, która wystrzeliwała szperacze, stała się nagle realna i prosta. Wystarczyło wsiaść w balon i dolecieć. W ciągu dnia, a może i krócej. Ktoś mówił, że wiatry tu są stałe i że jeśli na noc się ociepli i spadnie rosa, to wiatr z pewnością będzie południowy. Nawet matka nagle się uspokoiła i zaczęła szeptać Olegowi na ucho, żeby cieplej się ubrał. Jednak w pewnym momencie Krystyna jęknęła, powiedziała, że jest jej bardzo duszno, źle się czuje i prosi o odprowadzenie do domu. Liza poprosiła Olega o pomoc, bo sama nie da rady odprowadzić Krystyny.

Oleg bardzo nie chciał wychodzić, bo teraz miała się zacząć najważniejsza rozmowa dotycząca właśnie jego. Na szczęście wstał Siergiejew i powiedział:

– Przerwa. I tak nie ma tu czym oddychać. Proponuję, żeby wszyscy zjedli kolację, a dopiero potem będziemy kontynuować rozmowę. Położymy dzieciaki spać i nad wszystkim się zastanowimy. Sprawa jest bardzo poważna.

Prowadzili Krystynę do jej domu. Liza zupełnie Olegowi w tym nie pomagała, tylko po prostu szła obok niego. Zresztą jej pomoc zupełnie nie była potrzebna, bo Krystyna była tak lekka, że można ją było donieść na rękach.

– Marzę – mówiła Krystyna – czuję się jak zaczadzona. Czyżbym istotnie miała wreszcie zobaczyć prawdziwych ludzi? Sądzę, że wyleczą moją ślepotę bez trudu, może nawet tutaj, w bazie. To przecież łatwa operacja, prawda?

– Naturalnie – zgodził się Oleg, który nieustannie czuł na sobie wzrok Lizy.

– Smutno mi bez ciebie – powiedziała Liza. – Zupełnie do nas nie zagładasz ostatnio.

– A komu jesteśmy potrzebne? – zaśpiewała swoją smętną pieśń Krystyna. – Jeśli nawet mnie

wyleczą, to nikt już nie zwróci mi młodości. Nigdy. I może lepiej nie otwierać ponownie oczu, żeby nie zobaczyć w lustrze rozsypującego się ze starości potwora.

Oleg nie wierzył, że Krystyna tak naprawdę myśli. W głębi duszy jest przekonana, że ludzie zwrócą jej również młodość. Przecież całkiem możliwe, iż przez dwadzieścia lat w Galaktyce tak wiele się zmieniło, że ludzie przestali umierać. Jeśli ludzie mają dość miejsca do życia, a wolnych planet jest bardzo dużo, to wszystko jest możliwe.

– Przychodź do mnie – powtarzała Liza i Oleg zorientował się, że mówiła przez cały czas jak nakręcona. – Będę czekała. Kiedy wszyscy pójdą spać, przyjdź do mnie. Krystyna nie powie ani słowa.

– Nie będę milczała, bo będziecie mi przeszkadzać – powiedziała Krystyna. – Jesteście jeszcze dziećmi i nie powinniście myśleć o takich rzeczach.

– A my wcale o niczym takim nie myślimy – odparł Oleg. Podeszli do domu. Oleg puścił Krystynę i powiedział:

– Lizo, wprowadź ją do środka, bo ja muszę już wracać.

– Będę czekała – powiedziała Liza. – Zawsze będę na ciebie czekała.

– Dobranoc – powiedział Oleg. Nie bardzo wsłuchiwał się w jej słowa i zupełnie nie potrafił zrozumieć, jak Liza akurat teraz może tak mówić. Nie rozumiał, że dziewczyna bardzo się boi tego, iż ponownie odejdzie lub odleci, a ona znów będzie na niego czekała, nie wiedząc, czy się doczeka.

Oleg wrócił do Siergiejewa, gdzie już był Stary i Veitkus. Gość w rodzaju rady osady. Olega na to zebranie nie zaprosili, ale na pewno go nie wypędzą. W osadzie tak się jakoś ułożyło, że każdy sam decydował, czy ma zjawić się na naradzie, czy też nie. I teraz Dick poszedł spać, chociaż rozmowa dotyczyła również jego. W domu była Marianna i Linda, ale obie przecież w nim mieszkały. Był jeszcze Kazik, który jednak nie wszedł, tylko stał na dworze pod ścianą. Dygotał z zimna i słuchał.

– Wejdz do środka – powiedział do niego Oleg, ale Kazik tylko machnął ręką. Lepiej wiedział, co wolno a czego nie.

– Posiedzę z wami – powiedział Oleg, wchodząc do pokoju.

Nikt nie odpowiedział, ale też nikt nie zaprotestował. Siergiejew podsumował to, co mówił przedtem.

– Dlatego podtrzymuję swoje zdanie – powiedział. – Kolejność priorytetów winna pozostać niezmienna.

Wszyscy milczeli. Jaki priorytet? – pomyślał Oleg. Trzeba zaczekać. Ktoś zaraz odpowie i sprawa się wyjaśni”.

– Siergiejew ma rację – powiedział Stary, przysuwając sobie kubek z herbatą. Marianna postawiła kubek przed Olegiem. – Gołębie i wróble. Nie możemy powiedzieć z całkowitą pewnością, czy operuje tu grupa badawcza, czy też Siergiejew z Olegiem padli ofiarą złudzenia optycznego.

– Nie – powiedział Oleg.

– Nie przerywaj. Nie wiemy też, czy szperacz schodził do bazy, czy też po prostu zmieniał pułap w celu pobrania próbek. Nie wiemy, czy wyprawa ma obsadę ludzką, bo przecież nie można wykluczyć, że jest to stacja automatyczna. Niczego nie wiemy. A zatem mamy gołębia na dachu. Naturalnie spotkać tu ludzi byłoby wspaniale, ale obawiam się, że prawdopodobieństwo przemawia przeciwko tej możliwości. Mamy za to wróbla w garści, „Polusa”. Ten cel jest osiągalny. Mam nadzieję, że Oleg nie zmarnował tej zimy. Sprawdzalem go i ty, Siergiejew, również. Jego wiedza

jest niedostateczna, ale gruntowna. Istnieje zatem nadzieja, że wspólnie potraficie zrobić coś z nadajnikiem. To wszystko.

Stary zaczął pić herbatę, a Oleg nie zdołał pojąć, o co mu właściwie chodziło. Żeby nie lecieć na poszukiwanie wyprawy?

– Ale to nie było złudzenie optyczne – powiedział. – Jestem tego pewien.

– Jest również problem kozy, kapusty i wilka – powiedział Veitkus. Oleg znał to zadanie, ale znów nie rozumiał, dlaczego Veitkus wspomniał o nim akurat teraz. Pozostali wiedzieli, o co mu chodzi. Siergiejew popatrzył z uśmiechem na Olega.

– Wytlumaczcie mi o co chodzi, a nie mówcie zagadkami! – zirytował się Oleg.

– To nie jest zagadka, tylko zadanie do rozwiązania – powiedział Siergiejew.

Marianna siedziała obok Olega, który dzięki temu mógł widzieć jej wyrazisty profil. Profil był bardzo piękny, odwrócił więc od niego wzrok, żeby nie przepuścić słów Siergiejewa.

– Trzeba dotrzeć do ekspedycji, zgadza się?

– pewnie, że trzeba. I to balonem – odparł Oleg.

– Na razie wszyscy się zgadzamy. Dalsza sprawa: kto ma lecieć?

– Ja polecę. Mogę z Marianną, mogę z Dickiem – powiedział Oleg. – Mamy doświadczenie.

– A my sądzimy, że nie powinieneś lecieć.

– Jak to?

– Bardzo prosto. Dopiero co słyszałeś o gołębiu na dachu i wróblu w garści. Nasza osada jest bardzo mała i mieszka w niej niewielu ludzi. I dlatego, żeby wyżyć, musimy w miarę możliwości minimalizować ryzyko.

– Nie rozumiem.

– Czeka cię wyprawa do „Polusa”. To konieczne. Będziesz musiał wyruszyć już wkrótce. Lato się zaczęło.

– Polecimy, a jeżeli nikogo tam nie będzie, to wrócimy i polecimy w kierunku „Polusa”. To przecież takie proste.

– Wcale nieproste! – krzyknął Stary i nawet rąbnął pięścią w stół z taką siłą, że kubek omal nie spadł na ziemię. – Nie wiemy, ile potrwa lot do bazy. Nie wiemy, gdzie ta baza się znajduje. W ogóle niczego nie wiemy. W najlepszym razie możemy liczyć na to, że balon przeniesie ludzi przez rzekę i bagna. Nie wierzę, aby tam można było swobodnie wylądować i z powrotem wystartować balonem. Najprawdopodobniej trzeba będzie go porzucić i przygotować się na to, że droga zajmie bardzo wiele czasu.

Oleg usłyszał poruszenie przy drzwiach. Okazało się, że Kazik cichutko wszedł, nie mogąc oprzeć się ciekawości, a może po prostu za bardzo zmarzł na dworze. Teraz stał pod drzwiami nieruchomy jak drzewo.

– A do statku można dojść – ciągnął Stary. – Znamy drogę, jesteśmy lepiej ubrani i obecnie jest to wyprawa trudna, ale już nie szalona. I ty jesteś w niej niezbędny. Zdołasz dotrzeć tam z Siergiejewem. Wszystko jasne?

– Kto w takim razie poleci moim balonem? – zapytał Oleg, mimo woli kładąc nacisk na słowie „moim”.

– To jest nasz wspólny balon – powiedziała Marianna takim tonem, jakby poczuła się urażona.

– Balonem poleci Dick z Marianną – powiedział Stary. – Oni mają największą szansę na przeżycie w lesie.

– I ja – powiedział cicho Kazik.

– Spać, Kazik – powiedział Veitkus – już późno.

Kazik pozostał pod drzwiami. W jego nieruchomej pozie było tyle uporów, że Veitkus udał, iż w ogóle go nie widzi.

– Jak to jest? – powiedział Oleg gniewnie. – Ja wypróbowałem balon, ja najlepiej umiem go obsługiwać, wreszcie ja mam lecieć nim do „Polusa”, a tymczasem zabiera mi się go?!

– A jak sam byś postąpił na naszym miejscu? – zapytał Stary. – Gdybyś myślał nie tylko o sobie, lecz również o całej osadzie?

– Odwołałbym lot do bazy szperaczy. Nie ma tam żadnych ludzi.

– No, to już przesada – uśmiechnął się Siergiejew.

– W takim razie polecę z Marianną. Siergiejew również dużo wie o radiostacji.

Oleg zrozumiał, że nie może dopuścić, żeby Marianna poleciała z Dickiem nad odległe bagna, podczas gdy on będzie siedział na miejscu i czekał nadejścia pełni lata. I dlatego rzucił się do jeszcze jednego ataku.

– Dlaczego wam się wydaje, że balonem nie można lądować? Polecimy i wrócimy. W najgorszym razie wrócimy bez balonu i zrobimy nowy. Mamy Plujaka, a o mustangi nie jest tak trudno.

– Mustangi na lato przenoszą się gdzie indziej – powiedział cicho Kazik. – Mustangów do jesieni nie będzie.

– To w końcu nie jest takie ważne! – zirytował się Oleg. – I tak zdążymy dojść do statku. Lato jest długie.

Nikt się z nim nie spierał. Wszyscy w milczeniu patrzyli na niego. Veitkus skręcał w palcach brodę, jakby zamierzał zapleść ją w warkocz, a Siergiejew wyjął scyzoryk i zaczął zestrugiwać jakąś nierówność z blatu stołu.

Oleg też zamilkł, bo wydało mu się, że się z nim zgadzają. Milczą, a zatem zgadzają się, bo zostali przekonani. A potem odezwała się Marianna.

– Oni słusznie postanowili – powiedziała – tylko obawiają się powiedzieć na głos to, co należy powiedzieć.

– Co? – Olega zaskoczyły jej słowa. Wszyscy wiedzieli coś oczywistego, czego nie potrafił dostrzec. – Co takiego?

– To, że ci, którzy wyprawiają się na poszukiwanie bazy szperaczy, mogą nie wrócić. Długo nie wrócić albo nawet w ogóle. Dlatego konieczne jest, żebyś ty został i doszedł do statku.

– Zwariowałaś?! – krzyknął Oleg. – Jak możesz tak mówić!

A dorośli milczeli, bo zgadzali się z Marianną i od początku liczyli się z haniebną możliwością, że Marianna może nie wrócić.

– To przecież oczywiste – powiedziała Marianna spokojnie. – Chcesz herbaty?

– W ogóle nie chcę więcej z wami rozmawiać! – powiedział Oleg i rzucił się do drzwi. Kazik ledwie zdążył odskoczyć.

Oleg przebiegł kilka kroków po ulicy i wpadł w lodowatą kałużę. Trochę go to otrzeźwiło i ruszył wolniej w stronę palisady. Pod nogami trzeszczał mu cienki lód, ale on tego nie zauważał.

Zatrzymał się przy ogrodzeniu, patrząc na ciemny las, przez który przemykały szybkie niebieskie świetliki, usłyszał, jak skrzypnął stopień przed domem Siergiejewa, jak wyszedł Veitkus ze Starym. Usłyszał cichy głos Veitkusa:

– Co mu się stało? Czyżby żałował nam balonu?

– To też – odpowiedział Stary – ale jest również inny, ważniejszy powód.

Oleg nie usłyszał, jaki to miał być powód, bo Stary koniec zdania powiedział szeptem.

– Dziwne – powiedział Veitkus. – Zapewne masz rację, a ja nie zauważam oczywistych rzeczy.

Zresztą nic dziwnego. Oni są już niemal dorośli... A wszystkie rzeczy oczywiste i naturalne na Ziemi, tutaj jakoś uchodzą naszej uwagi.

– I mnie też bardzo szkoda chłopaka – powiedział Stary.

– Ale innego wyjścia nie widzę – westchnął Veitkus.

– Oleg też zrozumie – powiedział Stary nieco głośniej i Oleg pomyślał ze złością, że Stary powiedział to umyślnie, bo wie, że on ich słyszy. I omal nie odkrzyknął: Nic podobnego! Wcale nie chcę niczego rozumieć!

Potem Veitkus pożegnał się ze Starym i rozeszli się.

Skrzypnęły drzwi. Ktoś jeszcze wyszedł z domu Siergiejewa. Oleg pomyślał, że to Siergiejew idzie przemówić mu do rozsądku, miał jednak nadzieję, że to nie on.

– Oleg – rozległ się głos Marianny.

Szukała go!

Gotów już był się odezwać, bo ucieszył się, że Marianna go szuka, ale nie zrobił tego. Pewnie sam by nie potrafił powiedzieć dlaczego. Nie, potrafiłby. Marianna zaraz też zacznie go przekonywać, tak jak pozostali. Zgadza się lecieć jego balonem, zgadza się na to, żeby Oleg został w osadzie. A przecież ona jedna ze wszystkich powinna rozumieć, że nie wolno słuchać ostrożnych starców, którzy wszystkiego się boją. Boją się umrzeć tutaj, boją się ryzykować, zupełnie ich nie obchodzi, co czuje jakiś tam Oleg i dla dobra osady gotowi są wsadzić go do klatki. A co to jest dobro osady? Puste słowa. Przecież każdy myśli o sobie, tylko o sobie... Trzeba sobie z nimi dać spokój, nie zwracać na nich uwagi. O świcie wystartować samemu i odlecieć. Zna kierunek. Sam doleci gdzie trzeba i znajdzie bazę. Tylko że balon leży pod dachem, w pojedynkę nie da rady go wyciągnąć...

Postanowił jednak spróbować, dopóki wszyscy śpią. W tym momencie nie myślał o tym, że ktoś musi zwolnić balon z uwięzi, że rano wiatr może wiać w niewłaściwym kierunku. Odwrócił się na pięcie i pobiegł w stronę szopy. Miał przed sobą całą noc.

Wówczas Marianna, która została na dworze, bo była pewna, że Oleg jest gdzieś w pobliżu, zauważyła go i zamiast zawołać, również podeszła do szopy.

– Co chcesz zrobić? – zapytała szeptem.

Oleg drgnął, jakby zniemacka zaatakował go szakał.

– Co ty tu robisz? – on również mówił szeptem.

Marianna wybiegła na dwór nieubrana, na mokrym śniegu jej włosy skleiły się i zwisały nieporządnymi kosmykami.

– Bałam się, że coś ci się stało.

– Idź spać – burknął Oleg. – Sam sobie dam radę.

– Chcesz polecieć sam? To głupi pomysł – powiedziała Marianna.

– Jestem najgłupszy z całej wsi – odpowiedział Oleg. – Wszyscy jesteście mądrzy, a ja głupi.

Dlatego będę siedział tutaj i czekał.

– Przecież przez całą zimę się uczyłeś. Tak wiele od ciebie zależy.

– Gdybym wiedział, czym się to skończy, nigdy w życiu bym się nie uczył.

– Kocham cię, bo jesteś najmądrzejszy.

– Nikt mnie nie kocha, mną po prostu chcą się posłużyć jak narzędziem. Jak maszyną. I nikogo nie obchodzi, co myślę.

– Nie bój się o mnie. Polecę z Dickiem. Przecież wiesz, że nic mi się nie stanie.

– Jeśli nic się nie stanie, to trzeba lecieć razem.

– A jeśli jednak coś się zdarzy?

– To tym bardziej trzeba lecieć razem!

– Oleg, bardzo cię proszę, daj spokój... Wściekasz się, bo oni mają rację. Kiedy my będziemy lecieć do bazy, ty tutaj przygotujesz się do wyprawy na „Polusa”.

– Jeśli tam są ludzie, to moja wyprawa nikomu nie jest potrzebna. To oszustwo.

– Nie, to są myśli dorosłych ludzi.

– Oni myślą o sobie, tylko o sobie.

– Brednie. Dziwię się, że możesz coś takiego mówić! Oni myślą identycznie jak ja. Myślą o podrastających dzieciakach, które powinny wrócić do domu i uczyć się. O starych, którzy powinni żyć. I o tobie również.

– Wobec tego ty pójdziesz ze mną w góry.

– A kto poleci?

– Dick i Kazik. Dadzą sobie radę.

– Nie waż się tego nikomu powiedzieć, bo inaczej przestanę cię znać. Jak ci nie wstyd przywiązywać mnie, zmuszać, żebym trzymała cię za rękę. Po co? Żeby patrzyła na ciebie i mówiła, jaki jesteś śliczny? Od tego masz matkę.

– Obejdą się bez ciebie.

– Znam wszystkie rośliny i lekarstwa. Jestem im potrzebna.

– Jesteś potrzebna mnie.

– Dlaczego?

– Przecież wiesz! Dlatego, że cię kocham.

Skrzypnęły drzwi, chyba gdzieś obok.

– To ojciec – powiedziała Marianna. – Chodźmy spać. I jeśli rzeczywiście mnie kochasz, potrafisz to zrozumieć.

Ciemna postać Siergiejewa zbliżała się, majacząc wśród padającego śniegu.

Marianna pociągnęła Olega w kierunku domów. Poszedł za nią. W głowie miał taki zamęt, że już sam nie wiedział, co ma myśleć.

– Już zacząłem się niepokoić – powiedział Siergiejew.

– Rozmawialiśmy, ojciec – powiedziała Marianna.

– No i dobrze – powiedział Siergiejew, kładąc ciężką rękę na ramieniu Olega. – Ja też na twoim miejscu poczułbym się skrzywdzony. Doskonale cię rozumiem. Ale ty spróbuj zrozumieć nas. Jest nam bardzo trudno. Przez wszystkie te lata żyjemy oko w oko ze śmiercią. Jesteś zbyt młody, aby zdać sobie z tego sprawę. Uważasz, że ja się nie boję puszczać Mariannę w drogę? I że w zeszłym roku się nie bałem? Zastanów się nad tym, bardzo cię proszę.

* * *

Następnego dnia zaczęli przygotowywać balon do dalekiej podróży. Oleg trzykrotnie wznosił się nim z Dickiem i Marianną, a raz zabrał ze sobą Kazika. Kazika nikt nie chciał puszczać, ale potem

wszyscy pogodzili się z faktem, że chłopaka nie da się powstrzymać. Dick i Marianna nie mieli nic przeciwko temu. Kazik nie był ciężarem.

Oleg wystartował również w dwójkę z Dickiem, pokazując mu jak zmniejszać płomień w palniku i jak najracjonalniej zrzucić balast. Dick był milczący i posłuszny, bo w powietrzu tracił pewność siebie. Niemal ze sobą nie rozmawiali.

Potem wznieśli się nad chmury. Tym razem lot trwał o wiele dłużej, wydawało się, że chmury nigdy się nie skończą, a na powłoce zaczął połyskiwać lód. Oleg w pewnym momencie zamierzał wracać, ale potem postanowił jeszcze trochę poczekać, bo ustalono, że przy każdym wzlocie spróbują przebić chmury tak jak pierwszego dnia, bo może znów uda się dostrzec szperacza.

W trakcie dwóch pierwszych startów szperacza nie zobaczyli.

Oleg patrzył na Dicka. Przez całe życie ustępował mu pierwszeństwa w lesie i w osadzie, ponieważ Dick był silniejszy i zręczniejszy. Co prawda w pewnym momencie na statku Oleg okazał się silniejszy od Dicka, ale to było dawno. Teraz jednak, widząc, jak Dick kurczowo trzyma się krawędzi kosza, Oleg znów poczuł swoją wyższość i postanowił na razie nie wracać na ziemię. Gdyby Dick poprosił o wylądowanie, łaskawie by się na to zgodził. Ale Dick milczał, a kostki palców miał zupełnie białe. Nie wiadomo, z zimna, czy z napięcia.

Chmury nie chciały się kończyć. Dookoła była szara wata. Wiatru nie było i nie mogło być, bo balon poruszał się razem z wiatrem, a mróz okropnie doskwierał.

Musimy wracać, powtarzał sobie Oleg, nie spuszczać wzroku z palców Dicka. Może nas znieść za daleko.

Dick uniósł głowę, jakby spodziewał się zobaczyć dziurę w chmurach i nagle zapytał:

– A może my się wcale nie wznosimy?

– Wznosimy się, wznosimy – powiedział Oleg, chociaż wcale nie był tego pewien. I na wszelki wypadek wyrzucił za burtę ostatni worek z piaskiem.

Balonem szarpnęło.

Dick znowu zamilkł.

Oleg wyciągnął rękę ku palnikowi, aby zmniejszyć płomień i w tym momencie zrozumiał, że chmury się kończą, a przez nie prześwieca niebo.

Na górze, pod niebem, pozostali niedługo, bo bardzo zmarzli, a od momentu startu upłynęło wiele czasu. Jednak Oleg był niemal szczęśliwy. Trudno powiedzieć dlaczego. Może dlatego że mimo wszystko dotarli do nieba.

– Zrobiłeś dobry balon – powiedział Dick.

Oleg był mu wdzięczny za te słowa. Gdyby te słowa nie padły, nie powiedziałby:

– Słuchaj, Dick, mam ci do powiedzenia coś ważnego.

– Mnie?

– Tylko się nie śmieję. Kocham Mariannę.

– Mariannę? Kochasz? – Dick nie od razu zrozumiał, co to może znaczyć. – W jakim sensie?

– Tak naprawdę, jak w powieści. Chcę się z nią ożenić.

Dick coś mruknął pod nosem. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

– Opiekuj się nią, bardzo cię proszę. To jednak dziewczyna, rozumiesz?

– Idiota – powiedział Dick. – Co się przez to zmieni? Na rękach mam ją nosić czy co? W lesie wszyscy są jednakowi.

– Ja to doskonale rozumiem, ale i tak cię proszę.

– To niech zostanie – powiedział Dick. – Polecimy we dwóch z Kazikiem.

– Nie, ona poleci, nie da się przekonać.

Dick nic na to nie odpowiedział. Słowa Olega najwyraźniej go nie ucieszyły.

– Dziś pewnie szperacza nie będzie – powiedział Oleg. – Zacznę się obniżać, bo inaczej zamarzniemy.

Zmniejszył płomień i balon zanurzył się w chmurach. Dick milczał.

Opadali bez jednego słowa i dopiero kiedy przebili chmury, Oleg poprosił:

– Tylko nikomu nie mów, dobrze?

– A kogo to może obchodzić – odparł Dick, myśląc najwyraźniej o czymś innym.

Rozciągał się pod nimi rzadki las. Zniosło ich dość daleko, ale na szczęście na północ, gdzie były obszerne polany. Na jednej z nich wylądowali. Kiedyś, całą wieczność temu, szli tędy z Tomaszem do statku.

Zerwał się wiatr, zaczął wlec powłokę po ziemi i mocno się zmordowali, zanim zdołali ją opanować.

– Obawiam się, że to na jeden raz – powiedział Dick, kiedy usiedli na ziemi, opędzając się od komarów, nieludzko zmęczeni. Obok leżała błyszcząca sterta powłoki. – Z lasu wystartować będzie trudno...

– Lepiej byłoby wrócić balonem – powiedział Oleg. – Dlatego właśnie prosiłem, żeby mi pozwolili lecieć z wami. Najlepiej potrafię się z nim obchodzić.

– Żadna filozofia – odparł Dick. – Ty też się niedawno nauczyłeś.

Rozległy się krzyki – ze wsi biegła dzieciarnia pod przewodem Kazika, który widział, jak balon zносиło na północ.

* * *

Chociaż bardzo się z przygotowaniami spieszyli, upłynęło dziesięć dni, zanim balon wzbił się w niebo i poleciał na południowy wschód. Przez ostatnie cztery dni czekali na wiatr.

Aeronauci, jak nazwał ich Stary, byli ubrani bardzo ciepło. Założyli na siebie całą ciepłą odzież, jaka znalazła się w osadzie, bo w górze panował mróz.

Te dni były dla Olega bardzo męczące. Codziennie trzeba było przygotowywać balon, napełniać go gorącym powietrzem, startować, lądować, ściągać do wsi, naprawiać uszkodzenia, udoskonalać. W dodatku Stary nalegał, żeby Oleg nie zarzucał radiotechniki, a i Siergiejew też tego pilnował. Być może znęcali się tak nad nim dlatego, żeby zrozumiał wagę swego zadania i nie miał czasu dręczyć się tym, że nie pozwalają mu lecieć. Marianna też była bardzo zajęta. Z żywnością było krucho, bo lato dopiero się zaczynało, śnieg jeszcze nie wszędzie stopniał, grzyby dopiero zaczęły się pokazywać, a stare zapasy były już na wyczerpaniu. Osada niedojadała. Trzy razy Marianna z Kazikiem wyprawiali się do lasu na poszukiwanie kolonii młodych grzybów, które na razie kryją się pod ziemią i odszukać je można wyłącznie po zapachu i pisku drobnych, piekących meszek.

We wsi panowało zamieszanie, wszyscy gdzieś nieustannie pędzili, wszyscy mieli coś pilnego do roboty, co sprawiało

wrażenie, iż odlatuje nie tylko ta trójka, ale wszyscy pakują się i zbierają do odjazdu. Zresztą możliwe, że istotnie wszyscy się tak czuli. Wyczuwała to nawet Koza, która dreptała za ludźmi krok w krok i któregoś dnia omal nie rozwalila domu Krystyny. Kozioł się nie pokazywał, chociaż Koza uparcie go przywoływała. Nie wiedziała, bo skąd niby miała wiedzieć, że jej przyjaciela zabił

Pawłysz. Stało się to bardzo daleko stąd, a w dodatku nikt w osadzie nie znał Pawłysza, nie miał pojęcia o jego istnieniu.

Oleg widywał się z Marianną, rozmawiał z nią, ale tak się jakoś składało, że nie mogli porozmawiać sam na sam, ciągle spotykali się na oczach wszystkich. Nawet nie udało się im pójść razem do lasu. Dopiero w przeddzień odlotu wieczorem Oleg odszukał Mariannę przy szopie, gdzie przebierała ziarno, aby wziąć ze sobą tylko dobre, nie spleśniałe. Nawet zdziwił się, że jest tam sama. Przed południem startowali razem balonem, ale trzeci w gondoli był Dick, a przy Dicku o niczym nigdy nie rozmawiali. Marianna nie wiedziała, że Oleg powiedział Dickowi o swojej miłości i że teraz tego żałuje, wręcz dziwi się, iż mógł się w ten sposób wygadać.

– Nie jesteś zmęczona? – zapytał Oleg.

– Nie – odparła Marianna. – Tobie jest trudniej.

– Jakoś sobie radzę... A jak ty się do mnie odnosisz?

– Tak samo – powiedziała Marianna. – Dokładnie tak samo.

Podszedł do niej bliżej. Marianna klęczała przy płachcie z rozłożonym ziarnem i nie wstała, gdy się do niej zbliżył, ale przestała przebierać nasiona, zamarła. Oleg wyciągnął rękę ku jej głowie, a ona popatrzyła na niego uważnie. Ręka dotknęła policzka. Policzek był gorący. To uczucie gorąca było jak uderzenie. W Olegu wszystko zamarło, zawiązało się w supeł pod żebrami.

I w tym momencie Marianna lekko i niezauważalnie odsunęła się w bok. Okazało się, że pod daszek weszła Duża Luiza, ciągnąc za sobą kosz suszonych grzybów, resztkę jesiennych zbiorów. Te grzyby również trzeba było przebrać.

* * *

Następnego ranka wiatr wiał z północy. Deszczu nie było, więc Oleg zaczął napelniać balon gorącym powietrzem. Kazik siedział w koszu i wiązał worki z piaskiem, żeby nie przeszkadzały. W trójkę w gondoli było ciasno, ale Kazik wolał nie odchodzić od balonu, bo obawiał się, że mogą go zostawić. Potem przyszedł Dick, taszcząc worek z żywnością. Zrzucił go, sprawdził swoją kuszę, wypróbował zapalniczkę, którą mu dał Siergiejew. To była najlepsza zapalniczka w osadzie. Zawsze dawała iskrę, nawet przy największej wilgoci, bo miała szczelną pokrywkę osłaniającą knot.

– Słuchaj – zapytał Oleg Siergiejewa. – Może jednak ja polecę?

Siergiejew nie odpowiedział, a zresztą Oleg nie spodziewał się odpowiedzi.

Stary ponaglał aeronautów, bo wiatr mógł się w każdej chwili zmienić. A ponadto kiedy człowiek się spieszy, to nie ma czasu na zdenerwowanie.

Okolo południa na polanie zebrała się cała osada. Nie było tylko Lizy i Krystyny. Krystyna chorowała, a Liza lubiła siedzieć w domu.

Oleg stał koło kosza.

Marianna patrzyła na niego, ale była daleko, po drugiej stronie plecionej ścianki gondoli. Oleg obszedł kosz dookoła, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku i znów zatrzymał się obok dziewczyny. Stali w odległości pół metra od siebie, ale nie dotykali się. Wokół było zbyt wielu ludzi.

– Wracaj szybko – powiedział Oleg. – Jeśli za tydzień nie wrócicie, pójdę was szukać.

– Nie – powiedziała Marianna. – Czekaj, ale nigdzie nie chodź. Wrócimy na pewno, ale może to trochę potrwać.

– Uwaga! – krzyknął Stary. – Gdzie jest Oleg? Pora startować.

Oleg chciał te słowa puścić mimo uszu, ale Marianna powiedziała:

– Idź.

Pobiegł więc do liny, za którą odpowiadał.

Pozostali zaczęli odwiązywać postronki mocujące balon.

Balon już rwał się do góry. Był mocno nadęty, nerwowy i bardzo ważny. Jakby rozumiał, czego ludzie od niego oczekują.

Potem zaczął się dość szybko wznosić i Veitkus pomagał Olegowi luzować linę. Marianna przeszła na jego stronę kosza, ale patrzyła na ojca i machała mu ręką.

Lina napięła się, kotwica wyszła z ziemi i gwałtownie szarpnięta omal nie uderzyła Olega w głowę.

– Ciągnijcie! – krzyknął. – Wciągajcie linę! Kotwica poszła w górę.

Balon zaczął się zmniejszać.

– Przykręć płomień! – krzyczał Oleg.

Balon porwany wiatrem pomknął w stronę lasu. Jeszcze nigdy nie leciał tak szybko, ale nad lasem wiatr widać osłabł, bo balon zawisł na moment nieruchomo, a potem nawet zaczął opadać. Oleg widział czarne głowy kołyszące się nad krawędzią kosza. Dick wzmocnił ogień.

Balon poleciał dalej i po minucie zniknął nad lasem w szarej mgielce oddzielającej szczyty drzew od szarych chmur.

– No i po wszystkim – powiedział Siergiejew do Olega. – Zostaliśmy sierotami.

* * *

Pawłysz obudził się, kiedy było jeszcze zupełnie ciemno. Nie od razu przypomniał sobie, gdzie jest, a gdy to sobie uświadomił, spróbował dociec, dlaczego się obudził. Potem usłyszał płacz i zrozumiał, że to Klaudia, która czasem płakała lub mówiła przez sen, a nawet krzyczała, ale po przebudzeniu niczego nie pamiętała.

Gdyby to od niego zależało, Pawłysz już tydzień temu przeniósłby się spać do swojego laboratorium. Nawet próbował coś na ten temat powiedzieć, choć obawiał się; że dotknie tym Klaudię, ale ta zimnym tonem, jakby zawczasu przewidziała jego pomysł i przemyślała stosowne kontrargumenty, wytłumaczyła mu, że laboratorium nie jest dostatecznie wy – sterylizowane i całe jego wnętrze dosłownie roi się od bakterii i wirusów, które Pawłysz przywleka z zewnątrz. Ani słowem nie dała mu odczuć, że jego prośba o zezwolenie na przenosiny sprawiła jej przykrość. Nawet nie zapytała, dlaczego chce mieszkać w laboratorium.

Naturalnie powodem tego były nocne koszmary Klaudii. A mówiąc ściślej, były jednym z powodów. Gdyby planeta okazała się mniej złowieszczą i niegościnną, gdyby można było po niej spokojnie chodzić i sycić się nowymi wrażeniami, nie odczuwałby tak bardzo ciasnoty i izolacji przedziału mieszkalnego. Jeszcze niedawno Pawłysz marzył o wyrwaniu się ze statku, który zbrzydł mu w ciągu wielu miesięcy monotonnego lotu, rwał się pod niebo nowego świata. Teraz statek wydawał mu się przestronny, spokojny i przytulny. Tam można się było wykąpać w basenie, posiedzieć z jakimś miłym rozmówcą w oranżerii, pomuzykować w mesie...

Tutaj natomiast planeta nie tylko nie dopuszczała człowieka do siebie, ale również wtykała swoje krwiożercze łapska do wnętrza stacji. Na przykład tej pomarańczowej pleśni, która przyczepiła się do nogawki skafandra, prysznic dezynfekcyjny nie dał rady. Pawłysz zeszkrobywał ją, truł wszystkim, co miał pod ręką, ale pleśń nie tylko skutecznie się opierała, lecz również, gdy przez nieuwagę

dotknął jej końcem palca – bardzo boleśnie parzyła. Teraz oparzony palec był opatrzony plastrem, zaś Klaudii trzeba było nakłamać, że to skaleczenie. Klaudia nie wybaczyłaby – i miałyby świętą rację – takiej lekkomyślności.

Zresztą, nic szczególnego się nie działo. Planeta jak planeta, ekspedycja jak ekspedycja. Na tyle banalna, że można myśleć o sparzonym palcu. Zbyt agresywną planety też nie można było nazwać, bo z wyjątkiem starcia z potworem, które skończyło się dla niego źle, nie wydarzyło się nic poważniejszego. I to nie tylko dlatego że Klaudia strzegła porządku. Sally i Pawłysz również nie byli dziećmi i wiedzieli, że w Afryce spacer bez taty i mamy nie jest zbyt bezpieczny. A emocje można stłumić i skanalizować. Należy zorganizować dłuższą wycieczkę, a plany badawcze takie wyprawy eksploracyjne przewidywały. Wsiąść do łazika i zobaczyć, jakimi sprawami żyje ten świat poza granicami polany. Najwyższy czas to zrobić, bo program startów szperaczy został już zakończony i przyniósł pewne interesujące wyniki, chociaż nic nadzwyczajnego znaleźć się nie udało. Na razie. Zupełnie jak na wykopaliskach, gdzie znajduje się mnóstwo skorup lub zardzewiałych gwoździ niezwykle interesujących z punktu widzenia nauki, natomiast przyprawiających o ziewanie przypadkowego kibica. W muzeum taki kibic przechodzi obojętnie obok gablot z grotami włóczni czy posklejnymi z kawałków garnkami, bo pragnie zobaczyć wspaniałą posąg lub złoty diadem. Każdy archeolog potrafi w trzy minuty udowodnić, że zdobywanie diademów czy innych pektorałów nie ma większego znaczenia, bo celem archeologii jest odszukanie jak największej liczby skorupki i paciorków, bo to właśnie pozwala określić trasy migracji i poziom kultury materialnej. Możecie być jednak pewni, że archeolog nie jest zupełnie szczery, bo w głębi duszy marzy o diademie, o błysku złota wśród rozgrzebywanych śmieci, o tej niezmiernie rzadkiej sensacji, dla której pogarda jest kamieniem węgielnej archeologicznej pychy.

Planeta aktywna biologicznie musi kryć w sobie jakiś diadem, co zresztą nie oznacza, że ten skarb dostanie się właśnie Pawłyszowi. Skrawek planety, który powoli poznawał, był znikomo mały w porównaniu z całym tym światem i trzeba będzie jeszcze wielu wypraw, i wielu Pawłyszy, aby można było powiedzieć, iż planeta została w jakimś tam stopniu poznana i rozumiana.

Pawłysz przyznawał, że nie dysponuje ani stosowną wiedzą, ani znajomością planety. Jednak intuicja nieustannie przestrzegała go przed tym światem, a Pawłysz przywykł ufać swojej intuicji.

Przygotowywał łazik do wyprawy, kiedy do kopuły garażowej przyszła Sally. Chciała pojechać z Pawłyszem, ale Klaudia jej nie puściła, bo jej samej potrzebna była pomocnica. Obiecała wziąć Sally ze sobą następnego dnia, żeby obejrzeć ciekawe formy geologiczne na przeciwległym brzegu jeziora, odkryte przez jej szperacze.

– Jeśli napotka pan kwiaty – powiedziała Sally – prawdziwe kwiaty, to proszę przywieźć mi malusieńki bukiecik.

– A Klaudia?

– My się nie boimy Czarnego Luda!

– Stopniowo zaczynam dochodzić do wniosku, że ona ma jednak rację.

– Pan? Zdeklarowany buntownik?

– To wszystko tylko gra, Sally. A mnie na przykład wczoraj rozboleł brzuch...

– Jasne, może pan dalej nie mówić – przerwała mu Sally.

– Trzy dni temu dostałam dreszczy, bo trochę się przeziębiam... I już zaczęłam podejrzewać tę podstępna planetę, że zdołała przebić swymi śmiertcionośnymi bakteriami nasze hermetyczne ściany.

– Niestety, odwieczne marzenia o tym, że gdzieś tam napotkamy nieprawdopodobne formy życia,

na razie się nie spełniły. Prawa natury są wszędzie monotonicznie jednakowe. Wszędzie jest ten sam garnitur chromosomów pod maską zewnętrznej egzotyki. I niemal wszędzie trafiają się mikroorganizmy znakomicie funkcjonujące na materiale ludzkim.

– Sally, jesteś wolna? – rozległ się głos Klaudii. Usłyszeli go oboje.

– Idę – powiedziała Sally.

„Można pomyśleć – omal nie powiedział na głos Pawłysz – że Klaudia jest zazdrosna”.

Wyprowadził łazik z kopuły garażowej i ruszył wzdłuż brzegu jeziora, aby nie zagłębiać się w las. Jechał bez pośpiechu, rozglądając się na boki. Spokojnie brzęczały kamery, potrzaskiwały analizatory – łazik rzetelnie pracował, nie zwracając uwagi na pasażera. Pawłysz bardzo chciał znaleźć kwiaty, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że raczej ich na tej planecie nie znajdzie. Tu w ogóle było mało roślin wyższych, a i owadów zdolnych do ich zapylania jakoś nie było widać.

Dzień był ciepły i parny, trochę śniegu pozostało jedynie w głębi lasu. Ziemia nasyciła się wodą i okoliczny las w ostatnich dniach zaczął wyraźnie ożywać – zaczynało się długie, chmurne lato. Pawłysz więcej już tu śniegu nie zobaczy, bo odleci wcześniej, nie doczekawszy nawet środka lata. Chociaż musi się przecież jeszcze wybrać w góry, gdzie są lodowce i wieczne śniegi. Szkoda, że wybrali miejsce do pracy akurat w tym mrocznym kraju. Bardziej na południe, gdzie nad oceanem rozciąga się pustynia, klimat jest znacznie suchszy...

Dziwny widok przyciągnął jego uwagę. Nawet zatrzymał pojazd, aby dokładniej przyjrzeć się ogromnym owadom, przypominającym o dziwo konie, których stado prawdopodobnie szło do wodopoju i nagle natknęło się na łazik. Owady na moment znieruchomiały i zaraz na ich grzbietach, lśniąc i opalizując, zaczęły wyrastać przezroczyste pęcherze. Stado rzuciło się do ucieczki wzdłuż brzegu jeziora, a pęcherze wciąż się nadymały, przewyższając wreszcie wielkością same zwierzęta i osiągając około trzech metrów średnicy. Każdy krok uciekiniera zamieniał się w przedłużony skok – owady polatywały nad ziemią. Ten dziwny bieg miał w sobie wiele egzotycznej gracji.

Następnie stado skręciło ku jezioru i rzuciło się do wody. Nad powierzchnię wystawały jedynie pęcherze i wąskie czarne głowy z ogromnymi jak spodki, białymi ślepiami.

Owady nie odpłynęły daleko. Nagle woda przed pierwszym z nich wzburzyła się i smocza głowa z rozwartą, pełną zębów paszczką wystrzeliła ku pęcherzowi. Pęcherz pękł, czarny pysk skrył się pod wodą i razem z nim zniknęła smocza głowa. Pozostali pływacy gwałtownie zawrócili do brzegu.

Pawłysz sprawdził, czy kamery pracowały. Tę scenę Warto będzie odtworzyć wieczorem w domu. Klaudia powie jakiś banał w rodzaju: „okrutna walka o byt”, Sally będzie się zdumiewać, a może nawet współczuć tym pęcherzowatym stworom lub dostrzeże w nich coś zabawnego, choć co może być zabawnego w tym pozbawionym humoru świecie?

Pawłysz ruszył dalej wzdłuż brzegu, snując w myślach rozważania o tym, że za kryterium ucywilizowania świata można uznać właśnie poczucie humoru. Czasami potrafi się roześmiać nawet małpa, ale potrzebna jest wystarczająco rozwinięta mowa, żeby opowiedzieć jakiś dowcip i zobaczyć roześmiane twarze rozmówców. Tutaj natomiast niczego śmiesznego po prostu nie ma. Jeśli się zagapisz, bo masz ochotę się pośmiać, ktoś cię natychmiast skonsumuje.

Wkrótce znów musiał zahamować, bo równy dotychczas brzeg zamienił się w pofalowany teren opadający urwiskiem ku jezioru. Pagórki porośnięte były rzadkimi, białawymi i jakby cherlawymi krzewami, ale wśród nich widniały kręgi spulchnionej ziemi. Doskonałe geometrycznie koła jakby zakreślone cyrklem.

Pawłysz zatrzymał łazik na skraju jednego z kręgów. Stał. Nic ciekawego się nie działo, wobec

tego włączył chwytak. Długi i giętki pręt wyskoczył spod pancerza łazika i zaczął obmacywać ziemię. Jego koniec zbliżał się wolno do środka koła. I nagle, gdy już Pawłysz uznał, że kręgi spulchnionej ziemi są zupełnie niegroźne, grunt rozsunał się i coś białego, podziemnego i bezkształtnego wylazło na zewnątrz. Jakaś macka czy całe podłużne i bezkształtne stworzenie owinęło chwytak i z taką siłą pociągnęło do siebie, że pręt nie wytrzymał i urwał się. Macka znikła, a ziemia się wyrównała. Pawłysz zmartwiła utrata urządzenia, więc pogroził porywaczowi:

– Jeszcze się tym moim chwytakiem udławisz! Słowo daję, że się udławisz!

Skierował pojazd w bok i zaczął objeżdżać koliste pułapki, przedzierając się przez zarośla krzewów. Niemal natychmiast zobaczył wśród nich kwiaty albo coś, co je bardzo przypominało.

Purpurowe płatki wielkości dłoni otaczały żółty puszysty rdzeń. To było bardzo ładne. Długie żdźbła kwiatów kołysały się lekko, uginając pod ciężarem płatków.

Pawłysz rozejrzał się dokoła. Nic mu chyba nie groziło, a gdyby nawet, to i tak jego skafander oprze się każdemu napastnikowi. Wyskoczył z łazika i ruszył ku kwiatom. Sally się ucieszy.

Jednak w momencie, gdy jego rękawica dotknęła żdźbła, kwiat odchylił się i złożony płatki zapadł się pod ziemię. Tylko wąska norka wskazywała miejsce, w którym rósł. Drugiego postanowił wziąć z zaskoczenia. Chwycił go szybkim ruchem, jakby łowił muchę, i szarpnął.

Kwiat zawibrował w rękę, starając się uciec pod ziemię, ale Pawłysz trzymał go mocno. Walka trwała z pół minuty, potem kwiat poddał się i zawisł nieruchomo w ręku. Pawłysz spróbował rozchylić płatki, ale to nie były już płatki, tylko śluzowata grudka czerwonej protoplazmy.

Pawłysz odrzucił bryłkę, która spadła ciężko na ziemię i nagle znów ożyła. Łodyga, przed chwilą jeszcze miękka i bezwolna, zaczęła energicznie falować, odszukując szczelinę w gruncie. Po kilku próbach znalazła jakąś dziurkę i niczym dżdżownica wślizgnęła się do niej, wciągając za sobą również czerwoną bryłkę kwiatu.

– A życie sobie jak chcecie! – powiedział Pawłysz, nie ukrywając obrzydzenia. – Kwiatów tu więcej nie będziemy zbierać!

Po dalszych kilkuset metrach znowu musiał się zatrzymać. Wzgórza opadały do jeziora wysokim urwiskiem, z wody sterczały ostre głazy, a jak wynikało z dotychczasowych obserwacji, pływanie po jeziorze mogło być niebezpieczne. Wówczas Pawłysz uniósł łazik w powietrze i poprowadził go nad szczytami drzew.

Przez cienkie niebieskie i zielonkawe gałęzie trudno było dostrzec, co się dzieje w głębi lasu, tym bardziej, że rozpadał się deszcz, zasnuwając wszystko pajęczyną drobnych kropelek.

Pawłysz usiłował wmówić sobie, że otoczenie bardzo go interesuje, że jako biolog i podróżnik wiele się dziś dowiedział, że jest pionierem, Kolumbem tego świata i wobec tego jest bardzo rad ze swojej pierwszej wyprawy. W rzeczywistości czuł się paskudnie i ciągle myślami powracał do widoku cienkiej, śliskiej łodygi wyciąganej z ziemi i kwiatu przekształcającego się w bryłkę czerwonego śluzu.

Może wrócić? Pawłysz wyobraził sobie, że zaraz wejdzie do ciasnej kopuły wypełnionej czystymi, domowymi zapachami. Klaudia popatrzy na niego z udawaną surowością i oświadczy, że z pewnością niedbale zdezynfekował się przy wejściu, a Sally zacznie krzątać się przy kuchence, dając upust kobiecej chęci nakarmienia myśliwego.

Las skończył się jak nożem uciął przy wielkiej, bystrej rzece wpadającej do jeziora. Dochodził do rzeki zwarty i gęsty, bez skrawka wolnej ziemi, drzewa stały w wodzie białymi pniami jak niezdecydowani plażowicze zastanawiający się, czy mają dać nurka i popływać, czy też po prostu

opryskać się trochę wodą i wrócić na rozścielone na piasku koce.

Na przeciwległym brzegu Pawłysz spostrzegł niewielki przyładek porośnięty trawą i otoczony pasmem żwiru. Po chwili wahania skierował tam łazik. Uznał, że ten właśnie przyładek będzie granicznym punktem jego podróży.

Kiedy wyszedł z pojazdu, dookoła było zupełnie cicho, jeśli nie liczyć szmeru wody opływającej kamienie. Jakby wszedł do pokoju, w którym jeszcze przed momentem toczyła się niewymuszona rozmowa, ale na widok nieoczekiwanego gościa wszyscy zamilkli, czekając na wyjście intruza.

– Niewesoło tu macie – rzucił Pawłysz, ale odpowiedziało mu milczenie.

Otrząsnąwszy się z ponurych rozmyślań zaczął patrzeć w dal. Za rzeką znów zaczynał się las, niski i dość rzadki, który dopiero w pewnej odległości od brzegu nabierał siły. A jeszcze dalej, tam, gdzie las zlewał się z mętną ścianą deszczu, zauważył gigantyczną urwistą skałę. Zresztą nie, to chyba nie była skała, tylko raczej jakby kolumny, cztery kolumny sięgające chmur. O, to już jest ciekawsze, pomyślał Pawłysz, któremu odechciało się wracać do domu. Wzniósł łazik w powietrze i poleciał dalej.

Po pięciu minutach zbliżył się do kolumn na tyle, że mógł je dokładniej obejrzeć.

Przypominały pnie drzew, ale pnie o średnicy kilkudziesięciu metrów i jakby splecione z mnóstwa lin, z których każda miała ponad metr w obwodzie. Ponieważ sploty były przypadkowe, nieuporządkowane, to w niektórych miejscach pnie rozszerzały się, wypuszczały się gigantycznymi naroślami w bok, przy czym cała ta olbrzymia żywa konstrukcja była pokryta krzewami, porostami, niewielkimi drzewkami wyrastającymi z pnia, a w pewnym miejscu Pawłysz dostrzegł nawet w rozwidleniu niewielką sadzawkę otoczoną gęstą trzcina. Potem zobaczył jeszcze pieczarę – dziuplę, w której swobodnie zmieściłby się dwupiętrowy dom i już zamierzał wlecieć do jej środka, gdy w porę sobie wyobraził, jaki paskudny charakter mogą mieć jej mieszkańcy i zrezygnował.

Krążąc wokół pnia, powoli unosił łazik i zataczał coraz szersze kręgi, bowiem na wysokości jakichś stu metrów od pnia zaczęły odchodzić koślawe konary, a pień wciąż wznosił się do góry, zanim nie zniknął w niskich chmurach zasłaniających szczyt drzewa.

Pawłysz włączył reflektor. Silny promień światła z trudem przebijał się przez mgłę, w której majaczyły posplatane gałęzie. Kiedy łazik znalazł się w odległości jakichś pięciu metrów od pnia, światło reflektora odbiło się w ślepiach jakiegoś stwora, który tylko czekał, aż łazik znajdzie się jeszcze bliżej, żeby spróbować, jak smakuje.

Nagle pojazdem szarpnęło tak gwałtownie, że Pawłysz uderzył łokciem w pulpity sterowniczy i, chwytając za ręczny sterownik, nie od razu się zorientował, że radiolokator łazika zatrzymał go, aby nie wpaść na ogromną poziomą gałąź, szeroką na dziesięć metrów estakadę biegnącą do sąsiedniego drzewa.

Na razie nic więcej nie udało się zobaczyć. Trzeba będzie tu wrócić przy lepszej pogodzie, pomyślał Pawłysz. No, może nie jest to złoty diadem, ale na pewno srebrny naszyjnik. Udało mu się znaleźć najwyższe drzewa w Galaktyce, a to już było odkrycie.

Postanowił przebić warstwę chmur i zaprogramował odpowiednio autopilota, bo wolał nie ryzykować lotu na ręcznym sterowaniu.

Łazik wznosił się wolno, upłynęło więc co najmniej dziesięć minut nim znalazł się na górze.

Zrobiło się bardzo jasno. Niecodziennie jasno.

Nad głową połyskiwało błękitne niebo. Właściwie niebieskie, bo o wiele ciemniejsze niż na Ziemi. Płonęły na nim rzadkie gwiazdy. Tuż pod łazikiem ciągnęła się nieskończona warstwa chmur.

Niczym niezakłócona, spokojna, biała i czysta.

To znaczy, że szczyt drzewa kryje się w chmurach.

Nie szkodzi, w domu się we wszystkim zorientujemy. Radary zarejestrowały przekrój drzewa. Pawłysz zawrócił i wytyczył kurs na bazę, ale na razie postanowił nie schodzić pod chmury.

Pożałował, że wcześniej tu nie przyleciał, że wystrzeliwał w ten czysty przestwór swoje szperacze, a nie pomyślał, jakim znakomitym lekarstwem dla udrećzonego zatechłym lasem człowieka może być spojrzenie z góry na uprzykrzoną warstwę chmur.

Wspaniale by się tu oddychało...

– Doskonale – powiedział na głos. – Wiem teraz, gdzie przylatywać, kiedy mi będzie paskudnie na duszy.

– Gdzie? – zapytała Klaudia.

Okazało się, że interkom był włączony i Klaudia przez cały czas słyszała wszystkie jego westchnienia, przekleństwa i rozmowy z samym sobą.

– Wracam – powiedział Pawłysz.

– Jak lot? – zapytała Klaudia.

– Lot był bardzo interesujący – odpowiedział szczerze Pawłysz. – I bardzo piękne niebo.

* * *

Zjedli bardzo przyzwoity obiad. Na szczęście – człowiek musi się przecież jakoś pocieszać – Sally wzięła ze sobą mnóstwo rozmaitych przypraw i korzeni. Klaudia była wielką mistrzynią w przyrządzaniu chińskich dań i podobno, tak przynajmniej utrzymywała Sally, jej grupa słynęła w całym Dalekim Zwiadzie z osiągnięć kulinarnych. A różnorodność i wytworność posiłków przyrządzanych w trakcie dalekich wypraw uznawana była za szczególny szyk, nieosiągalny nawet na wielkim statku, ponieważ kucharze idą zazwyczaj po linii najmniejszego oporu, przestrzegając ściśle instrukcji wypisanych na opakowaniach liofilizowanych, konserwowanych radiacyjnie, mrożonych i wszelkich innych półproduktów. Trzeba mieć chęć i wyobraźnię, żeby przekształcić pieczarkową zupę w proszku w cudowny sos do wspaniale soczystych befsztyków, przy czym samej soczystości i miękkości befsztyków nie da się osiągnąć bez uruchomienia intuicji i odrobiny polotu. Wystarczy chwila nieuwagi i befsztyk zamienia się w standardowy kawałek mięsa, taki sam jak na wszystkich statkach bazy.

Pawłysz leniwie odsunął niedojedzony budyń, bo nawet przy jego łakomstwie nic więcej zjeść nie był w stanie i powiedział:

– Teraz, moje piękne panie, zamierzam was ugościć bajecznym widowiskiem, jakiego nie napotkacie w żadnym innym zakątku Galaktyki.

Włączył projektor.

Na ekranie wolno leciały owady unoszone przez pęcherze powietrzne, po czym skręciły nad wodę i popłynęły, połyskując barwami tęczy niczym bańki mydlane.

Sally siedziała na podłodze, obejmując kolana swoimi pulchnymi ramionami.

– Jaka szkoda, że mnie z tobą tam nie było – powiedziała cicho. Pawłysz zauważył, że po raz pierwszy zwróciła się do niego per „ty”. Klaudia nie odrywała się od pracy. Na jej biurku leżała płaska skrzynka z przegródkami, w której znajdowały się próbki różnych skał. Przeglądała ich spektrogramy, cichutko coś pogwizdując, a uparte włosy wymykały się z jej zbyt solennego uczesania. Lampa zakreślała na blacie wyraźny krąg światła. Pawłyszowi wydało się, że Klaudia, kontynuując pracę, jakby karci go za to, że bawi się amatorskimi filmami i odrywa Sally od pilnej pracy. Nie miał racji. Klaudia musiała zerkać na ekran, bo nagle powiedziała:

– Ciekawe. Ten smok doskonale wie, jak obchodzić się z pęcherzami. Przegryza je, a to znaczy, że te koniki mają zwyczaj pływać po jeziorze, a on ma zwyczaj na nie polować.

– A teraz stracę chwytak – powiedział Pawłysz. Na ekranie pojawiły się kręgi spulchnionej ziemi. Sally pisnęła.

– Bardzo rozumny sposób zastawiania pułapki na ofiarę – zauważyła Klaudia. – Drapieżniki stosują go w całym Wszechświecie.

– Wszystkie drapieżniki łącznie z kobietami – zażartował niefortunnie Pawłysz i natychmiast ugryzł się w język. Oczekiwał ostrej repliki, ale mile się rozczarował. Klaudia nieoczekiwanie uśmiechnęła się i powiedziała:

– Nie bój się nas, Pawłysz! Pomyśl lepiej, czy to przyjemnie, gdy jakiś natręt wpycha ci żelazny

draż do domu.

Wreszcie nadeszła kolej gigantycznych drzew.

Na ekranie drzewa wyglądały nie tak majestatycznie jak w naturze. Były tak niepozorne, że Pawłysz już chciał poprosić kobiety, żeby nie wierzyły temu, co widzą. Szare, rozmyte pnie tonące we mgle, ogromne konary, sadzawka w rozwidleniu gałęzi...

– Kamera nie może obracać oczami jak ja – powiedział. – Pole widzenia jest ograniczone, zaś nasza wyobraźnia karmi się nielogicznymi ruchami gałek ocznych.

– Nie, nie – powiedziała Klaudia. – To robi duże wrażenie.

– Ile tam jest takich drzew? – zapytała Sally.

– Według mnie trzy lub cztery w zasięgu wzroku. Może dalej jest cały las.

– To chyba nie drzewa – zauważyła Klaudia. – Na mnie sprawiają raczej wrażenie zespołu symbiotycznego, lasu, który przybrał taką formę. Widzicie przecież, że każdy pień jest spleciony z setek cieńszych pni, jak lina z pojedynczych włókien.

– I każde drzewo to cały świat – dodała Sally. – Przecież tam z pewnością żyją istoty, które nawet nie podejrzewają, że poza drzewem w ogóle coś jeszcze istnieje.

– Trzeba będzie kiedyś zorganizować specjalną wycieczkę do tych drzew – powiedział Pawłysz. – Na kilka dni.

– Może zostawimy to wyprawie o większej obsadzie?

– powiedziała Klaudia.

– Chce mi pani odebrać odkrycie, które mnie rozślawi – jęknął Pawłysz.

– Nigdy nie należy zabiegać o sensację. – Klaudia znów straciła poczucie humoru. – Proszę spojrzeć – podała mu ze – szlifowany z jednej strony kawałek ciemnego kamienia, przez którego środek ciągnęła się szeroka złocista smuga. – To jest żyła czystego złota – ciągnęła. – Moje szperacze wykryły tu górę dosłownie naszpikowaną złotymi żyłami. Niesłychana rzadkość. Romantyk pańskiego typu natychmiast napisałby sensacyjny artykuł, a bezkrytyczni dziennikarze rozślawiliby pańskie imię w setkach wywiadów jako człowieka, który znalazł złotą górę. Ale dla mnie jest to jedynie nieistotny w gruncie rzeczy element geologicznego wizerunku planety.

Sally położyła dłoń na rękę Pawłysza, jakby obawiała się, że powie coś złośliwego i Klaudia poczuje się dotknięta. Dłoń była ciepła i miękka. Klaudia gwałtownie przerwała swój monolog i Pawłysz zorientował się, że nie spodobał się jej odruch Sally. Sally też to zrozumiała i cofnęła rękę. Nastąpiła niezręczna cisza, którą przerwała Sally.

– Mam ochotę na herbatę. Czy komuś również zrobić? – zapytała.

– Ja się z przyjemnością napiję – powiedział Pawłysz. Wyłączył projektor. Klaudia pochyliła się nad biurkiem i zaczęła obracać w palcach kawałek skały ze złotą żyłką.

Po herbacie Klaudia postanowiła nagle urządzić sprzątanie. Oświadczyła, że przez ostatnie dni wskutek lekkomyślności Pawłysza stacja zamieniła się w chlew. Pawłysz w sprzątanu nie uczestniczył, a że nie mógł się zająć inną pracą, poszedł do laboratorium i zaczął przeglądać jakąś książkę.

Za oknami już się ściemniło, zrobiło się granatowo. Można było sobie wyobrazić, że siedzi się w jakimś ziemskim domku, z którego w każdej chwili można wyjść na przechadzkę. Czytało się jakoś źle, fabuła nie chciała wciągać. Pawłysz wstał i włączył głośnik podsłuchu zewnętrznego. Las był cichy, ale jego cisza była niezupełna, składała się z mnóstwa ostrożnych dźwięków. Oto trzasnęła gałązka, coś zaszeleściło w trawie pod ścianą kopuły... Z daleka dobiegł dudniący dźwięk niemal

nieuchwytny, lecz potężny, potem coś zamlaskało, jakby tuż obok ktoś z trudem wyciągał nogi z trzęsawiska.

Nagle nad samym uchem rozległ się wysoki, przenikliwy wrzask. Pawłysz zerwał się jak oparzony i dopiero po dłuższej chwili pojął, iż wrzask dotarł do niego z głębi lasu, z tego zewnętrznego świata, który żył własnym życiem, nie zwracając najmniejszej uwagi na obecność Ziemiaków z całą ich techniczną potęgą.

Skoczył do okna. Za oknem w ciemności poprzecinanej promieniami obracających się wolno reflektorów kłębiły się cielska kilku drapieżników rozrywających na strzępy zielonego, nieruchawego zwierza. W tej walce było tyle pierwotnego okrucieństwa i tyle strachu przed śmiercią, że Pawłysz, patrząc na uciekającą w stronę lasu ofiarę i na jej nierozpoznanych prześladowców, wyłączył dźwięk i odszedł od okna. Pomyślał przy tym z lekkim smutkiem, że najpewniej odleci z tej planety niczego w gruncie rzeczy się o niej nie dowiedziawszy, chociaż formalnie zabierze z niej solidny ładunek badań biologicznych oraz próbek fauny i flory.

Czytać zupełnie mu się odechciało, ale nie miał też ochoty wracać do przedziału mieszkalnego. Teraz kobiety zaczną układać się do snu w swoich kojcach, a przedtem Klaudia czyścioszka na pół godziny zajmie kabinę prysznicową, natomiast Sally, co absolutnie nie przystoi poważnej zwiadowczyni, po raz piąty rozłoży pasjans. Zaprzagnął, żeby Sally odłożyła karty i przyszła do niego, bo się stęskniła, bo znudziło jej się słuchać, jak Klaudia pogwizduje pod prysznicem...

– Nie przeszkadzam? – zapytała Sally.

– Dobrze, że przyszłaś – odparł Pawłysz.

– Co to był za hałas? Wydało mi się, że ktoś krzyczał.

– Włączyłem podsłuch zewnętrzny, a tam tutejsze bestie trochę się pokłóciły.

Sally podeszła do okna.

– Pusto – powiedziała. – Nikt tu nie mieszka. Tubylcy tylko czasem przychodzą, żeby nas postraszyć. Ale my nie jesteśmy lękliwi, prawda?

– Pewnie! Nas się nie da zastraszyć.

– Mógłbyś tu zamieszkać na stałe?

– Z tobą tak – odpowiedział Pawłysz.

– Pytam poważnie.

– Człowiek potrafi żyć niemal wszędzie, a tutaj przynajmniej jest normalne powietrze i normalny deszcz.

Zbliżył się do Sally i dotknął palcami jej ramienia.

– Ta planeta ci się nie podoba, nudno ci w tej bazie i żałujesz, że dałeś się namówić na udział w naszej wyprawie. A ja jestem dla ciebie jedyną żywą rozrywką – powiedziała Sally.

Pawłysz cofnął rękę.

– Gdybyśmy byli na Ziemi...

– Na Ziemi byś mnie po prostu nie zauważył – zapewniła go Sally. – Nie potrafię zwracać na siebie uwagi. Normalna rzecz.

Odwróciła się i popatrzyła mu w oczy.

– Niewykłuczone, że czuję to samo co ty. I również nie zwróciłabym na ciebie uwagi... Jestem nieprzyjemna?

– Nie – powiedział Pawłysz.

Sally przytuliła się do niego, uchwyciła dłońmi jego głowę i pocałowała w policzek.

– Dziękuję – powiedział Pawłysz.

– Odpowiedź głupia, ale nie najgorsza – uśmiechnęła się Sally. Cofnęła się o krok, wyswobadzając się z jego rąk i Pawłysz zobaczył, że nie są sami. Zza pleców Sally przez okno zaglądał głupi biały pysk.

– Zgiń, przepadnij! – powiedział Pawłysz.

Sally obejrzała się i parsknęła śmiechem.

– Klaudia zapytałaby, dlaczego nie włączyłeś kamery.

– Chyba nie dawałam powodów, żeby śmiać się ze mnie za moimi plecami! – powiedziała obrażonym tonem Klaudia.

Stała w korytarzu przy wejściu do laboratorium. Była w szlafroku, mokre włosy miała owinięte ręcznikiem.

Pawłysz poczuł, że zaczerwienił się jak dzieciak, którego przyłapano na podkradaniu cukierków z babcinego kredensu.

Nic dziwnego, nie wiedział, jak długo Klaudia tam stała.

– Nigdy się nie śmieję za twoimi plecami – powiedziała Sally. – Doskonale o tym wiesz! – ona też potrafiła pokazać pazurki.

– Jutro trzeba wcześniej wstać – powiedziała Klaudia.

„Dzieci, pora do łóżeczek”. Pawłysz nie powiedział jednak tego na głos.

W ogóle ostatnio starał się nie mówić na głos niczego, co mogłoby urazić Klaudię.

– Jutro trzeba wcześniej wstać – zgodził się potulnie.

* * *

Balon wyprysnął do góry i porwany silnym wiatrem szybko poleciał w stronę lasu, nad którym zaczął się nieoczekiwanie obniżać, ale Kazik, nie pytając nikogo o zdanie, szybko podkręcił palnik i wyrównał lot.

Kazik był w swoim żywiole, bo oto leciał w swoją wymarzoną podróż. Zachowywał się tak, jakby przez całe życie nic nie robił, tylko latał balonami. Jego pewność siebie była tak oczywista, że Marianna i Dick bez najmniejszych oporów ustąpili mu pierwszeństwa w kierowaniu aerostatem, którego oboje trochę się bali.

Marianna do ostatniej chwili wpatrywała się w szarość pod nimi i wydawało się jej, że wciąż jeszcze widzi Olega, który do końca udawał odważnego i obojętnego, ukrywając swój lęk o nią i zazdrość o odlatujących. Marianna nie bała się o siebie, bo i czasu na to nie było, i obawy o siebie uważała za niepoważne i pozbawione sensu. Chciała teraz tylko jednego – jak najszybciej dolecieć na miejsce, nawet bez względu na to, czy na owym miejscu jest baza wyprawy badawczej, czy też niczego tam nie ma, i jeszcze szybciej wrócić. W istnienie bazy trudno jej było uwierzyć, podobnie jak wcześniej w istnienie statku, dopóki go nie dotknęła. Statek jednak zawsze istniał w rozmowach dorosłych i w ich pamięci, natomiast pojawienie się na planecie jakiejś wyprawy naukowej zakrawało na sen. To była jakaś nieprawdziwa wyprawa, a jej nieumiejętność odszukania osady jeszcze pogłębiała to wrażenie. Dlatego Marianna bała się jedynie, żeby nie zabłądzili, nie zalecieli zbyt daleko i wrócili, zanim Oleg pójdzie w góry do „Polusa”, bo chciała tam pójść razem z nim.

Dla Dicka baza, na poszukiwanie której lecieli, też nie była realna. W żaden sposób nie przystawała do jego wizerunku świata. Wprawdzie zeszłoroczna droga do „Polusa” nieco ten wizerunek zmieniła, ale nie zburzyła – wszak „Polus” był martwy, stanowił niejako przedłużenie

zasady, a zarazem jej źródło. Dick nie wyobrażał sobie życia poza planetą, poza lasem. Swoją próżność zaspokajał walką z lasem, przez jego podbój. Nigdy nie myślał o życiu na jakiegokolwiek innej planecie, powiedzmy na Ziemi, ponieważ rosną tam inne lasy i bytują inne zwierzęta.

Tylko Kazik żył już na Ziemi. Mieszkańcy osiedla zapoznawali się z balonem w miarę tego, jak powstawał i nabierał kształtu, natomiast Kazik ujrzał go oczyma duszy znacznie wcześniej i intuicyjnie wiedział wszystko, co można wiedzieć o balonach. Już w pierwszych lotach z Olegiem poznał charakter balonu o wiele lepiej niż sam Oleg, ale niczego nie mówił, bo sam jeszcze o tym nie wiedział. Teraz w pierwszych minutach lotu, korzystając z tego, że Marianna i Dick wciąż, myślami pozostawali na ziemi, lepiej umocował worki z balastem i żywnością w ten sposób, żeby zrównoważyć gondolę, czyli – jak sam to sobie wytłumaczył – żeby balonowi było wygodniej. Traktował aerostat jak żywą istotę, której bywa ciężko, lekko, wesoło i nawet niewygodnie, starał się więc zrobić mu przyjemność.

Dick patrzył w dół, starając się wypatrzeć ścieżki i miejsca popasów, ale z góry las wyglądał zupełnie inaczej. Był obcy, jakby nie bywał w nim setki razy. Nagle rozpoznał polanę, na której przed rokiem zakłuł wielkiego niedźwiedzia, który pozostawił mu pamiątkę, trzy długie blizny na ręku. Dick zerknął na blizny, a kiedy popatrzył w dół, polana już zniknęła.

Wiatr osłabł. Kazik zwiększył płomień palnika, bo poczuł, że balon się obniża. Widoczność jeszcze bardziej się pogorszyła, nawet drzewa w dole zasnuły się mgłą.

– Lecieć niżej? – zapytał Kazik.

To były w ogóle pierwsze słowa wypowiedziane od chwili wzlotu i dlatego wydały się bardzo głośne.

– Niżej? – Dick nie od razu zrozumiał sens pytania. Przecież lot się jeszcze nie skończył! – A rzeka?

– Nie widać, dokąd lecimy – powiedział Kazik.

– Dobrze lecimy – uspokoiła go Marianna. – Niedługo będzie pierwsze bagno.

Balon drgnął i zawisł pod nagłym uderzeniem deszczu. Gondola zaczęła się kołysać. Dick wczepił się w krawędź kosza, a Marianna przykucnęła, bo wydało się jej, że burta jest bardzo niska, więc może wypaść.

– Pójdę do góry – powiedział Kazik. – Poszukamy wiatru, bo może nas zanieść z powrotem do osady.

– Nie trzeba wracać – burknął Dick. – Wyśmieją nas.

– Dick nie znosił myśli, że ktoś mógłby się z niego śmiać.

Kazik podciągnął do burty worek z piaskiem i, rozwiązawszy, wysypał część balastu na zewnątrz. Worek zostawił, bo jeszcze mógł się przydać.

Balon natychmiast ruszył w górę i widać było jak zmniejszają się, toną w mgle drzewa.

– Fajnie, prawda? Wysypałem, a on mnie posłuchał! – wykrzyknął radośnie Kazik, ale nikt mu nie odpowiedział.

Marianna i Dick bali się, bo balon był bardzo kruchy, a poza tym zachowywał się kapryśnie. Dla obojga stało się jasne, że są więźniami balonu zdanymi całkowicie na jego łaskę i niełaskę. Jak zechce, to uniesie ich w niebo albo, dla odmiany, rzuci o ziemię. W przeciwieństwie do Kazika nie czuli aerostatu i nie potrafili mu rozkazywać.

Po paru sekundach balon skrył się w chmurach i zrobiło się jeszcze nieprzyjemniej, bo w gęstej mgle coś się tailo. Coś groźnego. Może latające zwierzę, może skała, a może coś niepojętego.

– Teraz to już zupełnie nie wiem – wyznał na głos Kazik – czy lecimy do góry, czy też w ogóle nigdzie nie lecimy. Nie wiem.

– Wzniesmy się nad chmury jak z Olegiem – zaproponował Dick.

– Mamy niewiele balastu – ostrzegł Kazik. – Może jeszcze się przydać.

– To daj więcej ognia – poradziła Marianna.

– Oleg mówił, żeby go za bardzo nie rozdymać. Jeśli pęknie, polecimy w dół jak kamień – znów zaproponował Kazik.

Chłopak zdał sobie sprawę ze swojej władzy nad starszymi, zrozumiał, że niczego się nie boi, że bawi go lot w chmurach, podczas gdy oni czują się nieswojo, prawie się boją.

– Do góry! – rozkazał Dick, który wyczuł jego ukryty bunt. Kazik wzruszył wąskimi ramionami i odkręcił palnik.

Zrobiło się zimniej, kosz zawilgotniał, wielkie krople wody staczały się z powłoki i rześistym deszczem lały się na głowy.

Nagle zrobiło się jaśniej. Balon przeleciał przez prześwit w chmurze, wskoczył w przerwę między dwoma warstwami i popędził ku niemal czarnej, ogromnej chmurze, w której co chwila migwały błyskawice.

– Ale ładnie! – krzyknął Kazik. – Jak zaraz rąbnie!...

– W dół – powiedział Dick. – Nie słyszysz, co się do ciebie mówi?

– Szkoda – Kazik z żalem przykręcił płomień. – Jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Z dołu to całkiem co innego.

– A ja nie muszę tego oglądać – powiedziała Marianna. Balon, nie wiedzieć czemu, nie chciał opadać, tylko nadal leciał na spotkanie burzowej chmury.

Dick odepchnął Kazika i gwałtownym ruchem zakręcił palnik.

– To nie zabawka! – powiedział.

– Nie wolno całkiem gasić! – krzyknął Kazik. – Jesteście durnie!

– Zamknij się, gówniarzu!

Brutalnością maskował strach, bo nawet przed sobą nie chciał się przyznać, że może się czegoś bać.

Balon nagle trafił w wir powietrzny, zadrżał i pomknął w dół.

– Zapalaj! – krzyknął Kazik. – Przecież on zaraz ostygnie!

– Zdaży się – powiedział Dick. – Najpierw trzeba zejść w dół.

– Nie wolno tak od razu. Gdzie zapalniczka?

Zapalniczkę miał Dick, ale nie dawał jej Kazikowi, ponieważ nie wierzył, że balonowi może coś grozić na ziemi. Chciał tylko jednego – jak najszybciej uciec przed burzową chmurą.

– Popatrz, przecież on się kurczy! – Kazik pokazał w górę. Ale tylko jego oczy widziały, że powłoka flaczeje, a balon zaczyna coraz szybciej spadać.

– Masz – Dicka jednak zaniepokoiło przerażenie malca i podał mu zapalniczkę.

Zapalniczka skrzypiała, szczekała i nijak nie chciała się zapalić.

Było mokro, więc i knot zapalniczki zawilgotniał. Gdyby Kazik wiedział, że Dick całkiem zgasi palnik, to zawczasu schowałby zapalniczkę i trzymałby ją w suchym miejscu.

Dookoła znów były chmury, znów było prawie ciemno, ale grzmoty osłabły, pozostały w górze niemal nad ich głowami.

– Dobrze, że zdążyliśmy – powiedział Dick tonem usprawiedliwienia. Patrzył kątem oka, jak

Kazik wciąż strzela zapalniczką.

– Daj, ja sam – dodał i wyrwał zapalniczkę z napiętych palców Kazika, ale zapalniczka i jego nie chciała słuchać. Kazik patrzył z boku na iskierki odskakujące od krzemienia. Wydawały się zimne i malutkie.

– On się robi mniejszy – powiedziała Marianna z przestraszeniem. Spozobrzała, że siatka oplatająca powłokę wrzyna się w nią coraz głębiej.

Dick grzał zapalniczkę w dłoniach starając się osuszyć knot. Teraz już wszyscy widzieli, że balon opada coraz szybciej.

– Może zasłonić otwór? – zapytała Marianna, ale ugryzła się w język, bo zrozumiała, że uszczelnić balonu od dołu nie mają czym.

– A twoja zapalniczka? – krzyknął nagle Kazik. – Przecież powinnaś ją mieć!

– Pewnie, że mam – odpowiedziała Marianna. – Dziwne, że o niej zapomniałam.

– Dawaj!

– Zaraz, gdzie ja ją miałam?

– W woreczku na szyi – podpowiedział Kazik. Marianna szybko rozsupłała torebkę z lekami, którą miała zawieszoną na piersi i wyjęła z niej zapalniczkę.

Kazik wyrwał ją i, odepchnąwszy Dicka, zaczął krzesać ogień.

Zapalniczka zapłonęła za trzecim razem, ale palnik nie dawał się uruchomić.

– Odkręć go! – wrzasnął Kazik do Dicka. – Przecież go zakręciłeś.

Kosz znów się zachybotał. Dick stracił równowagę i ledwie zdążył złapać się za burtę.

Kazik sam, omal nie odłamawszy regulatora, odkręcił palnik i, z rozkoszą wciągnąwszy obrzydliwy zapach paliwa, zbliżył zapalniczkę do końca rurki. Zapalniczka na szczęście nie zgasła i na palniku zajarzył się błękitnawy płomyk. Kazik natychmiast odkręcił palnik jeszcze mocniej i płomyk przemienił się w płomień.

W tym momencie wypadli z warstwy chmur.

– Mimo wszystko spadamy – powiedziała Marianna cicho. Wiatr był dość słaby, ale porywisty i balon skokami posuwał się w dół.

– Za późno – powiedział Dick. – Teraz mocno się trzymaj.

Uspokoił się. Znał las i nie mógł uwierzyć, że ten znany mu żywioł może być groźny. Nie potrafił sobie wyobrazić siły uderzenia o drzewa i ufał, że las przyjmie ich łagodnie i nie zabije.

– Worki! – krzyknęła Marianna, budząc się z odrętwienia. Chwyciła worek z piaskiem leżący u jej stóp i z trudem przerzuciła go przez burtę, sama przy tym omal nie wypadając na zewnątrz.

W tym momencie balon dotarł akurat do szczytów drzew i przez krótką chwilę można było policzyć gałęzie, a Kazik, który przypominał sobie o balaście dopiero po okrzyku Marianny, patrzył jak zaczarowany na zbliżającą się ziemię, nie lękając się o siebie ani o innych. Szkoda mu było tylko pięknego balonu, któremu groziło nieuchronne rozerwanie na strzępy.

Szczyty drzew, takie bliskie, nagle gwałtownie odskoczyły w dół. Dick również chwycił worek. Trzeci z kolei worek ciągnął Kazik, ale nie wyrzucił go w całości jak Marianna, tylko szybko się opanowawszy wysypał sam piasek. Był dumny, że pomyślał o tym nawet w takiej chwili i powiedział:

– Worki trzeba oszczędzać!

Nikt go jednak nie słyszał. Marianna i Dick patrzyli w dół, na szczyty drzew odpływające we mgłę. Nie oderwali od nich wzroku nawet wówczas, gdy Kazik już spokojnie przykręcił palnik

i uważał, aby balon dalej się nie wznosił. Nie musieli znowu przebijać chmur. Zresztą nie mieli już balastu. Utrzymywanie poziomego lotu było bardzo trudne, ponieważ burzliwy wiatr miotał balonem we wszystkie strony, zmuszając do wykonywania najdzikszych ewolucji w mglistej przestrzeni między chmurami a lasem.

– No i po strachu – powiedział Dick. – Niepotrzebnie się baliście.

W koszu było trudno utrzymać się na nogach, bo po wyrzuceniu balastu gondola stała się znacznie lżejsza i majtała się we wszystkie strony. Chmura wypluła z siebie krótki szkwał i balon pomknął przed siebie, pochylając kosz, jakby chciał z niego wyrzucić ludzi. Skulili się więc na jego dnie, wczepieni w pręty i linki, przeczekując gwałtowny atak wiatru, po którym zaczęła się spokojna ulewa.

– Mamy pecha – powiedział Dick, wstając z podłogi i zaglądając przez burtę w dół. – Teraz już całkiem nie wiadomo, gdzie nas zaniósł.

– Z początku lecieliśmy dobrze – powiedział Kazik. – To znaczy zanim wznieśliśmy się do góry. Lecieliśmy dobrze prawie godzinę, a miotало nas na boki jakieś dziesięć minut.

W osadzie nie było zegarów, ale pojęcia godziny, minuty i sekundy pozostały. Kazik miał niezawodne wyczucie czasu i wszyscy mu pod tym względem wierzyli.

– To znaczy, że lecimy w dobrą stronę? – zapytała Marianna z nadzieją.

– Tak, ale nie całkiem dokładnie – odparł Kazik.

Aeronauci przemokli i przemarzli. Nie uchroniły ich przed tym nawet buty i kurtki z rybiej skóry. Jednak ziąb poczuli dopiero teraz, bo przedtem myśleli tylko o tym, żeby się nie rozbić.

– Będziemy patrzyli w dół – powiedziała Marianna. – Jesteście przecież myśliwymi.

– Musimy zobaczyć rzekę – powiedział Kazik. – A przed nią bagna.

– Jeśli jej nie przelecieliśmy już, kiedy byliśmy nad chmurami – burknął Dick.

– Nie, wiatr nie wieje tak szybko. Do rzeki jest pięć dni drogi po ziemi – zaproponował Kazik.

Balon płynął teraz w powietrzu bardzo wolno.

– Deszcz się kończy, trzeba więc wznieść się do góry – powiedział Kazik po chwili.

– Po co? – zapytał Dick.

– Popatrzymy na słońce i zorientujemy się w kierunku lotu. Tutaj nic ma cieni. W ogóle niczego nie ma.

– Lepiej zniżyć się i poszukać na ziemi – zaproponował Dick niepewnym tonem. Rozumiał, że to nie jest najlepsze wyjście, bo gdyby znaleźli się w nieznanym miejscu, to z ziemi ustalić kierunek byłoby jeszcze trudniej, ale wznosić się bardzo nie chciał.

– Jesteście głodni? – zapytała Marianna.

– Nie – odpowiedział Kazik.

Marianna jednak wyjęła z worka suchary, posmarowała je pasztetem grzybowym i chłopcy zaczęli pogryzać, spoglądając w dół w nadziei, że dostrzegą coś znajomego.

W pewnej chwili Dickowi wydało się, że rozpoznaje wzgórze sterczące między drzewami, ale Kazik powiedział, że to zupełnie inny pagórek. Czas płynął. Deszcz ciągle nie ustawał, chociaż pioruny były daleko i niegroźnie. Minęło jeszcze jakieś półtorej godziny. Marianna dla rozgrzewki zaczęła robić przysiady, ale osiągnęła tylko tyle, że się zasapała. Dick przykucnął i starannie przetaił z wilgoci swoją kuszę. Kazik grzał ręce nad palnikiem i poradził Mariannie, żeby robiła to samo. Wszystkich bardzo zmęczyła niepewność. Wydawało się im, że odlecieli tak daleko od osady, że nigdy już nie zdołają wrócić.

Deszcz nagle ustał. Od razu zrobiło się ciszej, bo krople wody przestały bębnić w napiętą powłokę, nad którą teraz unosiła się para.

Kazik długo wpatrywał się przed siebie, a potem krzyknął:

– Patrzcie!

W nadchodzącym zmierzchu przed nimi widać było nad horyzontem jakieś jasne pasmo.

Dick popatrzył w tamtą stronę i powiedział, że to pewnie rzeka.

– A może las się kończy – powiedziała Marianna. Stała po drugiej stronie kosza i też widziała jasne pasmo na horyzoncie. To było niezrozumiałe. Wychodziło na to, że widzą dwie rzeki.

Po dalszej półgodzinie niespiesznego lotu przekonali się, że to istotnie rzeka, bo pojawił się przeciwległy ciemny brzeg. Jasna smuga po prawej stronie była bardzo szeroka i nikała za horyzontem, a rzeka się z nią łączyła.

Dick powiedział, że to musi być inna, bardzo duża rzeka, a Kazik szepnął rozmarzony:

– Chciałbym, żeby to było morze...

– Morze? – Marianna знаła to słowo, ale nie wyobrażała sobie, żeby na tej planecie również mogło być morze, i to tak niedaleko osady.

– Albo bardzo wielkie jezioro – powiedział Kazik. – Ale jednak morze byłoby lepsze. Wówczas zbudowalibyśmy statek i wypłynęli w rejs.

– Żeby tylko nas nie zaniósł nad to morze! – powiedział Dick. Ciągłe patrzył przed siebie, starając się zorientować, czy jest to akurat ta rzeka, która im była potrzebna. Kiedyś, jeszcze w zeszłym roku, próbował dojść do rzeki, ale nie udało mu się do niej przedrzeć przez bagna rojące się od rozmaitych gadów. Skończyła mu się żywność, upolować niczego nie zdołał, musiał więc wracać. Pamiętał wzgórza nad rzeką, ale tutaj takich wzgórz nie było widać.

Po krótkiej kłótni aeronauci postanowili wznieść się wyżej, pod chmury i tam poszukać pomyślnego wiatru. Balon zmęczył się i wdrapywał się do góry wolno i niechętnie.

W górze wiatr istotnie był silniejszy, ale również wiał w odpowiednią stronę. W dodatku znów się rozpadało. Wszystkim to już dopiekło do żywego – leniwy balon, zimno, wilgoć. Najbardziej jednak złościło, że wiatr bawi się nimi tak blisko celu. Wystarczyło przecież przelecieć przez rzekę, gdzie już można wylądować, przenocować i wyruszyć na poszukiwanie ludzi...

Kilka wielkich ptaków, które żyją wysoko w niebie i które dlatego można zobaczyć tylko z daleka, spikowało ku balonowi i zaczęło krążyć wokół niego, głośnymi krzykami wyrażając niezadowolenie z tego, że ktoś odważył się przekroczyć granice ich królestwa.

Jeden z nich nawet wczepił się pazurami w sieć i kilkakrotnie dziobnął powłokę usianym zębami dziobem.

– Nie radziłbym ci tego robić – powiedział Dick, szybko unosząc kuszę.

Bełt przebił ptakowi pierś. Skrzydlaty napastnik wolno cofnął pazury, odpadł od powłoki i przeleciał tuż obok kosza, szybując kręgami w dół. Dick wyciągnął daleko rękę, mając nadzieję schwytać ptaka i byłby wypadł z gondoli, gdyby Marianna go nie przytrzymała.

– Szkoda – powiedział. – On ma bardzo smaczne mięso.

Strzelił do drugiego ptaka, ale spudłował.

Ptaki jeszcze przez jakiś czas ścigały balon, ale potem zniknęły w nadlatującej ścianie deszczu.

Rzekę było już dokładnie widać nawet w zapadającym zmroku. Była szeroka, ciemnoszara niczym chmury i płynęła prosto, niemal zupełnie nie wijąc się, w przeciwieństwie do strumieni, które dotychczas znali.

– Jeśli nie przelecimy na drugi brzeg – powiedział Dick – to będzie bardzo trudno się przeprawić.

Reszta milczała, wsłuchując się w ciszę, jaka zapadła nad światem. Bębnienie deszczu w powłokę jedynie tę ciszę wzmagało. I nagle przed nimi wyrosła szara ściana.

Marianna wydała zduszony krzyk, gdy jako pierwsza spostrzegła, że gigantyczna, nierówna ściana wyrasta wprost przed balonem. Poryw wiatru popchnął balon, który gwałtownie nabral prędkości, jakby chciał zrobić ludziom na złość, zemścić się na nich za to, że zmuszali go do tak długiego lotu.

– Kazik! – krzyknęła rozpaczliwie Marianna.

Kazik również dostrzegł ścianę wypływającą z deszczu, odkręcił do oporu palnik i krzyknął:

– Wyrzucajcie wszystko. Wszystko za burtę!

Balastu już prawie nie było. Został mały woreczek, który Dick jednym ruchem przerzucił przez krawędź kosza. Marianna uniosła worek z żywnością, ale się zawahała.

– Szybciej! – wrzasnął Kazik, a Dick wyrwał Mariannie worek i rzucił go w dół, a potem chwycił z dna kosza różne rzeczy, nie zastanawiając się, co to takiego i również je wyrzucił.

Balon na parę sekund znieruchomiał, a potem skoczył w górę.

Zastygli w przerażonym zdumieniu aeronauci patrzyli, jak szara ściana zapada się w dół.

To było drzewo, ogromne, gigantyczne drzewo. Zobaczyli odchodzący od głównego pnia konar, gruby na prawie dwadzieścia metrów i biegnący prawie poziomo. Balon przeleciał obok konaru, omal o niego nie zaczepiając. Wyżej gałęzie wyrastały coraz gęściej i balon tylko cudem się o nie nie rozbił.

Nikt nie wiedział, jak długo trwał ten lot ku górze, ale nagle zrobiło się ciemno i pień zniknął – balon wszedł w warstwę chmur.

Drzewo było tuż obok. Jeszcze się nie skończyło i wyciągało w kierunku balonu swoje szare łapska.

Nagle zawirowanie powietrza rzuciło balon w stronę pnia.

– Trzymajcie się! – zawołał Dick, padając na dno kosza i pociągając za sobą Mariannę. Kazik upadł na nich.

Na szczęście zdążył.

Rozległ się głośny trzask, koszem szarpnęło do przodu, a potem, natknąwszy się na przeszkodę, gondola zatrzepotała jak pisklę złapane w sidła, coś huknęło nad głowami, balon zadygotał w przedśmiertnych drgawkach i nastąpiła cisza.

Dookoła nie było niczego widać.

Mocno przechylony kosz wolno się kołysał.

– No i koniec – powiedział Kazik ze smutkiem. – Nie ma już balonu.

– Najważniejsze, że przeżyliśmy! – warknął Dick. – I że nikomu nic się nie stało. To jest najważniejsze...

* * *

Siedzieli na dnie kosza, starając się nie rozkołysać go gwałtownymi ruchami i nie strącić w dół. Języki chmur przepelzały przez kosz, czasami zasłaniając ciemną plamę otworu w powłoce, a czasami rozpraszając się i pozwalając zajrzeć w tajemniczą głębię skurczonego teraz pęcherza.

– Nigdy nie myślałem, że mogą być takie drzewa – powiedział Kazik.

– Pewnie nawet na Ziemi takich nie ma – zgodziła się Marianna.

– Na Ziemi drzewa są jeszcze większe – powiedział z przekonaniem Kazik. – Na przykład sekwoje. Rosną w Górach Skalistych.

– Może to nie jest drzewo, tylko taka skała? – zastanowił się Dick.

– Z konarami? – zapytała Marianna.

– Nic przecież nie widać!

– Ale wisimy.

– Może wisimy na występie skalnym – powiedział Dick.

– Zresztą jeśli to drzewo, to jeszcze gorzej.

Marianna ostrożnie macała rękami dookoła w nadziei, że wyrzucili nie całą żywność i coś jednak zostało. Ale kosz był zupełnie pusty.

– Niepotrzebnie wyrzuciliśmy paliwo – powiedział Kazik.

– Już nie polecimy. Dość tego. Lepiej ruszyć dalej pieszo. – Dick znowu poczuł się najważniejszy.

– Trzeba jak najszybciej zejść na dół – powiedziała Marianna. – Zejść i odszukać worki, bo ktoś znajdzie je przed nami i zje.

– No, na paliwo chyba nikt się nie połaszczy!

Dick zbliżył się ostrożnie do krawędzi kosza i zaczął wpatrywać się w dół.

Marianna jęknęła. Wyprostowała ścierpniętą nogę i ciało przeszył gwałtowny ból. Dick drgnął, kosz się zachybotał.

– Uważam – powiedział Dick – że powłoka zaczepiła się wierzchem i rozdarła. Jeśli będziemy się miotać, to kosz zupełnie się oderwie, a do ziemi jest daleko.

Słaby wietrzyk przeganiał strzępy chmur i w prześwitach między nimi można było dostrzec szarą ścianę z ciemnymi plamami i zapadliskami – powierzchnię pnia czy konaru. Górna część powłoki wciąż jeszcze skrywała się we mgle.

– Trzeba się stąd wydostać – powiedział Dick po chwili. Wyciągnął z kołczanu strzałę z ciężkim grotem i rzucił w dół. Było cicho. Kazik liczył w myśli. Doliczył do dwudziestu i niczego nie usłyszał.

– Może upadła na drzewo albo w mech – powiedział Kazik. – Pójdę.

– Dokąd? – zapytała Marianna.

– Wdrapię się po linkach w górę. Na co mamy czekać? A potem was zawołam.

Sprawdził, czy nóż mocno siedzi w pochwie, a potem, trzymając się liny, ostrożnie stanął na krawędzi kosza.

– To mc straszno – oświadczył. – Nic nie widać i dlatego człowiek się nie boi.

Chwytał linkę obiema rękami, podciągnął się i objął ją nogami. Marianna i Dick zamarli z przeciwległej strony rozkołysanego nagle kosza. Kazik powiedział:

– Będę wam opowiadał, żebyście wiedzieli. Wszedł szybko, bo dawno już przywykł wlaźać na drzewa po lianach. Po minucie już zupełnie nie było go widać, tylko kosz kołysał się w rytm jego ruchów.

– No i jak? – zapytał Dick.

– Wspinam się – odparł Kazik. – Powłoka jest zupełnie bez powietrza, jak szmata.

Po jakimś czasie kosz przestał się kołysać.

– Co? Jesteś na miejscu? – zapytał Dick.

– Nie, na razie odpoczywam, ale niedługo dojdę. „Oczekiwanie zawsze jest przykre, a zwłaszcza

wtedy, kiedy się nie wie, czym się to oczekiwanie skończy – myślała Marianna – ale zawsze, nie wiedzieć czemu, na coś czekamy. Nawet życie nie ma kiedy. Wszyscy czekają na powrót na Ziemię, a ja czekam na spotkanie z Olegiem. Dick czeka, żeby jak najszybciej znaleźć się w lesie. Teraz czekamy, czy balon się urwie, czy nie. Czekanie jest bardzo głupie, to jest najpowszechniejsze, ale i najgorsze zajęcie. Życie trzeba tak, żeby w ogóle nie trzeba było czekać...”

Kosz znów zaczął się kołysać. Rozległ się trzask. Marianna zrozumiała, że to trzeszczy powłoka balonu. Kosz poruszył się i gwałtownie opadł o pół metra.

– Ostrożniej! – powiedział Dick.

– Zaraz – odpowiedział Kazik. Jego głos był głuchy, stłumiony przez mgłę.

Koszem szarpnęło jeszcze mocniej.

– Dobra! – zawołał Kazik. – Nie bójcie się, balon dobrze zaczepił się siatką. Tu jest gruby konar, taki mniej więcej jak ja. I trochę cieńsze gałęzie. Możecie się nie bać. Właźcie. Czekam na was.

– No, idź – zwrócił się Dick do Marianny. Wstał i przytroczył kuszę do pleców, żeby mu nie przeszkadzała przy wspinaczce. Wierzył Kazikowi i już nie bał się, że balon się urwie. – Jeśli się zmęczysz, odpocznij. I nie patrz w dół.

– I tak nic nie widać – odparła Marianna. – Nie bój się o mnie.

– Odpoczywaj, nie spiesz się – powtórzył Dick. – Poszedłbym zaraz za tobą, ale linka może nie wytrzymać ciężaru dwóch osób.

Marianna stanęła na krawędzi kosza, mocno trzymając się liny. Linka była wilgotna i śliska, ale dziewczyna istotnie nie czuła lęku. Ona też potrafiła wspiąć się po lianach.

Po paru minutach stała już obok Kazika na szerokiej, zawieszanej nad ziemią drodze, bo takie wrażenie zrobił na niej ogromny konar. Balon zaczepił o ostre gałęzie wyrastające z konaru, zaplątał się w pędach i ostrych jak noże liściach. Powłoka porwała się, ale liny siatki trzymały się mocno.

Wkrótce na górze znalazł się również Dick.

* * *

Już zupełnie się rozwidniło i teraz, kiedy najgorsze było już za nimi, wszystkim okropnie zachciało się jeść. Ale żeby zaspokoić głód, trzeba było jak najszybciej zejść na ziemię i odszukać worek z żywnością.

– Ruszamy – powiedział Dick, biorąc kuszę do ręki, żeby być przygotowanym na każdą niespodziankę. – Ty, Marianna, pójdiesz w środku.

– Nie – powiedział Kazik. – Co jeszcze?

– Zapomniałeś, że mamy schodzić.

– No i co z tego?

– Wezmę linki.

Dick stanął. Zrozumiał, że Kazik ma rację.

Natychmiast jednak wyłonił się problem, w jaki sposób zdobyć potrzebne linki. Spróbowali pociągnąć za jedną z nich, ale nic to nie dało, bo sieć obejmująca powłokę była bardzo mocno spleciona. Wciągnąć do góry całego balonu też się nie udało, gdyż kosz był zbyt ciężki, a ponadto nogi ślizgały im się po obłym grzbiecie gigantycznego konaru.

– Czekajcie – powiedział Kazik po chwili szarpaniny i, zanim Dick zdołał go powstrzymać, ześlizgnął się w dół po linie, skrył się we mgle i wrócił po jakichś pięciu minutach zasapany, ale zadowolony. Pociągnął za linkę, po której się wspiął i linka wolno popęzła do góry.

Linka była mocna i długa. Kazik zwinął ją i przewiesił przez ramię. Było mu ciężko, ale nie dał tego po sobie poznać.

Przez ten czas, kiedy Kazik schodził w dół, żeby odciąć linkę od kosza, Dick przesunął się do przodu, do miejsca, w którym konar wtapiał się w główny pień drzewa. Na żadne niebezpieczeństwo się tam nie natknął. Marianna też nie traciła na próżno czasu i, przykucnąwszy, odcięła kawałek gałęzi. To było drewno, prawdziwe drewno z twardą grubą korą, śliską i zwartą z wierzchu, ale o wiele luźniejszą i łatwiej poddającą się nożowi w głębi. Z tego powodu konar lekko ugiął się pod stopami.

Ruszyli w stronę pnia. Marianna spostrzegła, że Kazik ugina się pod ciężarem liny i zrozumiała, że chłopak za nic nie zgodzi się z nią rozstać. Dlatego powiedziała:

– Słuchaj, Kazik, nie ma sensu bezużytecznie dźwigać tej liny. Uważam, że lepiej będzie związać się nią, bo kiedy któreś z nas się poślizgnie i upadnie, pozostali go utrzymają.

– Wspaniale! – ucieszył się Kazik. – Zupełnie jak alpinieści atakujący Everest.

Ani Dick, ani Marianna nie pamiętali, co to jest Everest i czym zajmują się alpinieści, ale powstrzymali się od pytań.

Obwiązali się linką, która okazała się tak długa, że nie przeszkadzała w marszu.

W ten sposób doszli do końca konaru, do miejsca, w którym łączył się z pniem. Wówczas stało się jasne, że ten konar jest w istocie jedną z gigantycznych lian, z których było splecione drzewo. Cała różnica polegała na tym, że ta akurat liana odchyliła się od wspólnego pnia pod niemal prostym kątem. Konar nie wtapiał się w pień, jak to się dzieje w zwyczajnym drzewie, tylko wchodził do jego wnętrza, rozsunąwszy sąsiednie liany. Wyglądało to tak jak warkocz, z którego wymsknęło się pasemko włosów. W tym miejscu nad konarem wytworzyła się, zwiężając się ku górze, szczelina niknąca we mgle jak tunel, ciemny i mroczny, którego ściany pokrywały nieprzyjemnie podrygujący mech i porosty.

Zatrzymali się przed wlotem do tego tunelu, nie wiedząc, co robić dalej – zagłębiać się w ciemność czy poszukać innej drogi w dół.

Marianna ostrożnie dotknęła mchu. Znała go. Taki sam strachliwy mech, kurczący się pod lada dotknięciem, tylko mniej bujny spotykała często na drzewach w głębi lasu. Nie nadawał się do jedzenia, bo był gorzki, ale czasami trafiały się w nim orzeszki, coś jakby pasożyt mchu, jędrne, chrupiące i prawie bez smaku. Zazwyczaj jadła je tylko dzieciarnia, bo były mało sycące. Ale teraz nawet takimi orzeszkami by nie pogardzili.

Kiedy Marianna bezskutecznie szukała orzeszków w mchu, Dick ostrożnie, na długość linki zagłębił się w szczelinie. Z każdym krokiem gigantyczna liana biegła coraz bardziej stromo, niczym wodospad spływała w głąb pnia. Dick poślizgnął się i upadł na brzuch, żeby nie stoczyć się w dół, w czarną otchłań i nie pociągnąć za sobą pozostałych. Potem wygramolił się z powrotem.

– Będziemy schodzić po wierzchu – powiedział. – Niczego nie znalazłaś?

– Nie – odparła Marianna.

– Pić mi się chce – powiedział Dick.

Odwiązał linkę i owinał jej koniec wokół gałęzi, które niczym krzaki wyrastały z konaru tuż przy pniu. Kazik, umocowawszy drugi koniec przy pasie, zaczął się opuszczać w dół po pniu, chwytając rękami za nierówności kory i rośliny zagnieżdżone w jej pęknięciach.

Dick stale miał się na baczności. Nie liczył na wytrzymałość gałęzi i w każdej chwili spodziewał się szarpnięcia – jeśli gałęzie puszcza, będzie musiał utrzymać ciężar Kazika. Bał się tego, bo nawet

samemu utrzymać się na śliskiej, obłej powierzchni konaru było niełatwo.

A Kazik tymczasem schodził bardzo wolno. On również był ostrożny. Ciągłe zerkał w dół, starając się wypatrzeć przez mgłę, czy nie ma tam jakiegoś sęka, czy innego konaru, i dla polepszenia nastroju wyobrażał sobie, że jest ziemskim alpinistą.

Nieoczekiwanie spostrzegł ostry sęk sterczący z pnia nieco w bok od jego drogi i wyciągnął rękę, aby się go przytrzymać. W chwili, gdy go dotknął, sęk rozdzielił się na dwa zębate ostrza i tylko błyskawiczny refleks uratował mu rękę. Zdażył cofnąć palce, ale mimo wszystko noże po nich chlasnęły. Linka napięła się. Dick uchwycił ją silniej i zawołał z góry:

– Co ty tam robisz?

Kazik nie od razu odpowiedział. Krew tryskała z dłoni rozciętej nożami, które okazały się być szczękami wielkiego owada kryjącego się w norze wyciętej w korze drzewa i czyhającego na zdobycz. Ręki nie było czym opatrzeć. Kazik Uniósł głowę i krzyknął:

– Nic, zadrapałem się. Tutaj siedzi taki parszywiec i gryzie.

– Ostrożnie – odpowiedział Dick. – Bardzo się zadrapałeś?

– Nie bardzo. Idę dalej.

Widocznie jednak zapach krwi wzbudził w parszywcu ochotę na śniadanie, bo owad zaczął wypełzać z nory. Za szczękami, które nerwowo otwierały się i zamykały jak monstrualne nożyce, ukazało się segmentowane ciało, które zdawało się nie mieć końca.

– Oho! – wykrzyknął Kazik.

– Co? – zapytał Dick.

– Długi jest.

Kazik, trzymając się linki zdrową ręką, drugą wyciągnął nóż i kiedy parszywiec, teraz już podobny do wielkogłowego tęczowego węża przebierającego mnóstwem malutkich nóżek podbiegł do niego, jednym chłaśnięciem odciął mu głowę. Ciało węża nadal żwawo, ale teraz już chaotycznie biegało po pniu, a głowa spadła w dół i wówczas jakieś trzy metry poniżej z pnia błyskawicznie wyprysnęły inne szczypce, chwyciły głowę współbrata i wciągnęły do nory.

Ręka mocno bolała, pewnie od jadu.

– Tu trzeba schodzić ostrożnie – powiedział Kazik. – Te parszywce naryły nor i tylko czekają.

– Może cię podciągnąć? – zapytał Dick.

– Nie, na odwrót. Będę się spuszczał szybciej, nie dotykając pnia. Tam w dole coś jest.

Nie zwracając uwagi na ból, chwycił linkę obiema rękami i ześlizgnął się w dół.

Przykrywki nor, w których gnieździły się parszywce, otwierały się z trzaskiem, wyskakiwały z nich nożycowate szczęki, ale na szczęście Kazika nie sięgały.

Nieoczekiwanie biała wata mgły odsunęła się w bok i Kazik zobaczył, że koniec linki leży w wodzie. Przez moment łudził się nawet, że drzewo okazało się znacznie niższe niż się obawiali i dlatego widzi już ziemię. Ale to była tylko sadzawka rozlana między dwoma zrosniętymi pniami. Sadzawka była długa i wąska, wokół niej rosły krzewy, a dwie niewielkie sosenki.

Kazik zaczął się spuszczać jeszcze szybciej, ale kiedy do powierzchni wody zostały jakieś trzy metry, nie wytrzymał bólu i puścił linkę. Wpadł z pluskiem do sadzawki, kryjąc w niej razem z głową.

Wyskoczył na powierzchnię, dotarł do porośniętego trawą brzegu, usiadł na nim i natychmiast powrócił ból w rękę. Nie chciał jednak mówić o tym Dickowi i dlatego zaczął spokojnie mu tłumaczyć, że znalazł sadzawkę, a kiedy Marianna i Dick będą schodzić w dół, niech lepiej nie

dotykają pnia.

– Wypalę je – powiedział Dick. – Mam blaster.

– Lepiej nie – odpowiedział Kazik. – Blaster może nam jeszcze przydać, a tych parszywców jest zatrzęsienie. Ale nie zdążą chapnąć, jeśli będziecie się szybko spuszczać po lince.

* * *

Woda w sadzawce była ciemna i zatęchła, żyło w niej mnóstwo drobnych stworów, przeważnie nieznanych. Kiedy Marianna zeszła na dół i opatrzyła spuchniętą dłoń Kazika, dała zaraz chłopcom po tabletkę z zapasu, który Oleg przyniósł ze statku, ponieważ od nieznanej, złej wody można zachorować na dyzenterię albo nawet się otruć.

Napili się, ale od tego głód zaczął im jeszcze mocniej doskwierać.

Marianna podeszła do sosenek, malutkich i jakichś cherlawych. Widocznie kiedyś wiatr przyniósł tu ich spory, które zakorzeniły się w miękkim pniu. Pod sosnami zawsze trafiają się grzyby, ale Marianna nie była pewna, że tam, gdzie nie ma miękkiej ziemi, w której można się zagrzebać, grzyby zechcą rosnąć. Jednak poszcęściło jej się i w mierzwie pod sosenkami schwytała kilka grzybów – też malutkich, ale najprawdziwszych. Grzyby miały nieznany kolor i mogły być trujące – czasami trujące udają prawdziwe. Nadgryzła jeden. Był prawdziwy, słodkawy. Naturalnie lepiej byłoby je ugotować, bo inaczej będą szczypać w język, ale teraz nie było czasu bawić się z ogniskiem, bo wszyscy byli zbyt głodni. Marianna schwytała więc wszystkie grzyby, jakie rosły pod sosenkami, a zebrało się ich ze dwadzieścia, przyniosła chłopcom, podzieliła i kazała zjeść.

Ręka Kazika spuchła tak, że zrobiła się grubsza od nogi i zdrętwiała.

To akurat było nie najgorsze, bo dzięki temu mniej bolała. Chłopak nie miał też dreszczy ani mdłości, co znaczyło, że trucizna parszywca nie była zbyt silna. Gorzej, że Kazik nie mógł posługiwać się skaleczoną ręką i trudno mu było schodzić po lince, a przecież wcześniej czy później trzeba będzie ruszać w dalszą drogę – do ziemi jest jeszcze daleko.

Zrobiło się cieplej. Na wysokości sadzawki przebiegała dolna granica chmur, a ponieważ w ciągu dnia warstwa chmur wznosi się wyżej, to kiedy pożywili się, okazało się, że w dole jest czysto i można dojrzeć ziemię.

Ziemia leżała bardzo daleko w dole. Wyglądała zupełnie tak, jak z kosza balonu. Dostrzec ją można było tylko z najwyższym trudem, ponieważ pień w niektórych miejscach rozszerzał się, gdy liany rozchodziły się, tworząc labirynt tuneli. Jakieś sto metrów pod nimi utworzyła się szeroka platforma z laskiem i oczkami bagien. Podróżników ogarnęło przygnębienie.

– Lepiej żebyśmy tego nie widzieli – powiedziała Marianna. – Kiedy człowiek nie widzi, to wydaje mu się, że niewiele już zostało.

– Teraz to już na pewno nasz worek ktoś zeżre – powiedział Kazik. Był potwornie głodny.

– Coś tu na pewno upolujemy – pocieszył go Dick, trzymając się pnia sosenki i wychylając się w dół. – Żebyśmy tylko tam zeszli.

– Szkoda, że Oleg nie zrobił spadochronu – powiedział Kazik. – Radziłem mu zrobić spadochron i skakać z balonu, ale powiedział mi, że robi go później.

– Oleg by coś wymyślił – powiedziała Marianna i Dickowi wydało się, że słyszy w jej głosie wyrzut.

– Dobrze mu myśleć tam, w osadzie – odburknął. – A tu trzeba działać.

– Oleg chciał lecieć z nami – powiedziała Marianna – ale go nie puścili.

– W takim razie nie ma czego żałować! – rzucił ostro Dick.

W rzeczywistości wcale się na Olega nie złościł, bo nie było o co. Zresztą, to teraz nie było ważne. Ważne było zejście na dół.

Kazik przeszedł konarem za sadzawkę, żeby spojrzeć w dal. Zobaczył tę dal i krzyknął w podnieceniu:

– Szybciej! Popatrzcie.

Podbiegli do niego.

Kazik odsunął zwisający z góry liść większy od niego i w utworzonym w ten sposób prześwicie widać było rzekę, płynącą zupełnie blisko od nich, tak blisko, że można było dojrzeć drobne fale wzbudzone na jej powierzchni przez wiatr. Rzeka dzieliła się dalej na kilka odnóg i wpadała nimi do jeziora. Było oczywiste, że to jest jezioro, a nie morze, ponieważ za jego ogromnym lustrem widniała smuzka niebieskawych wzgórz obramowanych ciemną kreską lasu. W delcie rzeki przez piaszczystą łąkę szło wolno stado mustangów. Coś je spłoszyło, więc nadeły pęcherze i pospieszyły do wody.

Las za rzeką był inny, ciemniejszej barwy wpadającej w granat. Wspinał się na niewysokie wzgórza i miękko opadał w doliny. Wydawało się, że tam zastygło lekko rozfalowane, granatowe morze. To było bardzo piękne.

Bazy nie zobaczyli, bo znajdował się od nich jeszcze o jakieś dwadzieścia kilometrów i skrywał się za falami pagórków. Bardzo go chcieli zobaczyć, więc długo wpatrywali się w las za rzeką.

– Błyszczysz się! – krzyknął nagle Kazik i wskazał ręką w kierunku lasu.

Nad lasem uniosła się błyszcząca iskierka, jak ogień na tle szarych chmur – i znikła.

Pozostali nie zobaczyli tej iskierki, bo zniknęła w chmurach zbyt szybko, ale uwierzyli Kazikowi, gdyż bardzo chcieli uwierzyć. Miejsce, z którego uniosł się ogień, znajdowało się niedaleko brzegu jeziora, więc Dick powiedział:

– Przeprowadzimy się przez rzekę bliżej jeziora. Tam są niezbyt szerokie odnogi, więc łatwiej będzie przepłynąć. Potem pójdziemy brzegiem.

– Słusznie – zgodził się Kazik. – Nad jeziorem las jest trochę rzadszy.

Długo jeszcze stali i patrzyli w tamtym kierunku, mając nadzieję coś jeszcze zobaczyć, ale tego ranka Klaudia wystrzeliła tylko jeden szperacz. Chciała wypuścić również drugi, ale potem uznała, że i bez tego ma dość pracy. Była w bardzo złym humorze i nawet przed sobą nie chciała się przyznać, że wpadła w ten paskudny nastrój po tym, co zobaczyła wczoraj w laboratorium. Właściwie nic nie zobaczyła, ale wyczuła po zmieszaniu Pawłysza i Sally, że łączy ich jakiś sekret, którym nie mają zamiaru się z nią dzielić. Nigdy się tak paskudnej zdrady po Sally nie spodziewała.

Pawłysz nie miał o tym pojęcia. Zamierzał polecieć w góry, bo znudziło mu się już preparowanie miejscowych krwiożerczych potworów i katalogowanie niezliczonych gatunków bakterii. Zapraagnął znaleźć się w miejscu, gdzie jest niebieskie niebo i czysty śnieg, gdzie nic nie pełza, nic się nie podkrada, nic nie czyha, gdzie z podstępnych topieli nie unoszą się smrodliwe miazmaty, gdzie można zdjąć hełm i pospacerować nie myśląc o chorobach – wśród czystego śniegu, na mrozie pod błękitnym niebem. W momencie, kiedy młodzi ludzie wpatrywali się z wielkiego drzewa w las otaczający stację, Pawłysz rozmawiał z Sally, która podjęła się przygotować kuter planetarny. Powiedział, że chciałby polecieć na cały dzień w góry, a Sally poprosiła, żeby ją zabrał ze sobą. Ją również las przygnębiał i bardzo się ucieszyła, że Pawłysz czuje to samo co ona.

Następną noc podróżnicy spędzili w napowietrznym lesie na rozległym rozwidleniu drzewa. To był prawdziwy las, w którym rosły nie tylko sosny, ale również niebezpieczne krzewomioty. Co

prawda, gdy się je spostrzeże zawczasu, krzewomioty nie są wcale groźne. Te drzewa wyczuwają ciepło i jeśli jakieś nieostrożne zwierzę się do nich zbliży, miotają w nie swoje długie, ostre igły. Miotają tak silnie, że mogą przebić skórę lub niedźwiedzia. Osadnicy bardzo szybko nauczyli się je neutralizować. Trzeba było tylko z odległości co najmniej dziesięciu metrów rzucić w krzak czymś ciepłym. Na przykład zdjętą z siebie kurtką. Drzewo od razu wystrzeliło igły, a potem można już śmiało podchodzić. Ich igły są użyteczne w gospodarstwie, a młode pędy są bardzo soczyste i pożywne.

Marianna bardzo się na ich widok ucieszyła. Nałamała całe naręcze gałęzi, które żuli chyba przez godzinę, dopóki się im nie znudziły. Nie zaspokoili głodu, bo po mdłych pędach zachciało się im czegoś innego.

Dick ruszył w las, bo był przekonany, że coś mu się uda w nim upolować. Chodził po nim z godzinę, ale poza niejadalną żmiją i ptakiem, który na jego widok natychmiast odleciał, nie znalazł niczego.

Mimo tych niepowodzeń zostali na miejscu. Pogoda znów się pogorszyła i chociaż było ciepło, nawet cieplej niż zwykle, z dołu uniosła się mgła. Poza tym Kazika nadal bolała ręka i nawet do lasu puszczali go przywiązanego do linki.

* * *

Tego wieczoru, jeszcze przed zapadnięciem mroku, Pawłysz postanowił wyprawić się łazikiem nad brzeg jeziora, ale nie od strony rzeki, lecz tam, gdzie jeszcze dotąd nie był.

Przejechawszy jakieś dziesięć kilometrów, dotarł do niewielkiej bystrej rzeczki wpadającej do jeziora i udał się jeszcze parę kilometrów w górę jej biegu. Potem zobaczył dziwne i zaskakująco sympatyczne stworzenie. Było leniwe, wzrostu wielkiego psa i porośnięte sięgającymi do ziemi wodorostami. Przesuwało się między niskimi krzewami, nie zwracając najmniejszej uwagi na łazik, czasami rozgrzebując długimi pazurami ziemię w poszukiwaniu pokarmu. Dalej wypadki potoczyły się tak szybko i zaskakująco, że dopiero po powrocie do laboratorium i odtworzeniu taśm Pawłysz zrozumiał, co się właściwie stało. Otóż ten zielony niedźwiedź zbliżył się do pozornie niewinnych krzaczków porośniętych kolcami, takich samych, jakie kiedyś w niego samego pluły igielkami. Krzew rzucił igłami w niedźwiedzia, który przekształcił się w jeżozwierza i zwałił bez życia na ziemię.

Pawłysz nie mógł zrozumieć, po co krzewowi taka agresywność. Przecież niedźwiedź niczym mu nie zagrażał. Dlatego wyciągnął kilka igieł ze skóry niedźwiedzia i w laboratorium obejrzał je pod mikroskopem. Wówczas odkrył interesujący fakt, który raz jeszcze potwierdził nieubłagane i odwieczne prawo, że w naturze wszystko ma swoje przyczyny. Okazało się, że na końcach igieł znajdowały się mikroskopijne spory, które po dostaniu się do krwi natychmiast wykiełkowały.

* * *

Rano Kazik obudził się pierwszy. Przegryzł parę pędów krzewomiotu i cichutko, żeby nie obudzić starszych, poszedł na swój punkt obserwacyjny. Jezioro było jeszcze pokryte mgłą i dlatego jego przeciwległy brzeg krył się w białej nieskończoności. Dlatego łatwo było sobie wyobrazić, że to Ocean Spokojny, on zaś jest kapitanem Drake'em, który z pomocą Indianina wspinał się na wysokie drzewo rosnące na Przesmyku Panamskim i patrzy teraz z góry na przestwór Pacyfiku...

Z ciemnozielonego liścia, którym można by pokryć całą chatę, schodziły rządkiem żmijki spieszące na poranne polowanie. Sinawe mszyce oblepiające liść poruszyły się nerwowo, czując niebezpieczeństwo. Z łodygi wyłonił się pasiasty żuk, w oczach przemienił się w latający włos

i gdzieś pofrunął, a za nim z trzepotem skrzydeł pomknął biały ptak.

– Kazik, gdzie jesteś? – zapytała z daleka Marianna.

– Tutaj.

– Ręka boli?

– Już mniej.

Zapachniało dymem. To Marianna rozpałała ognisko, żeby przypiec pędy krzewu i grzyby, które przez noc wylazły z mchu.

Kazik otrząsnął się z marzeń o Pacyfiku i, posuwając się skrajem konaru, dotarł do szarej ściany głównego pnia. Czepiając się cienkich lian przeszedł po suchej gałęzi do następnego rozwidlenia. Tam mu się poszczęściło, bo wypatrzył starą lianę grubą na jakieś pół metra, która spiralnie owijała pień i po niej zszedł jakieś trzydzieści metrów w dół, gdzie znajdowała się dziupla, w której swobodnie zmieściłby się warsztat Siergiejewa. Wyjął nóż i ostrożnie wszedł do ciemnej jaskini. Stał, czekając aż oczy przywykną do mroku, a potem rzucił przed siebie szyszkę. Szyszka potoczyła się po dnie dziupli z lekkim stukotem, a potem coś chlupnęło. To znaczy, że musiała tam stać woda. A skoro jest woda, to nie ma wyjścia, bo woda by je na pewno znalazła. Potem, jakby w odpowiedzi na plusk, rozległo się basowe sapanie – widocznie Kazik obudził mieszkańca dziupli. Można było poczekać, aż gospodarz wyjdzie na zewnątrz, ale nigdy nie wiadomo, co z takiego spotkania może wyniknąć. Kazik postanówił nie ryzykować bez potrzeby.

Wrócił do starszych. Pożywili się i razem zeszli do dziupli, starając się nie hałasować, żeby nie rozniewać nieznanego mieszkańca pieczary, a potem zaczęli uważnie przypatrywać się pniowi, mając nadzieję odszukać jakąś drogę w dół, bo przecież nie mogli na nim zostać do końca życia.

– W najgorszym razie – powiedział wreszcie Dick – będziemy wycinać stopnie w korze i po nich zejdziemy.

– Ile będzie trzeba takich stopni? – wykrzyknęła Marianna. – Jednego roku na taką robotę nie starczy!

– Spróbujemy, skoro nie będzie innego wyjścia – odparł Dick.

* * *

Po obiedzie Pawłysz powiedział Klaudii, że leci na całodniowy zwiad i zabiera ze sobą Sally, ponieważ silnik łazika przerywa i dobrze byłoby, żeby Sally go przy okazji skontrolowała.

– Dobrze – powiedziała Klaudia – tylko nie odlatujcie zbyt daleko.

– Dziękuję – powiedziała Sally, kiedy wzniesli się w powietrze. – Pokażesz mi te drzewa?

– Naturalnie, sam nie mogę się doczekać ich widoku. Po prostu nie mogę uwierzyć, że one istnieją.

Łazik przeleciał przez rzekę i kiedy Sally zobaczyła pnie splecione z gigantycznych lian i niknące w chmurach, nie mogła powstrzymać się od okrzyku zachwyty.

– Czegoś takiego po prostu nie ma – powiedziała z przekonaniem. – To może się jedynie przyśnić.

– Chciałbym rozpędzić chmury – powiedział Pawłysz – żeby móc sfotografować te drzewa w całym ich majestacie.

– Trzeba tu przywieźć Klaudię – powiedziała Sally. – Ten widok jej się spodoba.

– Ona nie wyjdzie ze stacji – zaproponował Pawłysz. – Zdumiewająca rzecz, Klaudia wręcz nienawidzi planety, którą bada. To jest wręcz chorobliwe.

– A tobie się ona podoba?

– Moim zdaniem do planety nie można stosować takich kryteriów.

– Oczywiście, że nie można ich stosować nawet w odniesieniu do pojedynczej żywej istoty. Subiektywizm badacza jest groźny dla... Przepraszam, zaczęłam cytować Klaudię. Ale nie to jest w tym wypadku najważniejsze. Wszyscy za tą planetą nie przepadamy. Jesteśmy rozpieszczeni przez cywilizację. Wozimy ze sobą cały nasz świat łącznie z sosem pieczarkowym, a na nową planetę patrzymy przez pancerne iluminatory łazika niczym przez okulary mikroskopu.

– To znaczy, że się z Klaudią nie zgadzasz?

– Co tu ma do rzeczy moja zgoda lub niezgoda? Klaudia jest dokładnie taką samą ofiarą rozwiniętej cywilizacji jak ja.

W dodatku jest kobietą o bardzo rozwiniętym poczuciu obowiązku, która podnosi do rangi prawa najbliższe punkty instrukcji wymyślonej w czyściutkich gabinetach na Ziemi-14, w których zresztą siedzą wcale niegłupi ludzie...

– Co w swoim czasie widzieli niejedną planetę...

– I chcą, żeby badania odbywały się bez ofiar. Tym bardziej, że kontakt z nieznanym pierwotnym światem jest często niebezpieczniejszy dla tego świata niż dla nas. Na razie włos nam z głowy tu nie spadł, a kilku przedstawicieli tego świata już zabiliśmy.

– Ze strachu – uśmiechnął się Pawłysz.

– Generalnie rzecz biorąc doskonale rozumiemy, że ludzie piszący instrukcje mają świętą rację. Najpierw trzeba się dowiedzieć, z czym mamy do czynienia, a dopiero potem wyciągać wnioski. Przecież stawką nie jesteśmy tylko my, lecz również ludzie, którzy przyjdą po nas i ci, z którymi się będziemy kontaktować po powrocie do domu. Nie chciałabym zawlec na Ziemię jakiegoś dzikiego wirusa.

– Tym razem w przestrzeganiu instrukcji pomaga nam fakt, iż planeta nam się nie podoba – zakończył Pawłysz.

– Możliwe – zgodziła się Sally. – Wiesz co, wybierzmy się kiedyś na wspinaczkę na to drzewo, jak w góry.

– Już drugi dzień o tym marzę – wyznał Pawłysz. Wzniesli się wyżej, na jakieś dwieście metrów, tuż pod dolną granicę chmur. Tam w szerokim rozwidleniu splecionych gałęzi zmieściło się małe jezioro i nawet kilka drzewek.

– Idylliczny zakątek, wspaniałe miejsce na piknik – powiedział Pawłysz.

– Nie kuś – powiedziała Sally, dotykając jego ręki. – Przecież doskonale wiesz, że marzę o pikniku. Ale nie tutaj, bo tu są tu skorpiony.

– Jesteśmy w skafandrach.

– Co to za piknik w skafandrze?

Wzniesli się jeszcze wyżej. Z gigantycznego poziomego konaru podpierającego warstwę chmur niczym wiadukt jakiejś zapomnianej cywilizacji zwisała ogromna podarta szmata omotana żyłami z ciałem przypominającym pleciony kosz, wystarczająco wielki, aby pomieścić kilku ludzi. Sfotografowawszy szmatę Pawłysz powiedział:

– Wyobraź sobie, że przyroda wymyśliła tu balon!

– W każdym razie coś bardzo do balonu podobnego – zgodziła się z nim Sally.

– Sądzę, że za życia ta istota była gigantycznym pęcherzem powietrznym. Pokazywałem wam podobne stworzenia, tylko znacznie mniejsze, które w chwili zagrożenia nadmuchiwały pęcherze na

grzbiecie. Może kiedy już zagospodarujemy tę planetę, to znajdą się śmiałkowie, którzy na tych żywych balonach polecą w chmury...

* * *

Od startu balonu minęły już trzy dni.

Osada żyła w nerwowym oczekiwaniu.

Było pogodnie i ciepło, zupełnie jak pod koniec lata. Oleg, Siergiejew i Stary siedzieli w warsztacie. Widać było, jak w warzywniku krząta się Veitkus z żoną, pieląc jarzyny, a dzieciarnia zbiera wyrwane chwasty i składa je na stertę pod płotem. Przy stercie stoi Koza z kozłętami, rozgrzebując ją i wyszukując co smaczniejsze rośliny.

– Niedobrze – powiedział Siergiejew, który przez te trzy dni wyraźnie schudł i jakby poczerniał. – W normalnych warunkach dolecieliby na miejsce w ciągu dwóch, najwyżej trzech dni i dzisiaj już witalibyśmy gości.

Oleg odruchowo popatrzył w stronę bramy. Już wielokrotnie w ciągu ostatnich dwóch dni zerkał tam, wyobrażając sobie, jak z lasu wyjedzie, lekko kołysząc się na boki, lśniący, obły łązik ekspedycji, jak wszyscy podbiegną do niego, a z łązika wyjdą prawdziwi badacze i będą się dziwić, że na tej planecie w ogóle można było wyżyć, a nawet założyć ogród warzywny...

Ale las wciąż milczał.

– Nie jest wykluczone, a nawet mocno prawdopodobne – powiedział Stary – że wylądowali przymusowo gdzieś w lesie i teraz nie mogą odnaleźć bazy. W lesie trudno odnaleźć kierunek, a co dopiero budynki.

– Dlatego mówiłem o trzech dniach, a nie o jednym – westchnął Siergiejew.

Do warsztatu zajrzała Duża Luiza i zapytała, czy Siergiejew naprawił jej łopatę. Łopata była gotowa. Olegowi nagle zrobiło się przykro, że Luiza może myśleć o łopacie, kiedy nie wiadomo, co się stało z Marianną.

Stary przechwycił pełen wyrzutu wzrok Olega i nagle powiedział:

– Kiedyś Lew Tołstoj, tak, jeśli się nie mylę był to Lew Tołstoj, znalazł się w okolicach nawiedzonych przez cholere i wszedł do chaty, w której dopiero co umarł chłop, jedyny żywiciel rodziny. W chacie siedziała żona zmarłego chłopca i jadła kapuśniak. Któryś z towarzyszących Tołstojowi ludzi zaczął się oburzać, że do czego to podobne, żeby w takiej smutnej chwili jeść kapuśniak. „To co, jedzenie ma się zmarnować?” – odparła na to stara kobieta. Może niedokładnie oddaję treść tej sceny, ale nie masz racji, Oleg. Luiza martwi się nie mniej niż ty, ale rozumie przy tym, że osada musi nadal żyć, że nie można opuszczać rąk. Nawet w jeszcze gorszych czasach pracowaliśmy, bo inaczej byśmy nie wyżyli.

– Ja nic nie myślałem – powiedział Oleg.

– No i bardzo dobrze – ucieszył się Siergiejew. – Co będziemy robić?

– Trzeba będzie chyba pójść do lasu – odparł Stary. – Znamy kierunek lotu, więc jeśli wylądowali, to ich znajdziemy.

– Słusznie – powiedział Oleg. – Ja pójdę, dobrze?

– To bez sensu – powiedział Siergiejew. – Zastanówcie się. Wiatr mógł się zmienić i znieść ich w bok. Bardzo daleko w bok.

– A jeśli rzeczywiście lądowali przymusowo... – Olegowi trudno to było z siebie wykrztusić, ale przemógł się i dokończył – albo rozbili się, jeśli potrzebują pomocy?

– Jak im zamierzasz tej pomocy udzielić? Mów! – powiedział twardym tonem Siergiejew.

– Pójdziemy w stronę rzeki drogą, jaką leciał balon. To zajmie cztery do pięciu dni.

– A któż niby ma pójść? – zapytał Siergiejew poirytowanym głosem. Oleg nie rozumiał, że jego złość wynikała z własnej bezsilności, że Siergiejew wszystkie możliwe rozwiązania przez ostatnie dni przemyślał i odrzucił, chociaż też chciał ruszać natychmiast na poszukiwanie aeronautów zagubionych w bezbrzeżnym lesie. Gotów był zrobić wszystko, byle by tylko nie siedzieć i nie czekać.

– Ja pójdę – odpowiedział Oleg. – Z panem. Można też wziąć Fumiko, ona dobrze chodzi po lesie.

– To jest wielka wyprawa – powiedział Siergiejew. – Na tyle dni do nieznanego lasu nie zapuszczał się nawet Dick. Żywności teraz prawie nie mamy, cała osada właściwie głoduje.

Oleg nie lubił początku lata, bo ta pora roku zawsze oznaczała głód. Zwierzęta w tym czasie jeszcze nie wracały w okolice osady, grzybów było mało, zielenina dopiero się zaczynała. Krystyna mówiła, że wieś przejęła od chrześcijan starodawny obyczaj wielkiego postu. W starożytności ludzie też przed latem głodowali, kiedy kończyły się jesienne zapasy i religia w mówiła ludziom, że głódówka jest miła Bogu. To się nazywało „post” i w jego trakcie nie wolno było jeść niczego w dużej ilości.

– To znaczy, że praktycznie rzecz biorąc nie ma czego wziąć na drogę, bo co było, to załadowaliśmy do balonu. Zgadza się? – zapytał Stary.

– Coś tam upolujemy w lesie, damy sobie radę... Zresztą jak można o tym teraz myśleć?

– Z myślenia zawsze jest korzyść!

Oleg popatrzył na Starego, szukając u niego poparcia. Stary milczał.

– Ale przecież chodzi o naszych... Może coś im się stało?

– Ciągłe tu ocieramy się o śmierć – powiedział Siergiejew. – Wyprawić ciebie i innych ludzi do lasu bez nadziei na powodzenie tylko dlatego że lękamy się o bliskich, znaczyłoby skazać osadę. A osada to w pierwszym rzędzie nie ja i Borys, i nawet nie ty, lecz te dzieciaki, które bez nas sobie nie poradzą. No dobrze, pójdziemy do lasu. Kto zostanie we wsi?

– Mnóstwo ludzi – odparł Oleg. – Stary, i Veitkus, i kobiety, i Liza. Dużo.

– Veitkus jest chory i słaby. Stary również. W osadzie nie zostanie żaden obrońca. Rozumiesz, żaden obrońca!

– Nie masz racji – powiedział Stary. – Jeśli będzie trzeba, to i my jeszcze na coś się przydamy.

– Jeśli w lesie nie poradzi sobie Dick z Kazikiem – ciągnął Siergiejew, jakby w ogóle go nie słyszał – to Oleg i ja mamy znikomą szansę ich odszukać. Za to wiele możliwości na to, że nigdy już nie dotrzemy do statku. Zapomniałeś o tym?

– Statek poczeka – powiedział uparcie Oleg.

– Zapomniałeś, dlaczego nie puściliśmy cię na wyprawę balonem? Dlatego że musisz dojść do statku.

– A jeśli pójdę na statek, kto wówczas obroni osadę? – Oleg znalazł słabe miejsce w argumentacji Siergiejewa i natychmiast się w nie wczepił. – Kto? Sam pan przecież mówił! Mamy więc siedzieć i czekać?

– Żyjemy pod naporem konieczności – powiedział Siergiejew. – Żyjemy zawsze wśród napierającego zewsząd zła. I pozostajemy ludźmi, ponieważ nigdy nie przestajemy myśleć.

– I dlatego nie idziemy teraz na pomoc Mariannie!

– Zamknij się! – wybuchnął nagle Stary. – Wydaje ci się, że Siergiejewowi łatwo jest tak rozumować? Jesteś już dorosłym mężczyzną, naszym spadkobiercą. Następcą tronu w naszym miniaturowym królestwie. Liczymy na ciebie, a ty się z nami spierasz jak smarkacz. Kochasz Mariannę...

– Co? – Oleg szczerze się oburzył. – Nic podobnego!

– To widać gołym okiem – uśmiechnął się Stary – chociaż sam tego bardzo długo się nie domyślałeś. A teraz chyba wreszcie rozumiałeś i dlatego się oburzasz.

– Dobra, nie ma się o co kłócić – powiedział Siergiejew, wstając. – Rozkrzyczeliście się na całą wieś...

Oleg odwrócił się od nich. Zakochany czy nie zakochany nic ich to nie obchodzi. Wiedział już, że ucieknie nocą z osady i sam odnajdzie Mariannę! No i Dicka, rzecz jasna. Kazika też. Trzeba tylko wziąć się w garść i nie dyskutować. Balonem nie mógł polecieć, bo mu nie pozwolili, ale w pójsciu do lasu nikt mu nie przeszkodzi!

– Apeluję do twojego rozumu, którego, jak się okazuje, masz niewiele – powiedział Siergiejew. Oleg nie chciał go słuchać, ale słowa do jego świadomości docierały. – Droga do statku jest nam już znana i stosunkowo, powtarzam, stosunkowo bezpieczna. I to jest twoja droga. Oleg. To jest twój los i odbicie losów osady. Gdyby nawet mojej córce przydarzyła się tragedia... – on umyślnie powiedział „moja córka”, żeby Oleg zrozumiał – gdyby żadnej bazy nie było i nikt nas tu nie znalazł, to jednak w najgorszym razie zostaje statek. I zostajesz ty. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem – powiedział tępo Oleg, zupełnie jak na lekcji.

– Ni diabła nie zrozumiał – powiedział Stary. – Za nic nie chce zrozumieć, że nie należy do siebie. Że bywają w życiu takie chwile, kiedy człowiek nie ma prawa należeć tylko do siebie. To zdarza się wtedy, gdy od jego postępów zależą losy innych ludzi.

* * *

Wieczorem, kiedy ściemniło się, a matka nie wróciła jeszcze od Lindy, z którą coś szła, Oleg zapakował swój niewielki plecak. Wygarnął z pudełka stojącego na półce całą mąkę i słodkie korzonki, nie zostawiając w domu niczego, naostrzył starannie nóż. Naturalnie mógł wziąć jeszcze kuszę, ale kusza będzie przeszkadzać w marszu, a będzie musiał iść bardzo szybko, poza tym zaś niemal przed każdym drapieżnikiem można uciec. Olega opanował upór. Doskonale rozumiał, że nie ma racji, że rację mają starsi, ale była to racja zimnego okrucieństwa, z którą nie mógł się pogodzić. Przecież nie odmawia pójscia na statek, wybierze się tam później, ale teraz oni tam w lesie czekają na pomoc, a my tutaj sobie gadamy... Wyobraził sobie jak pójdzie – na przełaj, w stronę bagien i rzeka. Nie bał się, chociaż gdyby mu kazali pójsć nocą do lasu, nie wiadomo dokąd, samemu, kazali pójsć w zwyczajnym życiu, śmiertelnie by się przeraził. Ale teraz ważne było tylko i jedno: niezauważalnie wymknąć się z osady i dojść przez noc tak daleko, żeby nie zdołali go dopędzić i zawrócić. A po nich I wszystkiego się można spodziewać!

Wieczór ciągnął się i ciągnął. Oleg zapalił kaganek, dolał oleju i otworzył podręcznik. Przeczytał go już trzykrotnie, a Siergiejew lepił mu z gliny modele konsoli łączności, żeby łatwiej było mu sobie wszystko wyobrazić, ale teraz Oleg chciał dowieść sam sobie, że przez swoją ucieczkę nie rezygnuje z wyprawy na statek, tylko ją po prostu nieco odkłada.

* * *

– Nie śpisz? – zapytała Liza wchodząc do chaty.

Oleg oderwał się od książki. Okazało się, że tak wczytał się w tekst, że teraz w myślach był na statku, w kabinie łączności.

– Nie.

– Uczysz się? Przeszkodziłam ci?

– Nie, nie szkodzi. Matka jest u Lindy.

– Przyszłam do ciebie.

– Po co? – tylko Lizy mu jeszcze do szczęścia brakowało!

– Znalazłam pod płótem dziwne ziele – powiedziała Liza. – Cudownie pachnie. Natarłam nim rękę. Powąchaj.

Głupi pomysł.

Oleg jednak nie zdążył tego powiedzieć, bo Liza przyłożyła mu dłoń do ust, omal nie udusiła, chociaż zbliżała rękę bardzo delikatnie. Dłoń przyjemnie pachniała, ale nie było w tym nadzwyczajnego, bo Marianna tę trawkę często zrywała i suszyła. Doskonale nadawała się na okłady, kiedy jakaś rana nie chciała się długo goić.

– Ładnie, prawda? Sama znalazłam.

– Marianna ma cały worek tego ziela.

Liza nic nie odpowiedziała. Albo się obraziła, albo zastanawiała się, co by tu jeszcze powiedzieć. Usiadła na ławce tak blisko Olega, że czuł promieniujące od niej ciepło. Włosy Lizy były rozpuszczone i spływały jej na ramiona. Piękne włosy, nikt inny takich w osadzie nie miał. Złociste i ciężkie. Kiedy Liza była mała, Krystyna zaplatała jej warkocze, za które Oleg lubił ciągnąć. Ale to było dawno, jakby w innym świecie.

– Martwisz się o nich? – zapytała Liza.

– A ty nie?

– Ja też. Ja zawsze strasznie się o wszystkich boję – odpowiedziała dziewczyna szczerze. – Ledwie ktoś pójdzie do lasu, a ja już się boję. Mnie nikt nie skusi do pójścia w las, choćby nie wiem co obiecywał.

– Wiem – mruknął Oleg.

– Włosy ci tak urosły, że można je zaplatać. Jak chcesz, to mogę cię ostrzyć.

– Nie, matka to robi.

– Tak się denerwuję – powiedziała Liza.

– Czemu?

– Nie wiem.

– W takim razie idź spać – poradził Oleg.

– Jeszcze za wcześnie. I w ogóle jest nudno, nie masz pojęcia, jak okropnie nudno. Ty masz swoją pracę, a ja muszę ciągle siedzieć z tą zwariowaną Krystyną. Nudzę się i dlatego przyszłam do ciebie. No i martwię się o Dicka. O Kazika i Mariannę też... Pewnie są teraz w lesie, prawda? A może już znaleźli tę bazę, co?

– Gdyby znaleźli, przylecieliby tutaj.

– A ja myślę, że dopiero dzisiaj ją znaleźli. I jedzą tam kolację. Jak sądzisz, przywieźli z Ziemi rozmaite potrawy? Takie, jakich nigdy nie jedliśmy?

– Możliwe. Wątpię, żeby chodzili na polowanie.

– A ty, kiedy byłeś na statku, co tam jadłeś?

– Czyżbyś zapomniała, co przywieźliśmy?

– Przynieśliście mleko skondensowane, ale Linda je schowała i dawała tylko chorym dzieciom.

Ja zjadłam może łyżkę.

– Nieciekawie żyjesz – powiedział Oleg. Odpędzał od siebie kuszącą myśl, że Marianna jest już bezpieczna, tylko po prostu zwleka z powrotem, bo ludzie z Ziemi o wszystko ją wypyują, chcą wszystko wiedzieć.

– A co tu może być ciekawego? – zdziwiła się Liza. – Przecież wiesz, jak bardzo się nudzę, a zupełnie się mną nie interesujesz.

– Nie mam na to czasu, a ponadto niezbyt dobrze się w twoim towarzystwie czuję.

– A z nią?

– Z nią czuję się bardzo dobrze.

– Rozmawiamy zupełnie jak dzieci – powiedziała Liza, wstając z ławki i przesiadając się na łóżko. – Tu jest wygodniej – dodała.

– Dlaczego jak dzieci?

– Bo powinniśmy myśleć o przyszłości, a ty tego nie potrafisz. Ja tak. Pewnie dlatego, że jestem od ciebie starsza.

– Tyle co nic.

– Nie rozumiesz, Oleg, jesteś jeszcze zupełnym chłopaczkiem. Biegasz po lesie, budujesz baloniki. Wyrosłeś na mężczyznę, a pozwalasz, żeby traktowali cię jak smarkatego.

– Coś wiesz.

– Niczego nie wiem, tylko przeczuwam.

– To twoja sprawa, z którą ja nie mam nic wspólnego – Oleg nagle poczuł się bardzo niezręcznie.

– Szkoda – powiedziała Liza i zamilkła.

Milczeli długo. Oleg udawał, że czyta, ale naturalnie nie czytał. Dlatego że Liza siedziała na jego pośłaniu z nogami podwiniętymi pod siebie, w pokoju wszystko się zmieniło i mogło się coś wydarzyć, chociaż rozumiał, że nic wydarzyć się nie powinno.

– Chodź, usiądź przy mnie, nie będę do ciebie krzyczała przez cały pokój – powiedziała Liza.

– Wszystko doskonale słyszę – odparł Oleg. – Pokój jest malutki. Zresztą matka może przyjść.

– No i co z tego?

– Nic. Po prostu się zdziwi.

– Ja bym się na jej miejscu nie dziwiła. A właściwie nie. Dziwiłabym się, że do tej pory pozostałaś niemowlakiem.

Znowu zamilkli. Oleg siedział przy stole i czekał, aż Liza sobie pójdzie, ale ona wcale nie miała takiego zamiaru. Wreszcie Oleg powiedział:

– Chyba już pora spać.

– Wiem – odpowiedziała Liza. – Chcesz, żebym sobie poszła? Dlaczego? Boisz się mnie?

– Nikogo się nie boję.

– To chodź tutaj. Zmarłam. Twoja matka nie przyjdzie. Będzie siedziała z Lindą do północy, zaglądałam do nich. Linda płacze, a matka ją pociesza. Stary też nie przyjdzie, bo gra z Veitkusem w szachy. Wiem o wszystkich.

– Muszę wyjść.

– Teraz? W nocy? Oleg nie odpowiedział.

– Już wiem – powiedziała Liza. – Mój Boże, że też się od razu nie domyśliłam! Nasz odważny

chłopiec biegnie do lasu szukać swoich nieszczęśliwych przyjaciół, którzy piją sobie herbatę i zupełnie o nim zapomnieli. Mam rację?

– Przestań gadać!

– A niby dlaczego mam przestać gadać? Nie chcę, żebyś szedł do lasu. Na pewno tam zginiesz, a bez ciebie będzie rai źle. Słowo honoru... – I nagle Liza rozplakała się, cicho, ale głęboko i smutno.

– Nikomu nie jestem potrzebna – powtarzała szeptem. – I ty też chcesz się ode mnie odczepić...

Olegowi zrobiło się jej żal. Podeszedł do łóżka, przystanął i pogładził Lizę po ramieniu.

– No, daj spokój – powiedział. – Wszyscy bardzo cię lubią.

– Ja nie potrzebuję wszystkich – szepnęła. – Potrzebuję tylko ciebie. Ty tego nie rozumiesz, bo nigdy prawdziwie nie kochałeś i nie wiesz co to znaczy, kiedy nie jest się potrzebnym.

Wyciągnęła rękę i miękko przyciągnęła Olega do siebie. Nie opierał się, bo przecież byłoby głupio bić się z dziewczyną.

Liza była gorąca, jakby miała febrę z wysoką temperaturą. Od razu objęła Olega, zaczęła gładzić i przyciskać do siebie, ale nie mocno, tylko bardzo delikatnie i czule. Była taka bezbronna i czuła, że Oleg z przyjemnością głaskał ją po głowie i ramionach, powtarzając, że nie warto się martwić, że wszystko będzie dobrze, że polecimy na Ziemię, na pewno tam polecimy i wszystko będzie dobrze. Tylko że nie wiadomo, co się stało z aeronautami, bo jeśli balon spadł, to mogli zagubić się w lesie.

A Liza mówiła, że wszystko rozumie, a Oleg mocno to wszystko przeżywa, gdyż jest odważny i dobry, potrafi troszczyć się o innych. Mówiła, że koniecznie trzeba teraz pójść do lasu, ale nie puści tam Olega samego, pójdzie razem z nim, będzie go bronić, bo przecież do lasu zawsze jest lepiej chodzić we dwójkę.

– Chodź do mnie – szeptała gorąco Liza – chodź do mnie, mój ukochany. Będziemy razem, zawsze będziemy razem, z tobą pójdę gdzie zechcesz, nawet do lasu, nawet na kraj świata, uwierz mi! Zrobię wszystko, co tylko będziesz chciał, bo cię kocham. Pocałuj mnie, o tak, tak... Jeszcze raz, bardzo proszę! Nie, nie odwracaj się, ja też chcę cię pocałować...

Oleg nie wiedział już gdzie jest, ponieważ wokół nie było niczego poza gorącą Lizą. Liza była ze wszystkich stron naraz i robiło się jej coraz więcej...

Drzwi skrzypnęły tak przeraźliwie, jakby ktoś przejechał piłą po uszach i rozległy się głośne kroki matki.

Oleg wyrwał się z rąk Lizy, odrywając od siebie jej wczepione we włosy palce, i zerwał się na równe nogi.

A Liza usiadła na łóżku i przycisnęła ręce do piersi. Oleg nie tyle zobaczył to w gęstym mroku, ile poczuł – i zobaczył oczami matki.

A zaskoczona matka zwyczajnie się przestraszyła.

– Co wy? – wykrzyknęła. – Oleg, co wy tu robicie?

– Ja nic – powiedziała Liza, już chłodna i bardzo daleka. – Przyszłam posiedzieć z Olegiem, ale zaraz sobie pójdę, proszę się nie obawiać.

– Tego się nie spodziewałam – powiedziała oburzona matka.

– Czego takiego? – Oleg od razu stał się agresywny, bo zrobiło mu się wstyd.

– Sam wiesz – odparła matka. – I po tobie, Lizo, też się tego nie spodziewałam.

– Bardzo przepraszam – powiedziała Liza. – Ale bardzo się o Olega martwiłam, bo chciał uciec do lasu szukać Marianny i Dicka, a ja go przekonywałam...

– Liza! – oburzył się Oleg, dotknięty do żywego jej zdradą.

– Możesz się na mnie gniewać, ile tylko chcesz, ale ja wiem, że poszedłbyś do lasu na pewną śmierć. Proszę pani, ja go tylko chciałam czymś zająć, słowo daję!

– Dziwne zajęcie – powiedziała matka i natychmiast zwróciła się do Olega. – Naprawdę chciałeś uciec do lasu?

– Łże jak najęta – powiedział Oleg tępo. Nie potrafił kłamać, ale teraz nie to było najgorsze. Gorzej, że Liza okazała się zdrajczynią. Przestraszyła się matki i próbowała się usprawiedliwić.

– Nie, Oleg – Liza zdawała się czytać jego myśli. – Wcale nie jestem zdrajczynią! Bardzo cię lubię i wolałabym umrzeć niż puścić cię samego do lasu.

Matka schyliła się nagle. Znała Olega lepiej niż ktokolwiek. Wyciągnęła spod stołu plecak.

– A co to jest? – zapytała.

Liza dopięła swego. Była uratowana. Wstała zapinając kurtkę i poszukała butów.

– Za co? Chcesz mnie zabić? Koniecznie chcesz mnie zabić? – matka zaczęła się podniecać, wzbudzać w sobie gniew.

– Pójdę już – powiedziała Liza, ale nikt na nią nie zwrócił uwagi.

Gwałtowna scena jeszcze się nie skończyła, kiedy zwabiony hałasem zajrzał do izby Stary, a dowiedział się w czym rzecz i powiedział:

– Podejrzałem, że spróbujesz wywinąć podobny numer. Dlatego umówiliśmy się z Siergiejewem, że dzisiaj będziemy w nocy na zmianę dyżurować przy palisadzie, więc na pewno byśmy cię zauważyli. Ej, naiwność, naiwność...

– To nie naiwność.

– To nie naiwność, tylko głupota – powiedziała matka.

– A wiesz, że Irena ma rację? To właśnie jest egoizm.

– Ja przecież nie dla siebie...

– Właśnie dla siebie! Dla siebie chcesz być bohaterem, dla siebie chcesz przynieść na rękach Mariannę lub przy wlec Dicka na plecach.

– Nic nie rozumiecie!

Oleg wybiegł z domu w samej koszuli. Siedział zziębnięty na pniu drzewa pod warsztatem i nie chciał wracać do domu. Nikt mu nie wierzy, że chce dobrze, a tam, w lesie trójka przyjaciół czeka na pomoc...

– Oleg! – krzyknęła matka od drzwi domu. – Chodź spać, przeziębisz się.

Trzeba było iść, bo i tak już cała osada nadstawiała uszu. Nie odezwał się do matki, a ona również milczała. Rzucił się na łóżko, które jak na złość pachniało Lizą. Jej ciałem i tym zieleń, którym natarła dłonie.

Oleg chciał myśleć o Mariannie i zasypiając przywoływał w pamięci jej wizerunek, ale kiedy wreszcie zasnął, przyśniły mu się objęcia Lizy. Wiedział we śnie, że to jest nieładnie z jego strony, ale nic na to nie potrafił poradzić.

* * *

Następnego dnia Kazik zaczął wycinać stopnie w korze drzewa. To była wyczerpująca, żmudna praca, a w dodatku Kazik i zmieniający go Dick byli głodni.

Pierwszego dnia udało im się dotrzeć do znajdującego się o dwadzieścia metrów niżej sterczącego z pnia sęka. Kazik wyciął w nim kolisty rowek, żeby można było umocować tam linkę.

Kolejny dzień przyniósł im dalsze trzydzieści metrów stopni. Chłopcy mogliby po nich zejść, ale

Mariannę trzeba było ubezpieczać linką, bo była od nich znacznie słabsza. Dziewczyna prosiła, żeby ją zostawić na drzewie i schodzić bez niej, a ona tymczasem zaczeka na pomoc, ale Dick odmówił. Powiedział, że istnienie bazy nie jest wcale takie pewne, a jeśli nawet jest, to może tymczasem odlecieć. Znaczyłoby to, że Marianna musiałaby sama przeżyć na drzewie jakieś dziesięć dni lub nawet dwa tygodnie. A przez ten czas, jak mówił, mogłaby przekształcić się w szkielecik. Miał rację, więc Marianna więcej już nie nalegała. Zresztą od początku bała się, że chłopcy ulegną jej gorącym namowom, a wtedy na pewno umrze z samego strachu i samotności.

Kazik odszukał niewielki otwór w pniu, wypędził z niego jadowitą żmijkę i uzyskał w ten sposób kolejny punkt do zaczepienia linki. W ten sposób trzeba się było posuwać do samej ziemi, ale ziemia była jeszcze bardzo daleko, w odległości trzech lub czterech rzutów linki.

Czwartego dnia Dick wspiał się do szczątków balonu, pod chmury i przyniósł stamtąd jeszcze jedną linkę. Przy okazji udało mu się upolować zająca drzewnego. Zjedli go i wymęczeni przespali z dziesięć godzin. Od wylotu z osady minęła już cała wieczność, a cel ich wyprawy był niemal tak samo odległy jak pierwszego dnia.

Kiedy się wreszcie obudzili, była bardzo ładna pogoda i doskonała widoczność. Kazik, zanim zszedł na dół do swojej pracy, starannie naostrzył nóż, który zrobił się dwukrotnie węższy i pozwolił, żeby Marianna natarła mu krwawiące dłonie resztką maści. Potem poszedł na swój punkt obserwacyjny popatrzeć w tę stronę, gdzie powinna być baza. Siedział tam z pół godziny, ale nikt go nie ponaglał, bo i tak chłopak pracował najwięcej ze wszystkich. Patrzył tak długo, aż dostrzegł wznoszącą się ku chmurom lśniąca kulkę – to Pawłysz leciał łazikiem nad brzeg jeziora. Teraz wiedzieli już na pewno, w którą stronę iść.

Z drugą linką poszło Kazikowi o wiele szybciej. Tego dnia zdołał posunąć się o pięćdziesiąt metrów. Pozostały dwa dni.

Te dwa dni były bardzo długie i nudne. Marianna często chodziła na punkt obserwacyjny i czekała, aż ktoś wzniesie się nad brzegiem jeziora. Widziała, jak Pawłysz z Klaudią polecili na przeciwległy brzeg jeziora do złotej góry. To była pierwsza podróż Klaudii po planecie. Była milcząca i napięta, ożywiła się dopiero na widok samorodków wymytych przez strumień ze złoża i grubych niczym lśniące postronki złotych żył przecinających kwarc. Pawłysz również zachwycił się tym widokiem i postanowił nawet wykuć dla Sally złotą bransoletę, ale zrezygnował z tego pomysłu, gdy okazało się, że nie ma odpowiednich narzędzi. Po powrocie Klaudia zmusiła go do przeprowadzenia szczególnie starannej dezynfekcji. Pawłysz burczał i uspokoił się dopiero po rozłożeniu na biurku kilku wspaniałych, nieregularnych samorodków. Lot w góry znów trzeba było odłożyć, a może Pawłysz podświadomie sam go odwlekał, wynajdując sobie jakieś pilne prace. Lot w góry był świętem, choinką, wokół której można było tańczyć. Ale przecież po świętach nieuchronnie następuje dzień powszedni. W dodatku w żaden sposób nie udawało mu się zostać sam na sam z Sally, bo Klaudia nie spuszczała z nich wzroku. Sally traktowała tę sytuację z humorem. Poza tym lubiła Klaudię i nie chciała jej sprawiać przykrości.

Atu jeszcze wypadły urodziny Pawłysza. Sally i Klaudia podeszły do tego z sercem i urządziły takie przyjęcie z tortem i świeczkami, że solenizant poczuł się wzruszony.

* * *

A Kazik przez te dwa dni wreszcie dotarł do miejsca, gdzie o jakieś pięćdziesiąt metrów nad ziemią orzące pień liany rozchodziły się na boki. Stamtąd można już było zejść bez pomocy liny.

Krzyknął do góry, żeby się o niego nie martwili i spełził na ziemię. To było szczęście – mógł iść dokąd zechce. Ziemia była miękka, można się było po niej tarzać, biegać, skakać i nigdzie się nie spadnie. Kazik obiegnął pień dokoła, żeby odszukać worek z jedzeniem, ale go nie znalazł. Pewnie go ktoś już ściągnął albo po prostu zagubił się w poszyciu. Przez parę dni tak odwykł od lasu, że omal nie trafił w pazury szakala i ledwie przed nim uciekł. Bardzo nie lubił ustępować pola szakalom, ale co miał zrobić, skoro z noża został jedynie ogryzek, którym nie dałoby się nawet przebić ich skóry. Potem Kazik nzbierał grzybów i zaniósł je na górę do rozwidlenia konarów.

Następnego dnia rano zaczęli schodzić w dół.

Dick przywiązywał linkę do pnia drzewa, potem Marianna chwyciła ją i, opierając się nogami o płytkie stopnie, schodziła w dół. Kazik czekał na następnej stacji i ubezpieczał. Szło to bardzo wolno, bo Marianna szybko się męczyła, a odpoczynek nad przepaścią mało co dawał. Z każdym metrem ręce jej słabły, nogi coraz bardziej drżały i choć udawała zucha, chłopcy to doskonale widzieli. W dodatku nagle rozszalała się ulewa. Strugi deszczu biły po rękach i głowie, starając się zmyć ludzi z gigantycznego pnia.

Pozostały jeszcze dwa rzuty linki.

Dick z góry krzyczał, żeby Marianna zatrzymała się i nie szła dalej, ale dziewczyna nie mogła już więcej stać pod smagającymi strumieniami deszczu i ruszyła w dalszą drogę. Minęła przedostatnią stację, o jakieś czterdzieści metrów nad piramidą lian.

Kazik stojący w dole nie zdążył przygotować linki i Marianna schodziła bez niej, wyczuwając stopnie nogami i przyciskając się podrapanym brzuchem do śliskiej, nierównej kory.

Kazik starał się iść blisko niej, chociaż rozumiał, że gdy coś się stanie, to nie zdoła jej pomóc.

Marianna dotarła do miejsca, gdzie pień zaczął się rozszerzać i zrozumiała, że pod nią była już nie przepaść, lecz zbocze. Kazik odetchnął z ulgą. Oslaniając dłonią twarz przed deszczem, popatrzył w górę, skąd schodził Dick.

I w tym momencie usłyszał krótki, całkiem niegłośny krzyk i obok niego, omal nie pociągając go za sobą, przeleciała Marianna.

Właściwie nie przeleciała, ale stoczyła się po zboczach, które jednak było na tyle strome, że nie można się było na nim utrzymać. Przerażony Kazik patrzył, jak ciało dziewczyny leci w dół.

Nie pamiętał, jak sam zszedł. Chyba nawet nie trzymał się stopni, tylko czepiał się jak żuk za nierówność kory i nawet tego nie zauważał. Zsunął się w dół bardzo szybko i dobiegł do miejsca, gdzie z rozrzuconymi rękami leżała Marianna. Zaczął ją wołać, ale nie odezwała się. Poruszył ją, przyłożył ucho do piersi, ale nie usłyszał bicia serca.

I wtedy podbiegł do niego Dick, który odsunął Kazika i kazał mu trzymać nad głową Marianny kurtkę, żeby deszcz nie padał jej na twarz. Chłopakowi było zimno i deszcz boleśnie smagał go po plecach.

– Ona żyje – powiedział Dick.

Zaczął sprawdzać, czy stało się jej coś poważnego. Kiedy dotknął dziwnie wykrzywionej nogi, Marianna, nie otwierając oczu, zajęczała i wówczas zrozumieli, że noga jest złamana. Sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej.

Dick wyciął z pobliskiego drzewa dwa cienkie kije.

Dziewczyna była półprzytomna. Widocznie mocno się o coś uderzyła i dlatego zemdliała, ale kiedy Dick zaczął umocowywać kije do nogi kawałkiem linki, który przyniósł ze sobą, krzyknęła z bólu, rozplakała się i przyszła do siebie. Dick nie zważał na jej płacz i zostawił ją w spokoju

dopiero wówczas, kiedy noga została dokładnie usztywniona.

Potem z pomocą Kazika ostrożnie przeniósł Mariannę między gęste drzewa, gdzie pod liśćmi deszcz nie był tak dokuczliwy. Dziewczyna zupełnie już oprzytomniała z bólu, ale starała się być dzielna.

– Ale głupio wyszło – powtarzała. – Narobiłam wam kłopotu...

– Nic nie mów – poprosił ją Dick. Starał się rozpalić ognisko, a Kazika wysłał na poszukiwanie dużego pustego orzecha, żeby w nim zagotować wody.

– Nie jest źle – powiedział. – W końcu jednak zesłiśmy.

Marianna była tak zmęczona, że mimo bólu usnęła wieczorem, a Dick z Kazikiem długo jeszcze siedzieli przy ognisku i zastanawiali się, co robić dalej.

Naturalnie można było posłać Kazika z powrotem do osady, ale to było co najmniej pięć dni trudnej drogi przez bagna i gęsty las. Zresztą, zostać we dwójkę z Marianną też nie było bezpiecznie. Musiałby przecież chodzić na polowanie, po drzewo albo na opał, a wówczas Marianna byłaby zupełnie bezbronna. Las nie lubi bezbronnych. Jeśli nawet dać jej do obrony blaster, to i tak zawsze może się podkraść jakiś gad, którego ona po prostu nie zauważy.

– No dobra – powiedział wreszcie Dick. – Robimy sanie i ciągniemy Mariannę nad rzekę.

– Słusznie – natychmiast zgodził się Kazik. – Najważniejsze to przeprowadzić ją przez rzekę albo przynajmniej przeprowadzić któregoś z nas. Prawda? Dotrzemy do ludzi i sprowadzimy ich.

– Tak zrobimy – powiedział Dick. – Do rzeki dociągniemy ją w pół dnia, gorzej będzie z przeprawą.

– Żeby tylko nie odlecieli, żeby tylko na nas zaczekali – powiedział Kazik błagalnym tonem.

– Trzeba się przespać – powiedział Dick. – śpij, a ja posiedzę. Potem cię obudzę. Jutro dojdziemy do rzeki.

– Dojdziemy – powiedział z przekonaniem Kazik.

– Zostało nam już niewiele drogi. Krople dudniły w liście. Deszcz ustawał.

* * *

Tego dnia do rzeki nie doszli, chociaż z góry wydawała się być blisko. W drodze do niej trzeba było przeprowadzić się przez bagno, a w dodatku zmitrężyli mnóstwo czasu, zanim zrobili sanki dla Marianny. Żerdzie na płozy znaleźli bez trudu, ale nie było cienkich lian do ich związania.

Marianna wciąż traciła przytomność z bólu, na który nakładały się skutki wstrząsu mózgu. Co prawda chłopcy nie wiedzieli, że ma wstrząs mózgu, ale widzieli, że wymiotuje, skarży się na ból głowy i z trudem ich poznaje. Siniaki na policzku, piersiach i na boku poczerniały.

W nocy znów zerwała się burza, na szczęście prawie bez deszczu. Widać było, jak pioruny biły w drzewo i staczały się ognistymi wężami na ziemię. Dick ucieszył się, że zdążyli zejść na dół.

Poryw wiatru zerwał z górnych gałęzi szczątki balonu. Zobaczyli go w ciemności i z początku nie rozpoznali. Błyskawice oświetlały czarną, lśniącą płachtę, wolno opadającą na las.

Rano Kazik podkraść się do nieznanego stworzenia, które leżało niedaleko od nich, i zrozumiał, że to ich stary balon. Zupełnie teraz nie przypominał balonu i trudno było sobie wyobrazić, że to coś wzniosło się kiedyś w powietrze. Z powłoki zostały tylko porwane strzepy, a z kosza trochę połamanych patyków. Zostały jednak linki i kawały mustangowej błony. Mogli więc zrobić wspaniałe sanki dla Marianny przykryte z wierzchu czymś w rodzaju namiotu, żeby nad rzeką nie męczyła ją meszka, która tam roi się całymi chmarami.

Cały następny dzień upłynął na przeprawie przez pełne gadów bagno. Nocować musieli na wyspie splecionej z trzciny i wodorostów. Wysepka przytuliła się do brzegu rzeki.

Marianna bredziła w gorączce i nie miał kto dać jej lekarstwa, bo na tym znała się tylko ona.

Wysepka lekko się kołysała na płynącej pod nią wodzie. W nocy Kazik zabił wielkiego węża, który również chciał przeczekać ciemność na wysepce. Chłopcu wydawało się, że wylecieli z osady przed całymi wiekami i od tej pory wciąż idą, pełzną, wdrapują się i że już nigdy się to nie skończy.

Rano ugotowali i zjedli węża, a potem zaczęli szukać pni na tratwę i okropnie się zmordowali, wędrując błotnistym brzegiem, brnąc przez piaszczyste łachy i przedzierając się przez krzewy.

Marianny ani na sekundę nie zostawiali samej, tym bardziej, że okolica była nieznana i niebezpieczna, pełna cudacznym bagiennych gadów. W głębi bagna, nieco w górę rzeki, gdzie się nie zapuszczali, znajdowało się jakieś skupisko zwierząt, bo woda tam nieustannie burzyła się i pieniała. Na wszelki wypadek trzymali się od tego miejsca z daleka.

Dopiero pod wieczór znaleźli dwa powalone drzewa, ale leżały one tak daleko od brzegów trzęsawiska, że prawie nie sposób ich było wyciągnąć. Kazik wpadł na pomysł, że można odciąć korzenie trzymające przybrzeżną wysepkę i spławić ją do tych drzew. Potem przywiązali pnie do wysepki i zrobili bardzo niepewną, przeciekającą, prawie niesterowną, ale jednak pływającą tratwę.

Ułożyli Mariannę na suchej tratwie pokrytej kawałkami błony z powłoki, więc przynajmniej jej nie dokuczła wilgoć. Dziewczyna dzielnie znosiła wszystko, tylko czasami pojękiwała. Noga jej spuchła, zrobiła się czerwona. I w dodatku trudno jej było załatwiać zwyczajne ludzkie potrzeby. Krępowała się tego i prawie nic nie chciała jeść. Kazika krępowała się mniej, a Dick odchodził na stronę. Kazik pielęgnował ją tak, jak Dużą Luizę, kiedy była chora i robił to bardzo zręcznie. A Dick bał się. O wiele bardziej niż w lesie.

Następnego dnia Dick wyciął długie żerdzie, które niestety nie były zbyt sztywne i gięły się pod naciskiem. Dał jedną z nich Kazikowi, a drugą zatrzymał dla siebie. Odepchnęli się, tratwa niechętnie oderwała się od brzegu i popłynęła. Znosiło ją, ale ta struga, pierwsza z trzech lub czterech odnóg, jakie musieli pokonać, była płytka i woda płynęła w nim leniwie. Sięgali żerdziami dna nawet na środku nurtu.

Przeprawa okazała się niezbyt trudna i wszystkim poprawił się humor. Marianna uniosła się na łokciach i rozglądała się dookoła.

Nigdy jeszcze nie pływali po wielkiej rzece i teraz bardzo się z tej przygody cieszyli. Pasma ładu między pierwszą a drugą odnogą było dość wąskie i niskie.

To była po prostu łacha usypana z wilgotnego żwiru, przez którą tratwę udało się stosunkowo łatwo przeciągnąć do następnej odnogi, jednak zajęło im to prawie trzy godziny. Dick z Kazikiem mocno się zmordowali, a i wysepka mocno ucierpiała. Ze szczytu łachy zobaczyli, że przed nimi jest szeroka i bystra odnoga, a za nią trzecia, przy czym między drugą a trzecią znajdowało się wzgórze porośnięte trawą. Nie mieli najmniejszego pojęcia, w jaki sposób przeciągnąć przez nie tratwę, dlatego postanowili spłynąć bliżej jeziora, gdzie odnogi się łączyły. Zanocować musieli na przeciwległym brzegu odnogi tuż przy jeziorze, tak daleko ich zniosło. Ale jednak się przeprawili. Na jutro pozostała im najtrudniejsza część przeprawy. Kazik spał, Marianna podrzemy wała, a Dick, żeby pozwolić Mowgliemu wypocząć, sam gotował wodę w orzechu nad ogniskiem, żeby Marianna miała co pić. Był przekonany, że gorąca woda potrafi pomóc na każdą chorobę. Potem, chociaż bardzo mu się chciało spać, buszował po zaroślach w poszukiwaniu innych pni lub większych gałęzi do wzmocnienia tratwy.

W nocy znów się rozpadało, ale tym razem deszcz był spokojny i ciepły. Dick przykrył Kazika i Mariannę błoną. Marianna nie spała. Noga ją bolała i wydawało się, że ktoś w nią kuje młotem w rytm uderzeń pulsu. Zapragnęła oderwać tę przeklętą, ciężką, nieruchomą nogę. Przez otwór w błonie patrzyła w czarne niebo. Było wilgotno i duszno, obok pochrapywał i z kimś przez sen kłócił się Kazik. Marianna starała się myśleć o Olegu, który gdzieś tam jest przekonany, że zginęła i poszedł do statku. Pewnie bardzo cierpi... Cieszyła się, że Oleg cierpi niepotrzebnie, bo przecież ona żyje i wróci do niego. A potem nagle rozpląkała się. Bezdźwięcznie, żeby nikomu nie przeszkadzać. Płakała dlatego, że wyobraziła sobie, jak odetną jej nogę, bo ma gangrenę, a Oleg przestanie ją kochać i rzuci. W takim razie niech lepiej odleci na Ziemię, a ona zostanie tutaj, w osadzie. Osada będzie zupełnie pusta, zostanie w niej tylko Marianna i niewidoma Krystyna. Marianna będzie opiekować się Krystyną i karmić Kozę...

* * *

Zebrali się wszyscy, poza najmłodszymi dzieciakami. Z dzieciarni przyszła tylko Fumiko, siostra Kazika, która przez wszystkie te dni z nikim się nie bawiła, ale i nie płakała, bo to rodzeństwo nigdy nie płakało. Chodziła jak automat, nie widząc i nie słysząc niczego. Nie było również Starego, który przeziębził się i od trzech dni nie wstawał.

W dużym pokoju Siergiejewa było dość luźno: troje nieobecnych to dla małej osady bardzo wiele. Od razu się czuje, że ich nie ma, że pozostały po nich puste miejsca.

– Idziemy – powiedział Siergiejew. – Idziemy z Olegiem, bo dłużej już czekać nie można.

– Jeszcze za wcześnie – zaproponował Veitkus. – W ogrodzie nic jeszcze nie dojrzało.

– Dzieciaki nazbierały grzybów – powiedział Siergiejew. – W tym roku lato jest nienormalnie ciepłe i dlatego nie wiadomo, jak długo się taka pogoda utrzyma. Pamiętasz przecież, że dwa lata temu najpierw był upał, a potem spadł śnieg. A teraz ciepło jest już od ponad tygodnia i śnieg na przełęczu powinien odtajać.

– Pójdziemy we dwóch – dodał Oleg. – Wiele jedzenia nie potrzebujemy.

– On ma rację – powiedział Siergiejew.

– A co to zmieni? – nagle wtrąciła się matka. Oleg wiedział, że zaraz zacznie szukać argumentów przemawiających przeciwko ich wyprawie. Wydawało się jej, że jeśli będzie mówiła dość przekonująco, to ludzie ją zrozumieją, usłuchają i Oleg zostanie z nią w osadzie. – Nie ma żadnej gwarancji, że zdołacie uruchomić łączność...

– Mamo, ja to wszystko już słyszałem – powiedział Oleg. Reszta milczała rozumiejąc, że to właśnie on powinien odpowiedzieć na wątpliwości swojej matki. – Dwadzieścia lat temu nikt nie miał na nic czasu. Statek był martwy, zimny, obaj łącznościowcy zginęli i wszyscy, którzy byli wówczas w sterówce, doskonale o tym wiesz. Wtedy najważniejszą rzeczą było przeżyć, wszyscy myśleli jak się stamtąd wydostać, nikt nie zamierzał zostać i zamarznąć na statku, prawda?

– Prawda – powiedział Veitkus.

– Jeśli nasi zabłądzili, wylądowali na wyspie, nie mogą wrócić, naszą jedyną nadzieją pozostał statek.

– Nie opowiadaj głupstw – powiedziała matka. – Statek jest w górach.

– Mamo – powiedział cierpliwie Oleg – przecież wiele razy o tym już mówiliśmy. Jeśli uruchomimy nadajnik, nasz sygnał zostanie odebrany, rozumiesz? Dopóki ta ekspedycja jest na tej planecie, jest szansa, że nas usłyszą.

– Takiej szansy nie ma – powiedziała matka z uporem w głosie. – Łączność kosmiczna posługuje się grawigramami, a oni tutaj mają łączność planetarną. Sygnały radiowe. Po co się łudzić?

Oczy jej zwilgotniały, ledwie powstrzymywała się od płaczu i dlatego jej twarz stała się zła i napięta.

– Właśnie o to chodzi, że postaramy się uruchomić nadajnik planetarny, a nie grawitacyjny.

– Nie uruchomicie go.

– To jest łatwiejsze niż naprawienie nadajnika grawigramów. Dlatego ruszamy właśnie teraz, mam – powiedział Oleg. – Kiedy wpadłem na ten pomysł, o mało nie zacząłem skakać z radości.

– I nic nie mówiliście? – zapytała go matka.

– Veitkus wie – odparł za niego Siergiejew. – I Stary również, ale na razie nie chcieliśmy tego szerzej rozpowiadać.

– Głupie tajemnice – powiedziała Linda. – Nikomu niepotrzebne tajemnice.

Ona również nie chciała, żeby Siergiejew szedł na statek.

Oleg patrzył na starszych. Decyzja została podjęta.

Teraz losy osady spoczywają w jego rękach. I rękach Siergiejewa. Trzeba tylko zdążyć.

W tym momencie drzwi chaty otworzyły się gwałtownie, omal nie zrywając mocujących je sznurków.

W progu ukazała się przygarbiona sylwetka Starego.

Nie wszedł do domu, tylko wolno potoczył wzrokiem po siedzących przy stole.

– Borys, tego jeszcze tylko brakowało! – pojawienie się Starego dało Irenie pretekst do wylania nań złości, a nawet nienawiści, jaką żywiła do ludzi, którzy zagrażali życiu jej syna. – Przecież jesteś chory! Zwariowałeś? Wracaj natychmiast do siebie.

Stary roześmiał się i to było bardzo dziwne. Nikomu przecież nie było do śmiechu. Może naprawdę zwariował?

– Idioci – powiedział wesoło. – A ja jestem największym idiotą z was wszystkich!

– Siadaj – powiedziała Linda, wstając, żeby pomóc Staremu. Pewnie pomyślała, że bredzi.

– Dajcie spokój i posłuchajcie mnie – ciągnął Star) -. Podeszedł do stołu, oparł się o blat swą jedyną ręką i światło kaganka odbiło się w jego oczach. – Zastanawialiśmy się, jak naprawić nadajnik planetarny na „Polusie”. Było tak?

– Naturalnie – odpowiedział zdziwionym tonem Siergiejew.

– Tylko skrajni idioci mogli tracić na to czas – powiedział Stary uroczyście. – Tego nadajnika nie trzeba naprawiać.

– Dlaczego? – zdumiał się Veitkus.

– Bo wystarczy go po prostu włączyć!

– Co masz na myśli? – zapytał Siergiejew, który już zorientował się, że Stary nie bredzi, tylko wpadł na jakiś pomysł.

– Kto mi odpowie, gdzie poza kabiną łączności jest na statku nadajnik?

– Masz rację – niemal natychmiast odezwał się Siergiejew. – Jesteśmy ostatnimi idiotami.

– Gdzie? – zapytał Oleg. – O czym on mówi?

– Prosta sprawa – powiedział Siergiejew. – Nadajnik jest na kutrze. Na kutrze ratowniczym, który pozostał na „Polusie”.

– I jeśli się nie mylę – dodał Stary – ten nadajnik jest całkowicie sprawny. Nie myśleliśmy o nim, bo nikomu nie przyszło do głowy, że na tej przeklętej planecie można z kimś nawiązać łączność.

Zrobiło się bardzo cicho. Jakby Stary wypowiedział te słowa w niezrozumiałym języku i teraz każdy je dla siebie tłumaczył.

– Oho – zadudniła w ciszy Luiza. – To zmienia postać rzeczy.

Tak, to zmienia postać rzeczy, powtórzył w duchu Oleg. To zmienia prawie wszystko. Jeszcze przed chwilą wyprawa na statek była bohaterstwem, podporządkowanym zimnej, wyrozumowanej konieczności. Każdy krok w kierunku statku oddalał go od Mariann) i odbierał jej szansę na ratunek. Minutę temu, już podporządkowawszy się nienawistnej konieczności. Oleg przeklinał wyprawę i tych, którzy go do niej zmusili. Wszyscy byli wrogami, bo gotowi byli pogodzić się ze śmiercią Marianny... Pomysł Siergiejew a dawał wprawdzie cię nadziei, ale nie obiecywał nadziei natychmiastowej... Jaką ten Stary ma dobrą twarz, jaki on jest mądry! A dlaczego nie ja? I Oleg ku swojej hańbie zrozumiał, że to właśnie on powinien sobie przypomnieć o istnieniu nadajnika na kuztrze planetarnym. Wtedy nie byłby potrzebny żaden lot balonem nad rzekę. Już dawno, dziesięć dni temu, dwa tygodnie temu można było polecieć do „Polusa” i wywołać ziemską wyprawę...

– Powinienem był wcześniej o tym pomyśleć – powiedział Siergiejew. Był ponury, jakby słowa Starego wcale go nie ucieszyły. Oleg zrozumiał, dlaczego: Siergiejew był ojcem Marianny i myślał teraz tak samo jak on. W tym momencie po raz pierwszy poczuł się spokrewniony z Siergiejewem, bo obaj kochali Mariannę.

– Na co jeszcze czekamy?! – Oleg najpierw usłyszał swój krzyk, a dopiero potem zrozumiał, że to właśnie on krzyczy. – Trzeba natychmiast wyruszać!

– Najpierw wyskrobiemy wszystkie nasze zapasy – powiedział Veitkus – żebyście nie pomarli z głodu.

* * *

– Wychodzicie wcześniej rano? – zapytała Liza, kiedy wszyscy rozsypali się po wsi.

Od ich niefortunnego spotkania nie podchodziła do Olega, milczała w jego obecności, tylko wpatrywała się w niego uważnym, żalonym wzrokiem. Matka też z Olegiem o tym wieczorze nie rozmawiała. Oleg niby rozumiał, że to on sam jest winien, bo nie trzeba było użalać się nad Lizą, a wówczas nie stałby się oszustem, draniem, który całuje się z dziewczyną, kiedy jego ukochana ginie w lesie. Dlatego po prostu starał się o tym nie myśleć, tylko myśleć o Mariannie i wyprawie na statek. Zresztą świetnie mu się tu udawało, jakby Lizy w ogóle nie było w osadzie. Dlatego kiedy do niego podeszła, Oleg ponownie odczuł wyrzuty sumienia, co go od razu wrogo do dziewczyny nastawiło. Nie tylko do niej, ale również do zapachu ziół, którymi widać znowu się natarła. I pewnie powiedziałby coś niesprawiedliwego i krzywdzącego, gdyby nie docierał już w myślach do statku i nie włączał właśnie nadajnika...

– Idę – powiedział. – Ale nie musisz się o mnie martwić. Wszystko jest w porządku.

– Tak, oczywiście i bardzo się cieszę, ale też bardzo o ciebie boję. Przecież ja nic nie chcę, rozumiesz? Tylko żebyś się na mnie nie gniewał i pamiętał o mnie.

– Dobrze – odpowiedział, rozglądając się wokół, czy przypadkiem ktoś tej ich rozmowy nie słyszy. – Będę pamiętał, nie denerwuj się.

– Chodźmy wieczorem na spacer – powiedziała Liza bardzo cicho, samymi wargami.

– Na spacer?

– Za ogrodzenie, niedaleko.

– Coś ty? – zdziwił się szczerze Oleg. – Przecież przez całą noc będę się przygotowywał do drogi, a o świcie ruszamy.

– Tylko na chwilkę! – poprosiła Liza. – A potem wrócisz.

– Zobaczymy – powiedział. Znowu zrobiło mu się żal dziewczyny, a w jego rękach i wargach odżyła wstydliva, ale niezatarta pamięć o jej gładkiej skórze i ustach. Rozumiał przy tym, że nie należy nigdzie z nią chodzić, na co zresztą nie miał ochoty. Naprawdę nie miał...

I uciekł do warsztatu, żeby pomóc Siergiejewowi w robieniu raków, metalowych kolców, z którymi łatwiej jest wspinać się po oblodzonych zboczach. A potem zapomniał o Lizie.

Ona zaś długo stała pod ogrodzeniem, z dala od bramy, w cieniu, chociaż sama nie wierzyła, że on przyjdzie. Potem zmarzła i poszła spać, a Oleg wrócił do siebie jeszcze później, kiedy Siergiejew wypędził go, żeby wyspał się przed drogą.

Dopiero kładąc się do łóżka Oleg przypomniał sobie o Lizie i pomyślał z ulgą: „No i bardzo dobrze, że zapomniałem”.

* * *

Tym razem uroczystych pożegnań nie było. Nie ten nastrój i nie ta wyprawa.

Było jeszcze bardzo wcześnie, dzieciaki spały, więc przy bramie zebrali się tylko starsi i przybiegła Fumiko, która do ostatniego momentu łudziła się, że wezmą ją ze sobą. Podśluchiwała, że

Oleg będzie rozmawiał przez radio z tymi, którzy uratują Kazika i chciała wiedzieć, jak się to będzie odbywać. Ale naturalnie nie mogło być nawet mowy o tym, żeby ją zabierać w góry, gdzie byłaby tylko ciężarem.

Od swej chaty nadbiegła Liza, niosąc woreczek. Nie zasnęła, ale do ostatniej chwili szukała czegoś smacznego dla Olega na drogę. Liza była jak chomik, który zawsze chowa po kątach rozmaite łakocie, ale czasem o nich zapomina. A teraz przekopła cały dom i znalazła słodkie korzonki i bryłę cukru, jeszcze zeszłorocznego. Chciała to jak najładniej zapakować, ale śpieszyła się i nic jej z tego nie wyszło, przesyłała zatem wszystko do zwykłego woreczka, z jakim chodzi się na grzyby i pobiegła do bramy.

Oleg wziął woreczek. Wydawało mu się przy tym, że wszyscy się z niego śmieją. Liza stała o dwa kroki od niego i przyglądała mu się w napięciu.

Matka przesunęła się tak, żeby znaleźć się między Lizą a Olegiem i zaczęła poprawiać mu kołnierz kurtki. Oleg nie opierał się.

– Dobra – powiedział Stary – nie traćmy czasu.

– Dzisiaj wszyscy pójdą do pielienia – powiedział Veitkus ochryłym głosem. Czuł się paskudnie, bo wszyscy odeszli, a jego zostawili z kobietami i dziećmi. Miał słabe płuca i chore serce. Nie wolno mu było daleko chodzić, ale bardzo dużo pracował. Miał na głowie warzywnik i całe gospodarstwo.

Linda rozplakała się. Nie powiedziała ani słowa, ale się rozplakała. Całkiem niedawno odprowadzała Tomasza i ten nie wrócił. A teraz odchodzi Siergiejew.

Oleg i Siergiejew poprawili plecaki i szybko ruszyli ku górom. Po ziemi ścieliła się mgła, a z góry przez warstwę chmur przygrzewało słońce. Wyglądało na to, że dzień będzie ciepły. Oleg gnał przed siebie, rozpoznając z ulgą punkty orientacyjne zeszłorocznej drogi. Siergiejew słuchał go we wszystkim, bo ufał jego pamięci. Niemal ze sobą nie rozmawiali, wymieniając tylko konieczne rzeczowe uwagi.

Grzyb-gigant znajdował się na dawnym miejscu i nawet podrośł przez zimę. Zatrzymali się przy nim tylko na chwilę, bo już zaczynało się ściemniać, a Oleg chciał dotrzeć do jaskini lub jeszcze dalej. Każdego dnia powinni robić dłuższą trasę niż w zeszłym roku.

* * *

Chcieli zacząć przeprawę przez szeroką odnogę z nastaniem świtu, ale kiedy wzmacniali nadwerżoną przez noc wysepkę, Marianna zasnęła. Przez całą noc nie zmrużyła oczu, a teraz rozgrzała się i zasnęła. Chłopcy nie chcieli jej budzić, odeszli o parę kroków i czekali, aż się obudzi.

– Jesteś zmęczony? – zapytał Dick.

Kazik zdziwił się. Dick nigdy o takie rzeczy nie pytał. Jeśli mężczyzna poczuł się zmęczony, to jego sprawa. Jeśli on był mocno zmęczony, to Dick brał od niego plecak lub upolowaną zdobycz. Nic nie mówił, tylko po prostu brał. „A może on też się zmęczył?” – pomyślał, a na głos powiedział:

– Nie za bardzo, a zresztą niewiele już zostało.

Dick klepnął go po ramieniu. Kazik pomyślał, że oto siedzą obok siebie, a Dick nie wie, jak on bardzo go kocha. Kocha najwięcej ze wszystkich, nawet bardziej niż Mariannę i ciotkę Luizę, dlatego że chce być taki sam jak on – silny i małomówny. Dobrze byłoby przyjaźnić się z nim również na Ziemi. Szybko przecież dorośnie, a Dick wtedy też będzie jeszcze niestary. Mogą razem udać się w wielką podróż.

– A może kiedyś wejdziemy na Everest – powiedział na głos.

– Ty ciągle z tym Everestem – mruknął Dick, który zorientował się, że Kazik znów myśli o Ziemi.

– No, na polowanie – wyjaśnił Kazik.

– Tam nie wolno chodzić na polowanie – powiedział Dick. – Pytałem Starego. Na Ziemi nikt nie poluje. Nie chcę na Ziemię.

– Nawet popatrzeć?

– Popatrzeć można – zgodził się Dick. – Tylko zostać tam bym nie chciał. Nudno. Tego nie wolno, tamtego nie wolno... Oni tam siedzą w czystych domach i boją się mikrobów.

– Jakby się bali – zauważył rozsądnie Kazik – to byśmy tu nie przylecieli.

– A co my mamy z tym do rzeczy?

– A to, że my, to właśnie oni. Jedno i to samo. Dokąd teraz idziemy? Do nich. To znaczy do siebie. Tak to rozumiem. Jest tak, jakbyśmy zabłądzili w lesie i teraz chcieli się z niego wydostać. Oni wszyscy są silni i piękni jak na fotografii.

– A my jesteśmy dla nich brudni – powiedział Dick.

Kazik się z nim nie spierał, ponieważ rozumiał, dlaczego Dick tak mówi. Wcale to nie pomniejszało jego miłości do Dicka, tylko czyniło jeszcze bliższym. Dick bał się ludzi z Ziemi, bo im zazdrościł.

– My też nie będziemy tam należeć do ostatnich – powiedział.

– Gdzie?

– Na Ziemi. Tam nasze zdolności bardzo się przydadzą. Będziemy zwiadowcami. We Flocie Dalekiego Zasięgu.

– Wezmą nas, akurat... Oni się przecież od kołyski uczą! – wydusił z siebie Dick.

– Chłopcy – odezwała się Marianna. – Dlaczego nie płyniemy?

– Obudziłaś się? – Dick w stał. – Postanowiliśmy trochę odpocząć, bo przeprawa będzie trudna. Jak noga?

– Lepiej – skłamała Marianna.

– Chcesz pić?

– Daj.

Dick przyniósł jej wody w skorupie i podtrzymał głowę, żeby łatwiej jej było pić. Kark dziewczyny był bardzo gorący. Dick bał się o nią, bo zupełnie nie mieli lekarstw. Marianna zawsze mu się podobała, najbardziej ze wszystkich w osadzie, ale doskonale wiedział, jak to jest między nią a Olegiem. Uważał to za niesprawiedliwe, ale nie czuł się skrzywdzony. Skoro oni tak chcą, to niech tak będzie.

Zepchnęli wysepkę na wodę i zaparli się żerdziami w miękkie dno. Żerdzie grzęzły w nim i było trudno się odpychać. Potem zaczęło ich coraz bardziej znosić. Brzeg oddalał się, ale ten, do którego chcieli dotrzeć, oddalał się również, ponieważ rzeka stawała się przed ujściem do jeziora coraz szersza. Żerdzie przestały sięgać dna i Dick z Kazikiem zaczęli wiosłować szerokimi, sztywnymi liśćmi, które znaleźli na brzegu. Prąd był silny i trudno się było zorientować, czy to wiosłowanie cokolwiek pomaga. Raczej nie pomagało.

Ziajali się i zmęczyli. Marianna denerwowała się, że nie może pomóc, jeden z pni odwiązał się i stracili mnóstwo czasu zanim zasupłali porwaną linkę i przymocowali go na miejsce. Tymczasem zniosło ich jeszcze niżej. Z prawej strony rozciągało się jezioro, szare i gładkie z rozsianymi po nim wysepkami, a dalej siny obłok przesłaniający przeciwległy brzeg.

Przeniosło ich nad mielizną, ale nie zdołali się o nią zaczepić, bo Dick zbyt silnie nacisnął na żerdź, złamał ją i omal nie wpadł do wody. W dodatku wysepka stanowiąca rdzeń tratwy zaczęła się rozpełzać i tylko pnie utrzymywały w kupie masę błota i splątanych korzeni. Za tratwą po rzece płynął długi ogon gałęzi i wodorostów.

Brzegi gwałtownie rozeszły się na boki, zawiał wiatr zupełnie inny niż w lesie, ostry i wilgotny, tratwa zachybotła się i zwolniła. Rzeka została za nimi.

– Co się stało? – zapytała Marianna.

– Nic – odparł Dick. – Płyniemy.

– Tak jest nawet lepiej – dodał Kazik. – Tu prąd jest znacznie słabszy. Damy radę.

Prąd jednak mimo wszystko był i odpychał ich coraz dalej od brzegu, dopóki nie natknęli się na mieliznę, która leżała na ich kursie niczym płaska, ledwie wystająca nad powierzchnię wody piaszczysta wysepka.

Rozpalili na niej ognisko. Dobrze jeszcze, że ognia starczyło, żeby zagrzać wody dla Marianny. Dick z Kazikiem napili się prosto z jeziora. Umyślnie pili bardzo dużo, bo jak się człowiek opije wody, to zapomina o głodzie. Inna rzecz, że im się to nie udało.

Wieczorem Dick próbował zapolować na ryby, bo zostało mu jeszcze parę strzał. Nigdy jednak przedtem nie strzelał do ryb z kuszy i dlatego chybiał. A blastera nie chciał użyć, bo nie wiedział, ile jeszcze ładunków w nim zostało i obawiał się, że niedługo w ogóle przestanie strzelać.

Noc mieli trudną. Zerwał się silny wiatr i fale przetaczały się przez wysepkę. Tratwę znosiło i ciągle ją trzeba było przesuwać żerdziami na mieliznę. A kiedy fale jeszcze bardziej się wzmożyły, Dick i Kazik weszli do zimnej wody i podtrzymywali tratwę. Marianna również nie spała.

* * *

Oleg i Siergiejew szli prawie bez obciążenia, więc szybko, a co najważniejsze inaczej. Zmienił się ich stosunek do drogi. W zeszłym roku była to Podróż, niewyobrażalna Wyprawa, na którą można się było odważyć jedynie z rozpaczliwej konieczności. Śmierć Tomasza była naturalną ceną za osiągnięcie wymarzonego celu, a sam „Polus” wydawał się tajemniczym, dalekim wspomnieniem o wątpliwej rzeczywistości.

Teraz szli trudną drogą do określonego celu i z konkretnymi i zamiarami. Musieli dojść i jak najszybciej połączyć się z bazą.

Siergiejew spokojnie uznawał w drodze starszeństwo Olega i właśnie dlatego w żaden sposób nie podkreślał różnicy w latach i doświadczeniu. Oleg równie naturalnie uznawał tę różnicę. To była wyprawa dwóch dorosłych mężczyzn.

Minęli akurat gigantyczny grzyb i zagłębili się między skały, kiedy Siergiejew zapytał:

– Ty naprawdę kochasz moją Mariannę?

– Tak mi się wydaje – odparł Oleg, który pomyślał, że bardziej kategoryczna odpowiedź sprawi Siergiejewowi przykrość.

Siergiejew zdawał się nie zauważyć jego dyplomatycznego uniku.

– Żaden z nas nawet nie przypuszczał, że dożyjemy do wesela, do ślubu w następnym pokoleniu.

– Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy – zmieszał się Oleg.

Przypomniał sobie Lizę i zapragnął ukryć myśl o niej jak najgłębiej, żeby Siergiejew jej nie zobaczył.

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze – ciągnął tymczasem Siergiejew – osada tego ślubu nie obejrzy.

Osady już nie będzie. Zostanie pożarta przez las.

Oleg odwrócił się, bo wydało mu się, że idzie za nimi słoń. Już zaczynało się ściemniać i świat wydawał się zakutany w siną oponę. Siergiejew szedł spokojnie. Ufał czujności Olega.

– Wcale mi jej nie będzie żal – powiedział Oleg.

– A mnie tak – wyznał Siergiejew. – To niemal połowa mojego życia i większość świadomego życia.

– Nie chcesz wracać do domu?

– Nie o to chodzi. Przeżyliśmy długie lata w nędzy i niemocy. Człowiek z Ziemi, który by nas teraz zobaczył, byłby przekonany, że patrzy na małpy... I mimo wszystko jestem przekonany, że jeśli wrócimy do domu, to w pamięci zostaną nam tylko zwycięstwa i chwile triumfu, których ty nawet nie zauważyłeś.

– Bo byłem za małpy?

– Dla ciebie jest rzeczą zwyczajną, że pozostajemy ludźmi, że chodzisz do szkoły i jesz łyżką.

A wiesz, jakie było święto, kiedy udało mi się zrobić pierwszą łyżkę?

Oleg gwałtownie szarpnął go za rękaw i zwałił z nóg. Siergiejew tylko sapnął z bólu.

Nad ich głowami przemknęło czarne stado. „Zupełnie jak jeźdźcy Apokalipsy” – pomyślał Siergiejew, patrząc na śmigający szyk czarnych cieni.

– Co to było? – zapytał.

– Nie wiem – odpowiedział Oleg. – Widziałem je kiedyś dawno temu, ale nie mam pojęcia, co to jest... Mówiłeś o łyżce.

– Tak. A poza tym było wiele śmiesznych rzeczy. Bardzo często się śmialiśmy. O wiele częściej niż teraz, bo już jesteśmy zmęczeni.

Minęli jaskinię, w której poprzednim razem Oleg spędził niespokojną noc. Może warto byłoby w niej przenocować, zawsze to nie pod gołym niebem, ale jeszcze niezupełnie się ściemniło i nie wiadomo było, jaka jutro będzie pogoda. Upór, z jakim mokry śnieg pokrywał ziemię, był niepokojący. Siergiejew nie oponował, chociaż był już bardzo zmęczony. W pół godziny później Oleg pożałował, że nie stanęli na nocleg w jaskini. Śnieg rozpadał się na dobre. Z obawy, że zabłądzą, rozbili namiot, wsunęli się do środka przytulili do siebie plecami. W nocy zrobiło się zimno. Siergiejew zanim zasnął, opowiadał Olegowi, że matka Marianny go nie kochała. Ze chciała nawet od niego odejść, ale została ze względu na córkę. To było dziwne, bo dokąd można odejść od człowieka w osadzie? Zerwał się wiatr i zasypywał małe namiotki garściami śniegu.

Wstali, kiedy rozwidniło się na tyle, że można było dojrzeć ziemię pod nogami. Właściwie nie ziemię, tylko warstwę mokrego śniegu, z której wystawały kamienie i cherlawe krzaczki.

Śnieg ustał, ale wiatr dął z poprzednią siłą. Oleg patrzył, jak Siergiejew kuli się pod jego wilgotnymi uderzeniami, jak powykrzywiało mu palce, którymi odsuwał z czoła długie, splątane włosy. I wtedy zdjął go lęk. Zaczął się bać, bo w trakcie poprzedniej wyprawy nie on za nią odpowiadał. Dick lepiej polował i orientował się w terenie. Tomasz pamiętał poprzednią drogę, a Marianna umiała leczyć i znała zioła. Oleg miał tylko iść. A jeśli teraz zbłądzili? Jeśli nie odnajdą jaru, w którym płynie lodowaty strumień? Co wtedy? Wracać? To byłoby najgorsze, co mogłoby się zdarzyć. Wszystko, tylko nie to

– Woda ci się zagotowała – powiedział Siergiejew.

Oleg wsypał do puszki suszone grzyby, które szybko napęczniały i wypłynęły na powierzchnię. Wyciągali po kolei z puszki śliskie, parzące kulki, dmuchali na nie i żuli. Olegowi zupełnie nie

chciało się jeść, jedzenie traktował jako obowiązek, który należy spełnić, bo inaczej zabraknie sił.

– Idziemy? – zapytał Siergiejew. Oleg nawet nie zauważył, kiedy jego towarzysz wstał i zaczął zwijać namiot, płachtę z rybiej skóry.

Oleg sprawdził kuszę. Ciężka była mokra i trzeba ją było podciągnąć.

Ruszyli dalej w górę zbocza. Oleg nie poznawał okolicy i pomyślał ze złością, że głupio zrobili nie pozostawiając znaków. Przecież dwukrotnie szli tą drogą!

– Być może mój nastrój – powiedział Siergiejew, kiedy przeszli z kilometr – spowodowany jest dodatkowo tym, że moja obecna wartość na Ziemi równa się zeru. Będę musiał odpoczywać.

– Dlaczego? Przecież jesteś jeszcze zdrowy i silny – powiedział Oleg.

– Nie potrafię już dostosować się do świata, który się zmienił, w którym w najlepszym razie mogę stać się egzotycznym Robinsonem wzbudzającym współczucie. Trzeba będzie zacząć pisać wspomnienia.

– Wspomnienia? O czym?

– O nas... Żartuję. Nie będę pisał wspomnień. Będę niańczył wnuki. Tobie i Mariannie też nie będzie łatwo. Wyobrażasz sobie, ile wiedzą wasi rówieśnicy?

– Będę się uczył.

– Naturalnie. Ale będzie ci trudno.

Siergiejew nie rozumiał, że dla Olega Ziemia była po prostu mitycznym krajem obiecany, w którym wszystko jest możliwe, że rozczarowania przyjdą znacznie później. Teraz najbardziej martwiło go to, że nie rozpoznaje drogi. Dawno już powinien pojawić się strumień płynący w wąwozie, ale okoliczne skały były obce, nieznanome.

Siergiejew wyczuł jego niepokój.

– Co, zabłądziliśmy? – zapytał.

– Wszystko wygląda inaczej niż wtedy – odparł Oleg. – To przez ten śnieg.

– Nie bój się – uspokoił go Siergiejew. – Nie mogliśmy za bardzo zboczyć. Dopóki utrzymujemy ogólny kierunek, dopóki idziemy w górę, to nic złego się jeszcze nie stało.

– Poczekaj! – powiedział Oleg, który usłyszał szmer potoku. Znowu rozpadał się śnieg. Doszli do strumienia po paru minutach i dalej wspinali się wzdłuż niego, chociaż to niczego nie gwarantowało. Poprzednim razem do strumienia dotarli już w wąwozie, a ile tu mogło być strumieni.

Szli niemal bez przerwy do wieczora i już o zmroku weszli do wąwozu. Ale to był zupełnie inny wąwóz, raczej szerokie koryto. Tam też stanęli na nocleg. Obaj wiedzieli, że zabłądzili, ale na powrót było za późno. Oleg podzielił pozostałe grzyby na trzy części. Oszczędzali drewno i jak tylko woda w puszcze się zagrzała, natychmiast zgasili ognisko, a niedopalone patyki zapakowali do torby.

Spali pod urwiskiem. Nocą był mróz i wiatr staczał się doliną jak strumień wiosennej wody.

* * *

Rano Pawłysz wybierał się w góry.

Zgodnie z umową chciał zabrać ze sobą Sally, ale nieoczekiwanie zaproponowała Klaudia pod pozorem, że właśnie nadeszła pora okresowego przeglądu i Sally musi skontrolować aparaturę. To jej obowiązek. Pawłysz zaczął przekonywać Klaudię, że przegląd można przenieść na inny dzień, ale jego zwierzchniczka była nieubłagana. Dałaby sobie głowę uciąć, że powoduje ją jedynie poczucie obowiązku i nic innego. Że w ogóle żadne inne uczucia nie mogą wchodzić w grę.

– No dobrze, szefowo – powiedział wreszcie Pawłysz.

– Jeśli pani nie chce, żeby leciała ze mną Sally, to proszę samej się ze mną wybrać.

Odniósł wrażenie, że Sally, słysząc jego propozycję, ukradkiem się uśmiechnęła, ale nie był tego pewien.

– Pan zwariował! – powiedziała Klaudia i spłoszowała. Pawłysz nawet nie podejrzewał, że ta kobieta potrafi się zaczerwienić. – Sądzi pan, że to właśnie ja jestem największą próżniaczką na naszej stacji?

– Nic złego nie miałem na myśli – uspokoił ją Pawłysz.

– Pomyślałem tylko, że pani prędzej czy później i tak będzie musiała polecieć w góry. To przecież pani żywioł.

– Moim żywiołem jest cała planeta – powiedziała Klaudia. – Góry już zostały zbadane przez szperacze. Utwory geologiczne znajdujące się na północ od lasów są stosunkowo młode, jeszcze nie zwietrzały. Jeśli nawet jest tam coś niebanalnego, to głęboko pod powierzchnią, a ja nie mam sprzętu do głębokich wierceń...

– Jak pani uważa. Miejsce w łąziku zawsze się znajdzie.

– Dziękuję za zaproszenie. Może innym razem...

Sally przygotowała Pawłyszowi kilka kanapek i termos z kawą.

– Nie martw się – powiedziała, kiedy Klaudia poszła do swojego laboratorium. – Naprawdę mam dziś trochę pracy. Polecimy kiedy indziej.

– Nie sądzę – powiedział Pawłysz. – Jutro wyniknie tyle pilnych spraw, że o żadnym locie nie będzie mowy.

– Coś wymyślimy, a dzisiaj znajdziesz dla mnie szczególnie piękną okolicę. Dobrze?

Wspięła się na palce i cmoknęła go w skroń. Była dość wysoka.

– Już wiem, co zrobię – powiedział Pawłysz. – Już wszystko obmyśliłem.

– Co?

– Przenieś się do laboratorium. Razem z tobą.

– Ze mną?

– Tak. Będziemy mieli własny domek i drzwi, które można za sobą zamknąć. Dlaczego mamy stale udawać, że się nawzajem sobie nie podobamy?

– Ty nie potrafisz niczego udawać.

– No właśnie. Klaudia i tak już jest wściekła.

– Dziwisz się? To przecież oburzające pogwałcenie utartych norm! Klaudia doskonale wie, skąd się biorą dzieci, w końcu była mężatką, ale ty zajmujesz w naszej grupie miejsce Srebriny Talewej. Nasze stosunki są niewłaściwe i nieoczekiwane, szefowa nie może się do nich przystosować, a każdego człowieka niewymownie irytuje coś, co go uwiera. Nas na przykład irytuje ta planeta.

– Nie filozofujmy, tylko postawmy ją przed faktem dokonanym – powiedział Pawłysz.

– Nic z tego nie wyjdzie, bo laboratorium jest nie dość sterylne. Klaudia prędzej umrze niż pozwoli komukolwiek tam zamieszkać.

Nie zdołali dokończyć tej rozmowy, bo wróciła Klaudia z jakąś żółtą kartką.

– Dwa dni temu – powiedziała – jeden z moich szperaczy zarejestrował metaliczną anomalię w tym oto kwadracie. Jego raport był na tyle niejasny, że nie mogłam się zorientować, o jaką rudę tam chodzi. Jeśli jest panu wszystko jedno, dokąd lecieć, proszę łaskawie zajrzeć do tej doliny. Tym bardziej, że anomalia jest powierzchniowa, co jest jeszcze dziwniejsze.

– Zrobię to z największą przyjemnością – zapewnił ją Pawłysz.

Wystartował i zrobił koło nad stacją. Pogoda była ładna, widoczność dobra, więc wyraźnie zobaczył znikające w chmurach pnie gigantycznych drzew. Po jeziorze przetaczały się łagodne fale. Na Ziemi Pawłysz dawno by już wypłynął nadmuchiwaną łódką na jezioro, żeby trochę powędkować lub ponurkować dla przyjemności. Trzeba będzie wybrać się na wycieczkę po dnie jeziora. Gdzieś w przyszłym tygodniu.

Następnie Pawłysz zwiększył pułap lotu i przebił chmury.

Z chmur wyleciało stado ptaków, jakich jeszcze nie widział. To były dziwne stwory, przypuszczalnie gady i Pawłysz pomyślał, że będzie musiał złowić jeden egzemplarz do zbadania. Spróbował to zrobić od razu, ale „ptaki”, które jeszcze przed momentem zdawały się nie zwracać na jego łażnik najmniejszej uwagi, nieoczekiwanie rozprysnęły się na boki i zniknęły.

Szczyty gór, jeszcze odległe, przebijały się przez chmury. Bliższe były czarne i nagie, dalej pokryte śniegiem – masywne, spokojne i znajome, bo góry na każdej planecie są takie same.

Łażnik wolno płynął nad górami i Pawłysz mógł bez trudu zorientować się w ich budowie. Góry wznosiły się uskokami nad równiną, przechodząc w pierwszy, stosunkowo niewysoki i łagodny grzbiet. Dalej rozciągały się wysokogórskie doliny, w których nawet teraz, w pełni lata, śnieg nie tajał. Za dolinami sterczał rzadki łańcuch pięciotysięczników, a jeszcze dalej, Pawłysz wiedział o tym, chociaż trudno to było zobaczyć, rozpoczynała się domena olbrzymów z największym na planecie szczytem sięgającym jedenastu kilometrów. Szczytem jeszcze nie nazwanym, ale zasługującym na jakieś piękne i dumne miano.

W tamtą stronę na razie nie polecał.

Wylądował na łagodnym zboczu drugiego grzbietu i nieco posiedział, nie otwierając włazu.

Było bardzo cicho, a cisza ta była niczym niezakłócona i uroczysta. Cisza, której nikt nigdy nie zbrukał dźwiękiem głosu. Nasyciwszy się ciszą uruchomił nadajnik i zapytał, co słychać na stacji. Klaudia odpowiedziała, że wszystko w porządku i poprosiła, żeby się nie spóźnił na obiad. Była w nastroju pokojowym. Przypomniała Pawłyszowi, że obiecał zajrzeć do doliny, w której szperacze wykryły anomalie magnetyczną.

– Pamiętam – odparł Pawłysz – ale zrobię to trochę później.

Otworzył właz i wyszedł na zewnątrz. Nie było śladu wiatru. Nogi od razu niemal po kolana zapadły się w śnieg pokryty twardą, lśniąca skorupą, ale w środku okazał się suchy, sypki i zbyt biały jak na tę planetę ponurej szarości.

Potem Pawłysz popelniał wykroczenie przeciwko instrukcji, ale jako biolog był pewien, że tutaj nic mu nie grozi. Zdjął hełm.

Zimne powietrze owionęło twarz i przez sekundę Pawłysz nawet powstrzymywał oddech, żeby nie zmrozić sobie płuc. Kiedy jednak w końcu odetchnął, to wszystkie jego oczekiwania się spełniły – to było krystaliczne, pierwotnie czyste, wspaniałe powietrze.

Trzymając hełm w ręku poszedł przed siebie, zapadając się po kolana w śniegu. Nie spieszył się i słyszał tylko jedno – skrzywienie zmrożonego śniegu. Oddychał z pewnym trudem, bo odwykł od wysokości, choć był przecież nie wyżej niż cztery kilometry.

W oddali przeleciał biały ptak. Okazało się, że i tam było jakieś życie. Zresztą nie należało się temu dziwić, skoro było względnie gęste powietrze.

Zmarzły mu uszy i pożałował, że nie wziął ciepłej czapki, a przecież zawsze na wszelki wypadek

woził ze sobą starą szydełkową czapkę z pomponem.

Westchnąwszy z żalem założył hełm i uruchomił ogrzewanie.

Nie chciało mu się odchodzić z tego miejsca. Stał więc, powoli obracając głowę i przyglądając się kolejno majestatycznym szczytom, tak do siebie podobnym i tak zarazem różnym, tworzącym szczególną, uroczystą i niepowtarzalną architekturę gór. Jaskrawe białe słońce płonęło na granatowym, o wiele ciemniejszym niż na Ziemi niebie, nie tłumiąc blasku rozrzuconych po firmamencie gwiazd.

Pawłysz wrócił do łazika, uniósł go w powietrze i ruszył ku odległemu, potężnemu grzbietowi. Poczul się zmęczony i głodny. Zjadł kanapkę, napił się kawy, porozmawiał z bazą i znów usłyszał od Klaudii, że obiecał zajrzeć do doliny z anomalią. Dlatego przed powrotem do stacji wziął kurs w tamtym kierunku. Po drodze spokojnie popijał kawę uszczęśliwiony jak każdy człowiek, którego najśmielsze marzenia się spełniły.

Łazik opadł na zbocze doliny przypominającej ogromny krater księżycowy.

– No i gdzie mamy tę naszą anomalię? – powiedział Pawłysz na głos i wyjrzał przez iluminator. Z tej strony nie było niczego poza łagodnym stokiem.

Popatrzył w drugą stronę, w dół. Potem powiedział:

– Tak. Właśnie tak.

Ujrzał rzecz nieprawdopodobną, widok, który może się jedynie przyśnić.

W dole, na arenie ogromnego skalnego cyrku leżał maleńki z tej odległości statek kosmiczny.

W pierwszej chwili Pawłyszowi wydało się, że statek jest absolutnie cały i nawet przelotnie pomyślał, że to musiała przylecieć inna wyprawa... Ale zaraz potem zrozumiał, że statek jest martwy.

Dysk stał pochylony, dotykając krawędzią śnieżnego pola, a lodowa czapa pokrywała jego szczyt.

Pawłysz gwałtownie wystartował i rzucił łazik w kierunku statku. Wyskoczywszy z pojazdu przypomniał sobie, że nie zawiadomił o odkryciu stacji, czym raz jeszcze w sposób niewybaczalny pogwałcił instrukcję, ale natychmiast wyrzucił tę myśl z głowy.

Na boku statku połyskiwał napis „POLUS”.

* * *

Statek nie chciał go wpuścić do środka.

Właz pasażerski był uchylony, ale nie sposób było do niego dotrzeć, gdyż znajdował się na wysokości co najmniej trzech metrów. Trapu nie zdołano opuścić albo po prostu nie miał kto tego zrobić. Luk ładunkowy zaklinował się przy upadku. Pawłysz obszedł statek dokoła i zrozumiał, że znalazł się w sytuacji kota, któremu postawiono przed nosem śmietanę w dzbanku z wąską szyjką. Brnąc w kopnym śniegu złapał się nagle na myśli, że w gruncie rzeczy nie chce dostać się do środka „Polusa”, gdyż lęka się widoku nagłej, dawno zamarznętej na kość śmierci.

Jednocześnie w głębi duszy liczył... Na co? Uświadomił to sobie: miał nadzieję, że pozostał przy życiu ktoś, kto zdołał uruchomić kuter planetarny i wystartować w kosmos.

Bezsens tej myśli był tak oczywisty, że Pawłysz aż się skrzywił. Wiedział przecież doskonale, co to za statek, wiedział, jak dawno zaginął bez wieści. Ostatnią łączność „Polus” miał z bazą Floty przed wejściem w skok w zupełnie innym sektorze przestrzeni. Coś mu się przydarzyło w trakcie skoku. Statek nie wyszedł z niego i przepadł jak kamień w wodę, co zdarza się skrajnie rzadko, raz na kilkadziesiąt lat.

A teraz okazało się, że wyszedł ze skoku tylko po to, żeby bezsilnie runąć na skały w tych

zimnych górach. I naturalnie nikt się z niego nie uratował. Bo gdyby ktoś przeżył, to uruchomiłby kuter ratunkowy i dotarł nim do zamieszkałej planety...

Pawłysz wrócił do łazika przypomniawszy sobie nagle, że Klaudia już pewnie odchodzi od zmysłów.

Nawet jeśli tak było, to w każdym razie nie dała tego po sobie poznać.

– Coś się stało? – zapytała lodowatym tonem, gdy tylko Pawłysz się odezwał.

– Jak by ci tu powiedzieć... – Pawłysz zapomniał, że nie jest z szefową na ty.

Klaudia milczała. Słyszalność była doskonała, więc Pawłysz rozróżniał nawet jej przyspieszony oddech.

– Znalazłem „Polusa” – powiedział wreszcie.

– Jaki polus? O czym pan mówi?

– Szukałem twojej anomalii. To nie jest anomalia magnetyczna, to jest statek kosmiczny „Polus”.

Może słyszałaś, że zaginał jakieś dwadzieścia lat temu?

– Oj! – rozległ się głos Sally. Widocznie stała obok Klaudii. Może też martwiła się długim milczeniem Pawłysza.

– A ludzie?

– Statek jest martwy. Rozbił się – powiedział Pawłysz.

– Zaraz spróbuję dostać się do środka.

– Poczekaj! – powiedziała Klaudia. – Nie znamy powodu katastrofy.

– „Polus” się rozbił – powtórzył Pawłysz. – Minęło dwadzieścia lat.

– W takim razie tym bardziej nie ma się co spieszyć – upierała się Klaudia. – Polecimy tam razem. Instrukcja zabrania...

– Jestem w skafandrze – przerwał jej Pawłysz.

– Sława naturalnie pójdzie – powiedziała Sally – Ja również bym poszła.

– Kategoriecznie się sprzeciwiam! – wykrzyknęła Klaudia.

– Wybacz – odparł Pawłysz i wyłączył nadajnik. To był już prawdziwy bunt na pokładzie.

* * *

Pawłysz otworzył skrzynkę ze sprzętem ekspedycyjnym. W wyposażeniu łazika znajdowały się rzeczy przedziwne – od miotacza antyprotonów do prymitywnych haków, bo w trakcie wypraw zwiadowczych zdarzały się sytuacje, w których odmawiała posłuszeństwa cała technologia epoki kosmicznej, a ratował kawałek banalnej linki.

Pawłysz natychmiast odszukał idealne dla siebie urządzenie – olstra odrzutowe.

* * *

Wnętrze statku zachowało się w stanie wręcz idealnym. Lodowate powietrze zakonserwowało go lepiej niż formalina.

Pawłysz szedł wolno korytarzami statku, zaglądając po drodze do kabin. Jego celem była sterówka, w której powinien zachować się dziennik pokładowy.

Kabiny były puste.

To było bardzo dziwne, bo gdyby nawet większość załogi znajdowała się w przedziale anabiotycznym, to i tak na statku tej klasy wachtę musiało pełnić co najmniej sto osób.

W kabinach wszystko pozostało w takim lub niemal takim stanie, jak w momencie katastrofy –

wyposażenie na miejscu, żadnych zwłok.

Część załogi leciała z rodzinami. W jednej z kabin, Pawłysz zapamiętał jej numer: 44, poruszył go nagle wzruszający, wręcz rozczulający widok, jakby utrwalony na amatorskim zdjęciu. Stała tam kołyska, obok niej niepełna butelka mleka, zabawki w kołysce...

Pawłysz był już pewien, że po awarii statku na jego pokładzie znajdowali się żywi ludzie. Teraz musiał dociec, co się później z nimi stało.

Odszukał sterówkę. Była silnie uszkodzona, a wszystkie urządzenia sterownicze rozbite. Działał tylko wskaźnik automatycznego naprowadzania na Ziemię. Pawłysz wyłączył go, gdyż pulsujące zielone światelko wyglądało w tym martwym chaosie złowieszczo.

W kabinie głównego mechanika oraz w innych pomieszczeniach służbowych również nie było nikogo. Nie było także dziennika pokładowego. Pawłysz nie odnalazł ludzi nawet w przedziale silnikowym, który ucierpiał najbardziej. Wreszcie dotarł do sekcji hibernatorów. Była szczelnie zamknięta. Pawłysz spodziewał się tego, więc zabrał ze sobą palnik.

Zamek drzwi wejściowych poddał się dość łatwo. W hibernatorni było ciemno, gdyż jej ściany w przeciwieństwie do innych pomieszczeń nie były pokryte warstwą luminoforu. Pawłysz włączył lampę na kasku.

I wówczas wszystko zrozumiał.

Ludzie leżący w hibernatorach zginęli wraz ze statkiem.

Najprawdopodobniej w momencie awarii całkowicie wysiadło zasilanie i pozostali przy życiu nie mogli uruchomić systemu reanimacji. Chociaż najwyraźniej próbowali. Niektóre z wanien anabiotycznych miały uchylone pokrywy.

A potem roztwory w wannach zamarły i ci, którzy w momencie katastrofy „Polusa” spali, zostali następnie zakuci w przezroczyste bryły lodu.

W przejściach między wannami Pawłysz znalazł tych, którzy zginęli w innych miejscach. Ktoś znalazł dość sił, żeby ich przenieść do hibernatorni.

Pawłysz wyszedł z przedziału anabiotycznego już po paru minutach. Można być zimnym, trzeźwym racjonalistą, człowiekiem oschłym i odważnym, a jednocześnie bać się, że gdzieś za plecami rozlegną się nagle wolne kroki lub że złośliwie wyszczerzy do niego zęby człowiek zmarły przed dwudziestu laty.

Cofał się ku wyjściu, nie mając odwagi odwrócić się plecami do cmentarza „Polusa”, a kiedy zamknął za sobą drzwi, oparł się ciężko o ścianę korytarza i postał tak kilka minut, póki nie przeszła mu słabość w nogach.

Następnie ruszył ku wyjściu, które okazało się być bardzo daleko. Szedł szybko i zatrzymał się tylko raz, zajrzawszy przez otwarte drzwi do jakiegoś pomieszczenia magazynowego, bo zdumiał go panujący tam bałagan. Wyglądało to tak, jakby jakieś dzikusy lub zwierzęta dobrały się do skrzynek i worków, rozpruwając je i rozrzucając po podłodze puszki i kartony, jakby rozgryzione lub rozbite kamieniami. Tego nie mogli zrobić mieszkańcy statku nawet w największej potrzebie, chociażby dlatego, że wiedzieli, jak się otwiera puszki... To znaczy, że na statku musiał ktoś być już po tym, jak ostatni ludzie porzucili go lub zginęli. To było niewytłumaczalne, gdyż w przeciwnym razie należałoby założyć istnienie na planecie wysoko zorganizowanych zwierząt lub nawet pierwotnych ludzi. A Pawłysz jako biolog był stuprocentowo pewien, że wyższych zwierząt na planecie nie ma. I dopiero gdy odszedł kilkadziesiąt metrów od zrujnowanego magazynu, przyszła mu do głowy prosta i przekonująca myśl. Przedtem podświadomie jej unikał, ale teraz był pewien, że na zamarzającym

statku ludzie umierali stopniowo, jeden po drugim, zaś ostatni oszaleli z przerażenia. I umierający szalenie w poszukiwaniu ratunku przypełził do tego magazynu.

Jak najszybciej na otwartą przestrzeń! Jak najszybciej wyrwać się z ponurego grobowca pełnego lodowatych cieni dawnej tragedii, wyrwać się na powietrze i słońce...

* * *

Tak się przez noc zmordowali i zmokli, że przed świtem, kiedy fale się uspokoiły i wysepkę przestało zalewać, padli i zasnęli jak zabici.

Dick i Kazik objęli Mariannę i przytulili się do niej z obu stron. Wydawało się im, że tak będzie jej cieplej i nawet we śnie starali się nie poruszać, żeby nie sprawiać dziewczynie bólu, r. Marianna, która nijak nie mogła się zagrzać i ciągle się budziła, też ze wszystkich sił powstrzymywała dreszcze. Oleg ciągle nie przychodził i choć go stale wołała, oddalał się, nikał. Biegła za nim, chora noga odmawiała jej posłuszeństwa i nie mogła go dopędzić... Ziemia chwiała się, z góry na głowę zwała się coś ciężkiego...

Ocknęła się. Błona zakryła jej twarz i przeszkadzała oddychać. Marianna odsunęła ją. Dick i Kazik leżeli po obu jej stronach i na ten widok przypomniawszy sobie, jak w zeszłym roku leżeli na śniegu i zamarzali, a chłopcy też kładli ją w środku, żeby się zagrzała. Wówczas nie wiedziała, że znów przyjdzie jej zamarzać tak daleko od domu, chociaż o dwa kroki od Ziemi.

Wysepka kołysała się, chociaż nie powinna tego robić.

– Dick, płyniemy? – zapytała.

– Co? – mruknął przez sen, ale za parę sekund obudził się, odrzucił błonę i powiedział: – Tego tylko brakowało!

Kazik poruszył się, jęknął, ale w żaden sposób nie mógł się ocknąć.

Ciekawe co by teraz powiedziały na jego widok kobiety z osady, które zawsze użalały się nad jego chudością...

Marianna spróbowała usiąść. Łokcie zapadały się jej w podściółkę, a noga prawie dziś nie bolała.

Wokół była tylko woda i nic więcej. W czasie snu zniosło ich z łachy.

Dick wstał, zapadł się po kolana w wodzie, wgramolił się na tratwę i zaczął się rozglądać. Kazik też się wreszcie obudził.

– Poszczyło się nam – powiedział Dick. – Mogło być znacznie gorzej.

Kiedy spali zmordowani nocnymi przejściami, prąd ściągnął tratwę z łachy, ale łagodny wiatr wiał w stronę brzegu i dlatego znaleźli się bliżej zamierzonego celu.

Teraz wspierani sprzyjającym wiatrem zaczęli wiosłować ku brzegowi jeziora, kierując się za ujście rzeki. Wiosłowali dłońmi. Nawet Marianna podpełzła do krawędzi i też im pomagała.

Kazik ściągnął z siebie podarte spodnie i kurtkę, z której zostały same strzepy i wskoczył do wody. Płynął za tratwą i popychał ją przed sobą. A potem, kiedy brzeg był już całkiem blisko i wszystkich ogarnęła niecierpliwość, skoczył za nim również Dick, nie czując wcale, jak zimna jest woda.

Popychali, tracąc oddech, tę przeklętą, nieruchawą tratwę, która opierała się im jak żywa, gdy nagle Dick dotknął nogą dna. Silnie popchnął tratwę. Kazik stracił równowagę i omal nie zadławił się wodą, bo tam było jeszcze dla niego za głęboko. Dick wyciągnął go na powierzchnię, a potem ruszyli ku brzegowi za płynącą tratwą. Szli bez pośpiechu i po paru minutach wynieśli Mariannę na

niski, łagodnie opadający brzeg i ułożyli ją pod niewielkimi sosnami.

Wśród drzew pachniało grzybami, po mchu biegały owady, a rosące niedaleko krzewy poruszały z szelestem gałęziami, obwąchując nieznanomych.

Do celu pozostało już bardzo niewiele.

* * *

W drodze powrotnej Pawłysz musiał odpowiadać na niezliczone pytania Klaudii i Sally. Nie dziwił się im. Żadna wyprawa nie odnajdowała dotąd na dzikiej planecie zaginionego statku kosmicznego, i to takiego, którego zagładę wszyscy jeszcze pamiętali.

– On nie powinien się znaleźć w tym sektorze – mówiła Klaudia takim tonem, jakby Pawłysz umyślnie sprowadził tutaj „Polusa”.

– Jeśli awaria nastąpiła w trakcie skoku – zwrócił jej uwagę Pawłysz – statek mógł znaleźć się wszędzie.

– Tak, ale komisja uznała, że oni zostali w nadprzestrzeni!

– Jesteś pewien, że nikt nie przeżył? – zapytała Sally. – Niczego nie jestem pewien, ale sądzę, iż niektórzy nie umarli od razu.

– Gdyby nawet ktoś ocalał, to potem nie wyżyłby tu nawet dnia – powiedziała Klaudia.

– Kiedy to było? – zapytała Sally.

– Nie odnalazłem dziennika pokładowego. Ale nawet latem panuje tam mróz. Nocą temperatura spada do minus czterdziestu stopni. W innych porach roku jest znacznie gorzej.

– Oni nie mieli dokąd pójść – powiedziała Klaudia.

– Musimy zbadać okoliczne góry – powiedział Pawłysz.

– Tam było bardzo wielu ludzi – powiedziała Klaudia.

– I dzieci – dodała Sally. – Na pokładzie poza załogą byli koloniści.

Kobiety przygotowały gorącą kolację, ale zupełnie nie chciało się jeść. Natychmiast po powrocie do kopuły zaczął odtwarzać nakręcone filmy.

Statek w śnieżnym cyrku.

Statek w zbliżeniu. Matowa, wyżarta przez wiatry i śnieg powierzchnia pancerza. Korytarz statku. Jaskrawy krążek światła rzucanego przez reflektor na kasku Pawłysza. Sterówka, odłamki urządzeń... Ślady wybuchu w przedziale silnikowym... Zimna pustka śmierci.

Siedzieli w malutkim, ciepłym i przytulnym saloniku stacji, pili kawę i każde z nich wyobrażało sobie martwy ziąb Kosmosu, którego przedłużeniem były dzikie góry, miejsce zagłady „Polusa”.

– Obejrzymy resztę taśm? – zapytał Pawłysz.

– Nie trzeba – odparła Klaudia. – Jutro. Trzeba najpierw wyjaśnić, co należy w tej sytuacji zrobić.

– A co należy? – Pawłysz zdał sobie sprawę z tego, że nigdy nie zetknął się z podobną sytuacją. A przecież są reguły postępowania na każdą okazję – na wyjście w otwartą przestrzeń i na spotkanie z tubylcami... Instrukcja przewiduje wszystko.

– Co możemy wykorzystać? – zapytała Klaudia.

– Jak wykorzystać? – nie zrozumiała Sally.

– Kutry planetarne są całe?

– Nie, ładownia jest uszkodzona, ponieważ znalazła się w strefie wybuchu – odparł Pawłysz.

Klaudia włączyła bazę danych. Na ekranie ukazały się wielkie, wyraźne litery układające się

w jednoznaczny, kategoriyczny tekst. Klaudia powtarzała go na głos:

– „Przed ewakuowaniem się z badanej planety członkowie wyprawy winni upewnić się, że nie pozostawiają na niej żadnego przedmiotu pochodzenia ziemskiego z wyjątkiem przyrządów przewidzianych do usunięcia w późniejszym terminie...”

– To niezupełnie to, o co nam w danym wypadku chodzi – powiedział Pawłysz. – Instrukcja ma raczej na myśli moją szczoteczkę do zębów.

– Nie rozumiem?

– Od trzech dni nie mogę jej znaleźć – odparł Pawłysz. – Pewnie wpadła do jakiejś dziury i po milionach lat, kiedy powstanie tu cywilizacja, tubylcy odkopią moją szczoteczkę do zębów i dowiedzą się niepotrzebnie, że ich planetę odwiedzali kiedyś Przybysze.

– To nie pora na żarty – powiedziała zimno Klaudia, pochylając się nad spisem treści instrukcji. – Tu coś jeszcze powinno być. Doskonale pamiętam.. No jasne.

Znowu zapłonął ekran:

„W razie odkrycia na badanej planecie przedmiotów pochodzenia ziemskiego, które trafiły tam w wypadku niedbałości poprzedniej wyprawy lub w rezultacie nieszczęśliwego wypadku, wyprawa winna zabrać je ze sobą, a w razie niemożności wykonania tego – zniszczyć”.

– Przecież mówiłam! – powiedziała Klaudia. Była szczęśliwa, że pamięć służbistki jej nie zawiodła.

– Ale jakże to – zaproponowała Sally. – Przecież tam są ludzie!

– Oni zginęli dwadzieścia lat temu.

– Nie musimy się z tym spieszyć – powiedział Pawłysz. – Jeszcze nie odlatujemy.

– Musimy się spieszyć! – ucięła Klaudia. Znowu zaczęła studiować spis treści.

Pawłysz nie zorientował się, że Klaudia toczy teraz z nim wojnę. Zapomniał o swoim buncie, o tym, że wszedł na pokład „Polusa” wbrew jej wyraźnemu zakazowi i teraz Klaudia musi odbudować swoją pozycję zwierzchnika.

– To było gdzieś w aneksach – powiedziała półgłosem Klaudia.

– Nie rozumiem, co się może stać! – wykrzyknęła Sally.

– Może nie wyrażę tego wystarczająco precyzyjnie – odparła Klaudia – ale powinniście zrozumieć. Statek, który uległ awarii, jest źródłem ziemskich mikroorganizmów. Z naszej winy może dojść do katastrofy ekologicznej.

– Mikroorganizmy wymarły – powiedział Pawłysz.

– Możesz to jako biolog zagwarantować?

– Nie, nie mogę – przyznał Pawłysz.

Rozumiał, co Klaudia chciała powiedzieć. Wszedł na pokład statku i jeśli jakaś obca czy wroga temu światu bakteria lub wirus jeszcze tam pozostała, dał im szansę do wyrwania się na zewnątrz. A teraz nie jest zbyt zimno, nawet wysoko w górach. Nie wiadomo, czy do tego dojdzie. Prawdopodobnie nie, ale instrukcje pisali bardzo mądrzy i przewidujący ludzie.

– Przecież tak nie można! – wykrzyknęła Sally. – Nie można niszczyć grobowca... – Zaczerwieniła się.

– Ludzie wyszli w kosmos nie po to, aby pozostawiać pomniki zdolne zniweczyć obce życie – powiedziała pouczającym tonem Klaudia. – Nie jesteśmy źródłem zarazy. Sensem prawdziwej cywilizacji jest humanizm.

Górnolotne słowa sprawiły, że w oczach Klaudii zapłonął święty ogień misjonarza idącego na

stos.

Sally wstała i poszła do kuchni nastawić herbatę. Zatrzymała się w drzwiach i powiedziała:

– Zawsze jesteś tak przekonana o swojej racji, że aż zazdrość bierze...

Klaudia nie odpowiedziała.

* * *

Kiedy trochę odpoczęli, Kazik zaczął zbierać się w drogę.

– Poczekaj trochę, ogrzej się, obeschnij – powiedziała do niego Marianna.

– Obeschnę po drodze. Lubię szybko chodzić – uspokoił ją Kazik.

Dick oddał mu swój nóż, bo ostrze Kazika do niczego się już nie nadawało. Chciał mu również dać blaster, ale Kazik go nie wziął. Nie dowierzał blasterowi. Powiedział:

– Tobie jest bardziej potrzebny. Ja będę szedł, a ty musisz czekać.

Szedł do zapadnięcia nocy. Po drodze natknął się na rzeczkę, wąską, ale bardzo bystrą, ruszył więc w górę jej biegu w poszukiwaniu przeprawy, lecz utknął w bagnie. I już w ciemności wrócił na brzeg jeziora. Zobaczył ognisko rozpalone przez Dicka.

– To ja! – krzyknął z daleka.

– Nie znalazłeś? – zapytał rozczarowany Dick.

– Jutro znajdę. Teraz już wiem, gdzie szukać – uspokoił go Kazik.

Marianna leżała z otwartymi oczami i milczała. Bolała ją już nie tylko noga, ale całe ciało.

* * *

Wstali, kiedy poranna mgła zaczęła się rozpraszać, spływać do jeziora i ukrywać się w lesie. Wśród strzępów mgły ginał dymek ogniska, na którym Dick gotował wodę. Pawłysz odlatujący z Sally na „Polusa” nie zauważył dymu, a gdyby nawet zauważył, to wziąłby go właśnie za mgłę, ale Kazik popatrzył w niebo akurat w tym momencie, kiedy kuter przemknął nad szczytami drzew.

– To oni! – krzyknął. – Odlatują!

– Widziałeś? – zapytała Marianna.

– Tak. Malutki statek.

– Pewnie polecieci na zwiad – powiedział Dick.

– Dobrze byłoby, żeby nie wszyscy polecieci – westchnął Kazik. – Jak uważasz, dużo ich jest?

– Nie wszystko ci jedno?

– Jak dużo, to mają drugi statek, żeby zabrać Mariannę – powiedział Kazik. – Pójdę już, co?

Nie potrafił ustać w miejscu. Spotkanie z Ziemią było już tak bliskie!

– Poczekaj, napij się herbaty – powiedział Dick. Mógłby zostawić Kazika przy Mariannie i samemu ruszyć na stację, ale dał spokój. W lesie jest wszędzie jednakowo niebezpiecznie. Idący człowiek nie naraża się w większym stopniu niż ten, który ochrania bezradną dziewczynę. Rozumiał przy tym, jakim szczęściem dla Kazika będzie zobaczenie prawdziwych Ziemi. A sam zbytnio się do tego nie rwał. Bał się tylko o Mariannę, która dzisiaj czuła się bardzo kiepsko. Zmusił Kazika do napicia się gorącej wody i dopiero wtedy powiedział:

– No, leć.

Wiedział, że na całej planecie nikt tak szybko nie chodzi po lesie, jak Mowgli.

* * *

Klaudia tej nocy bardzo źle spała.

Wieczorem znowu wybuchnęła kłótnia z Pawłyszem. Klaudia nalegała, żeby jutro z samego rana przystąpić do likwidacji statku. Słowo „likwidacja”, którego używała w odniesieniu do „Polusa”, sprowadzało całą sprawę do pewnej abstrakcji, pomagało jej nie widzieć tego, co widział na statku Pawłysz. Istniał przedmiot stanowiący potencjalne zagrożenie dla planety. Istniała instrukcja nakazująca likwidację owego przedmiotu. Statek o nazwie „Polus” nie istniał już od dawna, więc rozumny akt likwidacji, który narzucała Pawłyszowi, był dla niej logicznym zakończeniem wydarzenia, które miało miejsce dwadzieścia lat temu.

Sama otworzyła pojemnik z imploziwum, materiałem wybuchowym niedającym fali uderzeniowej i niezakłócającym środowiska naturalnego, sama przyciągnęła ciężki ładunek do masy i bezapelacyjnym tonem rozkazała Pawłyszowi, aby w myśl instrukcji zlikwidował następnego dnia statek kosmiczny „Polus”, wykonawszy uprzednio hologram jego pomieszczeń wewnętrznych, jako załącznik do raportu przeznaczonego dla Komisji Gwiezdnej. W razie potrzeby – tu ustąpiła naleganiom Sally – Pawłysz może zabrać ze statku wszystkie przedmioty i materiały mogące przedstawiać wartość naukową bądź pamiątkową dla krewnych ofiar katastrofy.

Następnie stawiała czoło gwałtownemu, nieumotywowanemu i zbyt emocjonalnemu atakowi Pawłysza, który kategorycznie odmówił wykonania jej polecenia.

– Znajdujemy się – powiedziała spokojnie i miarowo – w dalekim zwiadzie. Kiedy godził się pan na udział w tej wyprawie, doskonale pan wiedział, że w nadzwyczajnych okolicznościach ostateczna decyzja należy do jej kierownika. W razie niesubordynacji członek wyprawy, który się jej dopuścił, zostaje na zawsze, powtarzam, na zawsze odsunięty od pracy w kosmosie. Może pan dyskutować z moją decyzją, uważać ją za nierozumną, ale odpowiadam za nią wyłącznie ja, pan natomiast ma obowiązek się jej podporządkować. Od tej reguły nie ma wyjątków i niejednokrotnie uratowała zagrożone wyprawy.

– Klaudio – powiedziała Sally. – Naszej wyprawie nic nie zagraża. Możemy odłożyć tę decyzję do chwili odlotu. Mamy jeszcze czas.

– Nie możemy jej odłożyć, bo z każdą sekundą zwiększa się niebezpieczeństwo zarażenia całej planety.

Pawłysz milczał.

Logika i żelazna pewność siebie Klaudii miały pewne właściwości hipnotyczne. Prawdopodobnie dyskutowałby nadal, wynajdywałby coraz to nowe argumenty, gdyby nie był wychowany w Dalekiej Flocie, gdzie autorytet kapitana i kierownika wyprawy jest sprawą świętą.

Ten autorytet uosabiała teraz Klaudia Sung, drobna uparta kobieta, przekonana o swojej słuszności tak samo, jak o swojej przekonany był Pawłysz. Ale to ona była zwierzchniczką.

– Lepiej by było, gdybym go w ogóle nie znalazł! – takie były ostatnie słowa Pawłysza, który nagle zrozumiał, że jest śmiertelnie zmęczony i że nie ma ochoty nikogo oglądać. Ani nieugiętej Klaudii, ani dobrej Sally. Stały mu się obce, bowiem, podporządkowując się prawu, czuł się nie w porządku wobec sil wyższych niż prawo.

Klaudia nie spała przez całą noc, gdyż bała się zasnąć. Nie była na statku, ale widziała filmy przywiezione przez Pawłysza, a miała dość wyobraźni, aby wiedzieć, jak poczułaby się na martwym statku.

Gdy tylko zaczynała drzemać, martwy statek natychmiast ożywał i ludzie, których skazywała na ponowną śmierć, zbiegali się ku niej i usiłowali coś powiedzieć. Trzeba było z nimi dyskutować,

przekonywać ich, że robi tylko to, co nakazuje jej obowiązek, ale martwi nie rozumieli i zaczęli grozić... Klaudia budziła się przerażona i starała się ponownie zasnąć. Wydawało się jej, że czuwa i dopiero nowe przyjscie tamtych ludzi przekonywało ją, iż znowu zasnęła...

Nad ranem ta nieustanna walka z załogą „Polusa” tak ją zmęczyła, że postanowiła zaniechać prób przekonania ich o swojej racji i zostawić w spokoju. Ta myśl przyniosła jej taką ulgę, że natychmiast głęboko i spokojnie zasnęła. Kiedy się obudziła około dziesiątej rano, stacja była pusta. Pawłysz i Sally, odlatując, zdecydowali się jej nie budzić.

Klaudia wstała z głową pękającą z bólu. Starła się odtworzyć w pamięci nocne koszmary, ale bez skutku. Pamiętała jedynie jakiś bezkształtny, głupi przy tym lęk. Zorientowała się, że nie poleciała Sally lecieć z Pawłyszem, chociaż wyprawa we dwójkę była w tym wypadku słuszniejsza...

Klaudia umyła się lodowatą wodą, pogimnastykowała się, wypila mocną kawę, ale nawet te skuteczne zazwyczaj zabiegi nie poprawiły jej paskudnego nastroju, choć całkowicie odpędziły koszmary. Wyobraziła sobie, jak Pawłysz leci siedząc obok Sally, jak oboje żartują, a może nawet się z niej wyśmiewają... Naturalnie, że się wyśmiewają. Klaudia nie wywołała kutra. Rozkaz został wydany i musi zostać wykonany, gdyż w przeciwnym razie jutro na stacji zapanuje anarchia.

Ostatecznie to tylko epizod, nic więcej, tylko epizod bez większego znaczenia. Dawno rozbity statek, dawno zmarli ludzie... Podbój Kosmosu nie obywa się bez ofiar. I jeśli osłabić dyscyplinę, to ofiary będą trzykrotnie wyższe.

Po tym stwierdzeniu Klaudia spróbowała zająć się pracą.

* * *

Kazik się spieszył. Wiedział już, jak należy iść – bagno trzeba ominąć łukiem przez pasmo niewysokich wzgórz, a potem ostro skręcić w prawo dolinką docierającą do miejsca, gdzie rzeczka przedziera się przez kamienie i robi się płytka.

Zatrzymał się nad rzeczką, odszukał spokojniejszy nurt, gdzie woda była równa jak lustro. Naturalnie nie takie, jakie Marianna zostawiła w osadzie, ale wystarczające, żeby się w nim przejrzeć. Aż się zdziwił, że jego twarz stała się taka wąska i ciemna, iż tylko białka oczu nie wyglądały na brudne. A nad tym wszystkim piętrzyła się szopa sztywnych, zmierzwionych włosów.

Uczesać się nie miał czym, ale mył się co najmniej pięć minut, na przemian splukując się i szorując myłem. Nie chciał stanąć przed Ziemianami jak zupełny dzikus...

Przeszedł rzeczkę w bród. W jednym miejscu woda sięgała po pas i była tak zimna, że dalej ruszył przez las biegiem. Las był niezbyt gęsty, niebieskawe pnie sosen odchyłały się od niego przerażone hałasem, a drapieżne liany ścinał w biegu nożem. Dobry nóż, ostry, może Dick mu go potem da na zawsze... A zresztą co tam nóż! Kiedy wszystko się już skończy, to poprosi Ziemian, żeby mu dali książkę o geografii z kolorowymi obrazkami. Stary mówił, że bywają książki nawet z ruchomymi obrazkami. Co człowiekowi może być jeszcze potrzebne do szczęścia?

* * *

Olegowi było zimno. Śnieg, sypiący gęsto i uparcie, z początku smagał namiot ostrymi grudkami, a potem zasypawszy go po szczyt, jakby zadowolony z tego, że zabił ranę na ciele białej górskiej doliny, przekształcił się w ciepłą koldrę i zaczął grzać.

Oleg był zmęczony, chciało mu się spać, myśli krążyły mu po głowie. Wczoraj szli przez cały dzień, starając się wybierać drogę prowadzącą pod górę. Wiedzieli już od jakiegoś czasu, że

zabłądzili, ale wciąż nie tracili nadziei, że dotrą do przełęczy – nieważne, że w innym miejscu, byle tylko wyrwać się z nieustannej śnieżnej zawiei buszującej w warstwie chmur.

Padli – sił zabrakło im nawet na zagrzanie wody – jeszcze przed zmierzchem. W milczeniu rozścielili namiot, potem zawinęli się weń i pokornie leżeli, czując narastający ciężar śniegu.

Oleg w nocy obudził się, a może mu się tylko tak wydało, że współczucia dla matki. Domyślił się już, właśnie wówczas, we śnie, że nigdy więcej jej nie zobaczy. I ze wszystkich sił zaczął jej współczuć, gdyż teraz matka, nawet jeśli ich znajda i przewiozą na Ziemię, na zawsze pozostanie myślami na tej planecie, bo nic więcej jej w życiu nie zostanie. Zrobiło mu się wstyd, że często jej odburkiwał, nie słuchał się jej i nie chciał wysłuchiwać opowieści o ojcu i o dawnym życiu. Rozpłakał się bezdźwięcznie, żeby nie budzić posapującego słodko Siergiejewa i poprosił matkę o przebaczenie.

* * *

Klaudia usiadła przy biurku, ale robota zupełnie się jej nie kleiła.

Po paru minutach złapała się na tym, że gapi się tępych wzrokiem w okno. Las przez te parę tygodni bardzo się zmienił. Lato kazało rozwinąć się liściom drzew, malutkim zielonym grudkom zwisającym z długich jak włosy gałęzi, mech wypuścił świeże pędy, które podrygiwały, gdy w pobliżu przelatywał jakiś owad, usiłując schwytać zdobycz, porosty wzdęły się i wolno oddychały, a w gęstwinie mrowiło się coraz więcej zwierząt, które albo przyszły z południa, albo obudziły się z zimowego snu. Las wzbudzał w Klaudii obrzydzenie, ale równocześnie ją fascynował, przyciągał. To było dziwne uczucie, które doskwierało jej jak pragnienie. Chciała wejść do tego lasu i przespacerować się po nim w samym tylko skafandrze.

„No nie, tak nie można! – zbeształa się w duchu i zmusiła się do myślenia o pracy. – Tylko tego statku jeszcze brakowało! Grobowca Tutenchamona!”

Klaudia była kobietą subtelną i bardzo wrażliwą, ale starała się te cechy ukryć przed otoczeniem, gdyż w przeciwnym razie nie miałyby czego szukać w Dalekim Zwiadzie. Przez ostatnie lata przywykła tłumić w sobie uczucia, których się wstydziła i podtrzymywanie reputacji zimnej profesjonalistki, która wzbudzała szacunek, ale nader rzadko sympatie, stało się celem jej życia. Zdumiewająca rzecz – wcale nie domyślała się, że Srebrina i Sally pracowały z nią od wielu lat nie dlatego, że Klaudia była metodyczna, pracowita i dokładna. Na odwrót, szły z nią na wyprawy badawcze dlatego, że kochały zupełnie inną Klaudię, którą starannie ukrywała przed sobą. Doskonale widziały, rozumiały i starannie ignorowały surową otoczkę swojej zwierchniczki. Obie opiekowały się nią jak niesympatycznym z pozoru synem, którego koledzy z klasy nie znoszą za nudziarstwo i wieczne prymusostwo, ale wcale nie jest kujonem i w domu, kiedy nikt obcy nie widzi, potrafi całymi godzinami pielęgnować chorego kotka, malować kwiaty lub kleić z zapalek wspaniałe zamki.

Klaudia zakochała się w hałaśliwym i niepoważnym Pawłyszku już na statku, kiedy jeszcze nie było nawet mowy o jego udziale w wyprawie zwiadowczej, a zakochawszy się, zaczęła traktować go jak najgorszego wroga. Tym razem udało się jej oszukać nie tylko siebie, lecz również mądrą i przenikliwą Sally. Kiedy zaś okazało się, że z woli przypadku Pawłysz leci właśnie z nią, ogarnęła ją taka szalona radość, że, nie rozumiejąc jej powodu, zinterpretowała ją jako pełne niepokoju zdenerwowanie, gdyż człowiek o charakterze Pawłysza mógłby stanowić zagrożenie dla wyprawy. Ponieważ jednak Klaudia była kobietą o wysokim poczuciu obowiązku, to natychmiast udowodniła sobie, że zadania wyprawy stanowią wartość najwyższą i dla ich dobra należy ponieść pewne ofiary.

Zacisnąwszy zęby i omdlewając z miłości do Pawłysz, zgodziła się na jego udział w ekspedycji.

Następnie, gdy okazało się, że Pawłysz i Sally czują do siebie naturalny pociąg i ich zbliżenie jest tylko kwestią czasu.

Klaudia znalazła mnóstwo powodów zmuszających ją jako człowieka odpowiedzialnego za wyprawę do przeciwstawiania się owemu zbliżeniu.

Wstała zza biurka. Miotał nią niepokój, nieprzeparła chęć działania. Nie mogła już pracować. Nie potrafiła nawet myśleć o pracy.

Podeszła do kuchenki. Chciała nastawić kawę, nalała wodę, ale kuchenki nie włączyła.

Potem poszła do śluzy i założyła skafander.

„Wyjdę – powtarzała sobie – wyjdę tylko na chwilkę, dojdę do lasu i wrócę. Przecież koniec końców nie muszę siedzieć tygodniami w tym więzieniu!”

Gdyby na stacji był ktoś poza nią, nigdy nie pozwoliłaby sobie opuścić kopuły. Teraz nikogo nie było i nikt nie zobaczy, jak żelazna Klaudia Sung idzie na wagary do lasu. Można sobie nawet wyobrazić, że i ona tego nie widzi, że na zakazaną wycieczkę wybiera się zupełnie inna kobieta, głupia i nieodpowiedzialna.

Ściśle według instrukcji sprawdziła szczelność śluzy i ruszyła w stronę lasu.

Przedtem też oczywiście bywała na zewnątrz, ale to były wyjścia „legalne”, służbowe, i nigdy nie zapuszczała się do lasu. I kiedy Pawłysz półzartem i nader ostrożnie namawiał ją, żeby udała się tam razem z nim, sucho odmawiała, dając do zrozumienia, że nie zamierza tracić czasu na głupstwa.

Przeszła przez polanę i obejrzała się. Kopuły stacji patrzyły za nią, potępiając jej nierozważny postępek.

Wydało się jej, że wiatr poruszający liśćmi muska również jej twarz. Przeciągnęła nawet rękawicą po przyłbicy hełmu, sprawdzając jego hermetyczność. Wszystko było w porządku.

Weszła do lasu bardzo wolno i ostrożnie, patrząc uważnie pod nogi, żeby przypadkiem nie nadepnąć na jakieś paskudztwo, gdyż wcale się z lasem nie pogodziła. Tę wycieczkę traktowała jako egzamin i gdyby zamiast lasu miała przed sobą czynny wulkan, niewykluczone, że w obecnym stanie ducha potrafiłaby zejść do jego krateru.

Ku swojemu zdumieniu stwierdziła, że z każdym krokiem las jej się coraz bardziej podoba, że oczarowuje ją dziwacznością kształtów roślin, ostrością barw, niezwykłą, pierwotną urodą... Co parę kroków zatrzymywała się, a raz nawet pochyliła się, przyglądając się uważnie śmiesznemu pasiastemu żuczкови na długich nóżkach. Żuczek na jej widok stanął na tylnych łapach i podskoczył, ale Klaudia się nie przestraszyła. Pomyślała, że owad podobny jest w tym ruchu do rozbawionego szczeniaka, który chce ją polizać w policzek.

Sympatyczny żuczek chybił i z rozczarowanym buczeniem odleciał.

Na swoje szczęście Klaudia nie wiedziała, że chociaż jad tego zwierzątka nie był śmiertelny, to jednak wywoływał głębokie, jęczące się wrzody i że trzeba go unikać jak morowej zarazy. Zresztą była w skafandrze i nic jej nie groziło.

Klaudia uśmiechnęła się do śmiesznego żuczka, odprowadziła go wzrokiem i już chciała wracać, gdy zobaczyła przed sobą kwiaty. Kwiaty były bardzo rzadkie na planecie, na której panowały rośliny proste, a ponadto zazwyczaj nie były to prawdziwe kwiaty, lecz udające je inne istoty, niekoniecznie rośliny.

Klaudia przystanąła na polance, na której środku widniał krążek szmaragdowej trawy, soczystej i lśniącej, jakby była posmarowana tłuszczem, a na jej skraju, bliżej drzew przytuliły się małe

kuleczki dmuchawców, o wiele jednak mniejszych i delikatniejszych od ziemskich.

Kiedy Klaudia się do nich zbliżyła, zakołysały się pod słabym powiewem wiatru. To były dmuchawce dla Calineczki.

Klaudii okropnie zachciało się na nie dmuchnąć. Dmuchać, żeby rozsypały się w powietrzu drobnymi puszkami.

Tego pod żadnym pozorem nie wolno było robić.

Klaudia nawet rozejrzała się, czy przypadkiem ktoś nie podgląda i nie widzi jej wykroczenia.

Las był cichy i spokojny.

Klaudia odrobinę, na kilka centymetrów, wciąż jeszcze się uśmiechając, uniosła przyłbicę i dmuchnęła.

Puszki wzbiły się białym obłoczkiem w powietrze, zawirowały, rozsypały się na wszystkie strony.

Kilka delikatnych drobin musnęło jej twarz i Klaudia odruchowo zatrzasnęła przyłbicę hełmu.

Muśnięcie, choć delikatne i nieszkodliwe, przstraszyło ją i otrzeźwiło. Szybko się wyprostowała.

Zielone łądźki, na których przed momentem kołysały się kulki dmuchawców, jak żywe skryły się pod ziemię.

„Idiotka” – powiedziała o sobie Klaudia.

W nosie kręciło, bo zdążyła wciągnąć zapach lasu – zgniły, duszący, obcy.

Czar prysł.

Klaudia rozejrzała się. Las otaczał ją ze wszystkich stron. Nieruchomy, czujny, wrogi wszystkiemu, co obce. Nie od razu zorientowała się, w którą stronę ma iść, ale zaraz potem w prześwitach między drzewami spostrzegła lśnienie kopuły – odeszła przeciw od niej zaledwie na pięćdziesiąt metrów.

Dobiegła do stacji, zerwała z siebie skafander, wrzuciła go do komory dezynfekcyjnej i natychmiast wskoczyła pod dezaktywujący prysznic.

Gorąca, pachnąca ziołami woda smagała ją, a ona wciąż od nowa myła i szorowała twarz, coraz mocniej gardząc swoją głupotą. Wciąż jej się zdawało, że delikatnych muśnięć dmuchawca nie da się niczym zmyć.

Nawet najmniejsze dziecko z osady nigdy nie zbliżyłoby się do dmuchawców i gdyby je spostrzegło z daleka, natychmiast opowiedziałoby o tym starszym, bo nie ma nic gorszego niż natknąć się w lesie na gniazdo śnieżnych pcheł. A dorośli od razu zaczęliby pilnie obserwować tego, kto się na nie natknął, bo najpewniej był zarażony i najdalej za godzinę straci przytomność w napadzie szaleństwa... Niemal wszyscy mieszkańcy wsi zostali dotknięci tym nieszczęściem, niektórzy po parę razy. Właśnie dlatego, kiedy w zeszłym roku Olega ukąsiła śnieżna pchła, zginął Tomasz Hindt.

* * *

Kazikowi las się nie podobał. Był ożywiony, pełen ruchu i dźwięków, jak to bywa latem, ale przed nim było znacznie ciszej. Może dlatego, że tam była stacja i ludzie wypłoszyli zwierzęta? Kazik przyjął tę wersję i ruszył dalej.

Musiał przedzierać się przez zator – widocznie niedawno była burza i powaliła drzewa na wzniesieniu. Kazik trzymał nóż w pogotowiu, poruszał się bezdźwięcznie, starając się być niezauważalnym i przemykać jak cień, ale w zawale zwolnił, bo nie dało się tam biec,

a w zmurszałych pniach lubią się kryć rozmaite gady.

Z daleka zauważył zasnutę pajęczyną gniazdo plujaka i obszedł je dużym lukiem. Zaraz potem poczuł stado szakali. To dlatego w lesie było tak cicho.

Szakale też go wyczuły. Pierwszego Kazik dojrzał, kiedy przedzierał się przez grzaskie zapadlisko i musiał iść wolniej. Szakal pojawił się z góry, z prawej strony. Patrzył spokojnie, jakby Kazik zupełnie go nie interesował, a tylko ze zwykłej ciekawości zajrzał do dolinki, żeby sprawdzić, kto tam hałasuje.

Kazik jednak wiedział, że teraz szakal się już nie uspokoi i albo sam zginie, albo zabije Kazika.

Jeśli szakal jest sam, to jeszcze pół biedy.

Drugi szakal czekał na niego na drodze, na ubitej ziemi tuż za dolinką. Przysiadł na tylnych łapach, nastroszył białą sierść, rozdziawił czarną paszczkę. Jakby się uśmiechał.

– Z drogi! – krzyknął Kazik.

Wiedział, że szakali nie da się spłoszyć, ale w ten sposób mniej się bał.

Rzucił się na szakala zagradzającego mu drogę, a zwierz ani drgnął, obojętnie czekając na zwariowaną zdobycz, która sama rzucała mu się w zęby, pchała do gardła. Był wyższy od Kazika, a kiedy stawał na tylnych łapach, przekraczał go wzrostem dwukrotnie.

W ostatniej chwili, przed samym pyskiem szakala, Kazik uskoczył w bok i zdołał przelecieć o parę centymetrów od wyszczerzonych zębów.

Przeskoczył przez żywy korzeń i pognął dalej. Szakal biegł za nim i to biegł znacznie szybciej. I jak na złość dookoła rosły tylko sosny o miękkich, prostych pniach, więc nie było się gdzie ukryć. Zresztą, przed szakalem nie da się ukryć na drzewie, bo potrafi czekać na zdobycz nawet dobę.

Kazik, nie zwalniając biegu, obejrzał się przez ramię. Szakale były już trzy. Zaczął skręcać w prawo ku brzegowi jeziora w nadziei, że uda mu się przeczekać w wodzie. Nie wiedział, czy szakale potrafią pływać, ale miał nadzieję, że nie. Przecież do stacji było jeszcze blisko dwa kilometry, a na tej trasie drapieżniki z pewnością go dopędzą.

Rzucił się w gąszcz krzewów, nie myśląc nawet o grożącym tam niebezpieczeństwie, ale i to nie pomogło, bo dla szakali krzaki nie stanowiły żadnej przeszkody.

W przodzie wznosiło się strome wzgórze. Kazik ostatkiem sił rzucił się ku niemu i wdrapał po kamieniach na górę. Cała trójka szakali otoczyła jego kryjówkę.

Dyszał jak zgoniony koń, bo przez ostatnie dni bardzo osłabł. Może gdyby to się zdarzyło w pobliżu osady, to jeszcze zdołałby uciec, ale teraz z pewnością nie da rady...

Pierwszy z szakali zaczął się wspinać na górę, odrzucając pazurami drobniejsze kamienie. Łazł wolno i spokojnie. Szakale wszystko robią wolno i spokojnie.

Kiedy jego pysk dotykał już prawie nóg Kazika, chłopak pchnął go nożem w gardło. Ręka mu drgnęła i nóż natknął się na kość. Szakal odskoczył, jakby nie spodziewał się ciosu, ale nie zrezygnował i znów ruszył do góry. Kazik zadał jeszcze jeden cios, tym razem celny, zeskoczył ze wzgórzka i zaczął uciekać, bo pozostałe szakale też się zaczęły wspinać.

Teraz miał tylko dwóch wrogów, a sam nie został nawet draśnięty. Biegł z całych sił, ale szakale znów go dopadły koło wielkiego i miękkiego błękitnego drzewa. Kazik uskoczył za pień, ale poślizgnął się, bo szarpnęła go za rękę jadowita, drapieżna liana. W tym samym momencie zęby szakala boleśnie rozszarpały mu skórę na ramieniu.

Kazik odwrócił się i zaczął dźgać szakala nożem, chowając się za pień, który wyginał się, starając się zejść walczącym z drogi i szakalowi udało się jeszcze raz go ukąsić. Kazik zrozumiał,

choć z bólu pociemniało mu przed oczami, że nie da rady, że trzeba ratować się ucieczką.

Pobiegł więc, przemykając między ciasno rosnącymi drzewami.

I nagle wypadł na polanę.

Na polanie spokojnie i dumnie stały prawdziwe ziemskie kopuły – lśniące, srebrzyste i niepokonane.

* * *

Od nieudanej wyprawy do lasu minęła już prawie godzina, a Klaudia wciąż nie mogła się uspokoić. Nie wiedząc czemu, zaczęła przecierać ściereczką aparaty, potem włączyła pralkę i włożyła do niej bieliznę pościelową. Nie chciała, żeby Pawłysz i Sally wracali, jakby jeszcze nie była gotowa na spotkanie z nimi. Potem wmówiła sobie, że jest głodna, otworzyła pojemnik z samopodgrzewającym się posiłkiem, ale nie zjadła go, tylko wrzuciła do spalarki. Starła się nie patrzeć w okna, ale same jak na złość lały jej w oczy na każdym kroku i las, wrogi i podstępny, podglądał każdy jej ruch.

Dostała dreszczy. Klaudia nie wiedziała, że jest to pierwsza reakcja na ukąszenie śnieżnej pchły, ale czuła instynktownie, że dzieje się z nią coś złego i że jest to związane z jej wyjściem do lasu.

Zbierało się na deszcz, ściemniło się, gęste chmury zawisły nad stacją. Porażona chorobą wyobraźnia podszeptowała jej, że drzewa ruszają się i podchodzą coraz bliżej domu, żeby wdrzeć się do środka.

I kiedy z lasu wyskoczyła zakrwawiona małpa i rzuciła się w stronę kopuły, prowadząc za sobą straszliwe białe potwory – właśnie takimi zobaczyła Kazika i szakale – potraktowała to jako próbę napaści lasu.

Natychmiast otworzyła szafę, błyskawicznie wyjęła z niej aneblaster i zgodnie z instrukcją przygotowała się do obrony stacji przed napadem dzikich zwierząt. Robiła to wszystko szybko i mechanicznie, pokonując strach i obrzydzenie.

Zwierzęta napadające na stację splotły się w kłęb i Klaudia zorientowała się z ulgą, że stacja ich nie interesuje i jest ciąg dalszy odwiecznej walki o istnienie, w której to walce małpie przyjdzie zginąć...

Światło wewnątrz kopuły było włączone. Klaudia nie widziała więc szczegółów zaciętej walki. Pomyślała, że trzeba włączyć kamery i może by je włączała, ale czuła się coraz gorzej i nawet nie potrafiłaby powiedzieć, czy naprawdę widziała przez chwilę rozumne ślepia małpy, która przyłgnęła do szyby iluminatora. Ciemny, pokrwawiony pysk rozpaczliwie poruszał wargami, jakby błagając o pomoc.

Przerażona tym widokiem, lękając się mordy białego potwora, który pojawił się obok pyska małpy, Klaudia uniosła aneblaster, żeby wystrzelić w stworzy, ale powstrzymała ją świadomość, że strzał naruszy szczelność kopuły i wpuści nieziemską mikrofaunę. Małpa dostrzegła jej ruch i błyskawicznie uskoczyła w bok.

Klaudii wydało się, że dostrzegła w jej łapie nóż, a może po prostu był to długi pazur. Stworzenie upadło, białe potwory rzuciły się na nie... Widok był obrzydliwy. Klaudia nie chciała na to patrzeć, ale widziała w świetle błyskawic, że stworzenie to – odniosła wrażenie, że pokryte jest nie sierścią, tylko strzępami futrzanej odzieży, ale uznała to za igraszkę wyobraźni – zdołało wyrwać się z pazurów białych stworów i pobiegło, przewracając się i znów się podnosząc, odgryzając się w przedśmiertnych drgawkach, w dół, ku jezioru...

Staczając się po zboczach do jeziora i tracąc ostatnie siły, Kazik wciąż widział przed sobą przerażone oczy ziemskiej kobiety, pięknej, czystej, otoczonej blaskiem ziemskich, doskonałych przedmiotów, która celowała w niego z blastera...

A szakale teraz już bez pośpiechu, jakby dla zabawy, gnały swoją ofiarę do szarej wody jeziora...

Na statku Sally starała się nie odchodzić na krok od Pawłysza.

Pawłysz był ponury, prawie się nie odzywał i wyglądał jak po ciężkiej chorobie. „Dziwna rzecz – myślała Sally – typowy sangwinik, sama przeglądała jego dokumenty, skłonny do kompromisów, podporządkowuje się autorytatywnym opiniom, szuka kompensacji w drugorzędnych sprawach... Sympatyczny człowiek, który nigdy nie zostanie liderem”.

Sally była intuicyjnie przekonana, że ostateczna decyzja co do losów „Polusa” zależy nie od przekonanej o swoich racjach Klaudii ani od zbuntowanego Pawłysza, lecz od niej samej, od osoby, którą okoliczności podniosły do rangi superarbitra, chociaż nikt tego nie powiedział na głos, a nawet nie pomyślał o tym.

Dlatego wstała jako pierwsza jeszcze przed świtem, przygotowała śniadanie i Pawłysz, który obudził się wkrótce po niej i zajrzał do kuchni, wcale się nie zdziwił, widząc, że ona również jest ubrana i gotowa do drogi. Zazwyczaj Sally chodziła po stacji w sarafanach lub luźnych sukienkach, niemodnych, ale wygodnych i kobiecych. Klaudia utrzymywała, iż Sally jest jedyną osobą w Dalekim Zwiadzie, która ubiera się tak dziwnie.

Sally powiedziała Pawłyszowi, że nie należy budzić Klaudii, która z pewnością nie spała przez całą noc i dopiero co się zdrzemnęła. Pawłysz nie oponował, rozumiejąc, że Sally kieruje się nie tylko troską o kierowniczkę wyprawy, lecz również niechęcią do tłumaczenia jej, dlaczego bez pytania wybiera się z Pawłyszem w góry.

Pawłysz ponuro milczał, nic nie zjadł i bez słowa przeniósł do kutra pojemnik z imploziwum. Zachowywał się tak, jakby był przekonany o konieczności wysadzenia „Polusa” w powietrze. Był na to niejako skazany, chociaż Sally wcale nie była o tym przekonana. Podejrzewała, że Pawłyszowi do otwartego buntu potrzebna jest jedynie szczypta katalizatora – jej przychylność. Sama jednak jeszcze nie wiedziała, czy mu tę odrobinę przychylności okaże.

A na statku straciła głowę. Zdarzało się jej bywać na wielu wyprawach, widziała, jak giną ludzie, znała potęgę wściekłego żywiołu i znikomość człowieka w porównaniu z tym żywiołem. Wiedziała, że statek jest martwy i to od bardzo dawna. Wiedziała, ale nie wierzyła. Dla niej statek był ciężko chory, leżał w szoku, ale życie pozostawiło na nim tak wyraźne ślady, że zniweczyć ich nie zdołał nawet wieloletni mróz tutejszych gór.

Pomogła Pawłyszowi przenieść na pokład pojemnik z materiałem wybuchowym, ale westchnęła z ulgą, kiedy biolog, zamiast w myśl instrukcji rozmieścić ładunki na całym statku, porzucił pojemnik przy wejściu.

Obeszli bez obciążenia cały statek. Zajrzeli do sterówki, do hibernatorni, a potem Pawłysz zaprowadził Sally do kabiny numer 44, w której stała kołyska. Urządzając tę wycieczkę. Pawłysz nie usiłował przeciągać Sally na swoją stronę. Co innego było mu w głowie. Sally widziała, że jej towarzysz wciąż czegoś szuka, czujny jak pies myśliwski.

Badał w ostrym strumieniu reflektora podłogę przy wejściu, potem długo przyglądał się pokiereszowanemu, otwartemu puszkom i rozdartym torebkom w zrujnowanym magazynie, zszedł do „garażu”, w którym stał uszkodzony kuter planetarny i wślizgnął się do jego kabiny, gdzie spędził kilka minut. Sally nie wytrzymała i zapytała:

- Sława, znalazłeś tam coś?
- Już idę.

Potem znów skierowali się ku otwartemu włazowi.

Tylko szczyty gór wznosiły się nad szarą oponą chmur, pokrywającą szczelnie wszystkie doliny i przepaście. Opona drgała, poruszała się, przesuwała się na zachód, jakby jakiś kapryśny gigant ciągnął ją w tamtą stronę. Sally wyobraziła sobie, jaka zawierucha musi panować pod warstwą chmur i aż się wzdrygnęła. Ale tutaj wiatr wiał równo i spokojnie, więc Pawłysz odrzucił przyłbicę hełmu. Sally poszła za jego przykładem i natychmiast mroźne powietrze wdarło się jej do płuc. Nawet w oczy zrobiło się jej zimno, ale kasku nie zamknęła. Powietrze, choć mocno rozrzedzone, niosło czystość i świeżość, za którą płuca tak bardzo się stęskniły.

Pawłysz odpiął od pasa płaskie matowe pudełko przyrządu, którego Sally przedtem nie widziała.

– Wziąłem bioindykator – powiedział. – Przeszukamy dolinę. – Z jakiegoś względu był pewien, że Sally chętnie będzie mu towarzyszyć.

– A... rozkaz? – Sally chciała powiedzieć „wybuch”, ale to słowo nie przeszło jej przez gardło.

– A jak ty uważasz?

– Uważam, że nie ma co się z tym spieszyć – odparła.

– Niczego nie będę wysadzał – powiedział Pawłysz z miną dzieciaka, który za nic nie odda schwytanego właśnie chrabąszcza. Sally jeszcze raz przekonała się, jaki wciąż z niego malec. I uśmiechnęła się.

– Co cię tak śmieszy? – zdziwił się Pawłysz.

– Nie, nic... Zdajesz sobie naturalnie sprawę z tego, że Klaudia, chociażby z szacunku do samej siebie, zamelduje o niewykonaniu rozkazu.

– Jej też nie pozwolę niczego tu zniszczyć!

– Nie o to chodzi. Ona zamknie przed tobą Kosmos.

– Wiem, wiem! – Pawłysz wyprostował się gwałtownie. Przyrząd matowo połyskiwał mu w ręku.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Jesteś gotów zrezygnować z Kosmosu?

– Sally, kochanie, nie gadaj głupstw. Rzecz nie w rezygnacji lub w zgodzie. Co ty byś na moim miejscu zrobiła?

– Wymigujesz się!

– Tu stoi pojemnik. Działaj!

– Zrobiłabym to samo, co ty.

– Wobec tego uziemią nas razem. Resztę swoich dni spędzimy w domu. Nic strasznego.

– Jesteś głupi i dlatego cię kocham – powiedziała Sally. Pawłysz zszedł po trapie, który przywieźli ze sobą. Śnieg pod włazem był zdeptany, ale wiatr szybko zawiewał ich ślady.

– Zamknij hełm, bo się przeziębisz – krzyknął z dołu.

Sally zeskoczyła i z wysokości trzech metrów zapadła się po pas w śnieg. Ledwie się z niego wygrzebała.

Było jej wesoło, bo wiedziała, czego ma się trzymać. Była pewna, że podjęli właściwą decyzję.

– Jeśli oni opuścili statek – powiedział Pawłysz, trzymając bioindykator w wyciągniętym ręku – czego jestem prawie pewien, to musieli próbować wydostać się z gór w dolinę, do lasu. Zimą było to zadanie niewykonalne, ale oni nie mieli innego wyjścia. Jeśli mam rację, to któregoś z nich znajdziemy Pod śniegiem.

Wesoły nastrój Sally natychmiast się ulotnił.

– Nie trzeba – powiedziała błagalnie.

Jednak Pawłysz już zataczał bioindykatorem krąg, uważnie patrząc na strzałkę. Zupełnie jakby jej nie słyszał.

– Potem – powiedziała Sally – nie dzisiaj. Zostaw ich w spokoju.

– Nie rozumiesz – odezwał się Pawłysz. – Muszę wiedzieć, w którą stronę poszli.

– Dlaczego?

Pawłysz zauważył, że strzałka drgnęła i wolno ruszył po śnieżnej skorupie w tę stronę. Sally szła obok niego.

– Bo jednak mogli się stąd wydostać...

– Nie bądź naiwny. To niemożliwe!

– Sally, kochanie, przenosisz na innych ludzi swoje własne emocje. Tobie ta planeta wydaje się śmiertelna. Jesteś przekonana, że bez skafandra nie da się na niej przeżyć nawet minuty. Myślisz tak, ponieważ mieszkasz w komfortowym pomieszczeniu, oddychasz sterylizowanym powietrzem, pijesz wyjałowioną wodę. Wyobraź sobie jednak, że nie masz wyjścia. Albo śmierć, albo adaptacja.

– Lepsza w takim wypadku byłaby śmierć – powiedziała Sally z przekonaniem.

– Śmierć nigdy nie jest lepsza. – Strzałka drgnęła i przesunęła się w lewo.

– To zupełnie jak zabawa w zimno-ciepło – powiedziała nagle Sally.

– Ten aparacik niestety ma bardzo niewielki zasięg – odparł Pawłysz. – Zresztą został umyślnie tak skonstruowany, żeby nie zacierać obrazu przy mnogości obiektów. Wiesz, bioindykator wymyślili alpiniści, ratownicy. Początkowo dzięki niemu odnajdowano ludzi zasypanych przez lawiny... Tutaj!

Pawłysz zatrzymał się przed łagodnym wzniesieniem.

– Potrzyj – oddał bioindykator Sally, a sam zaczął rozgrzebywać rękawicami śnieg. Sally odwróciła się, bo nie chciała zobaczyć tego, co się za chwilę ukaże.

– Dziwne – powiedział Pawłysz. W jego głosie brzmiało tylko zdziwienie, nic więcej, więc Sally się odwróciła.

Pod śniegiem zobaczyła żółtawą sierść. Leżało tam jakieś wielkie zwierzę, coś w rodzaju białego niedźwiedzia.

– Kiedy tu ponownie wrócimy – powiedział Pawłysz – odkopimy go do reszty.

– Po co?

– Z dwóch oczywistych powodów, mój aniele – odparł Pawłysz. – Po pierwsze jest to zwierzę nieznane nauce, a po wtóre muszę się dowiedzieć, w jaki sposób zginęło. Jednak potrzebna będzie łopata.

Po rozszerzającej się spirali krążyli wokół statku, coraz bardziej się od niego oddalając. Sally zmęczyła się, bo skorupa na śniegu nie wszędzie utrzymywała ich ciężar, a wiatr dął tak, że czasami trudno było zrobić trzy kroki.

Przez dwie godziny niczego nie znaleźli. Wreszcie Pawłysz stanął, popatrzył na Sally i zapytał:

– Zmęczyłaś się?

– Tak.

- Przepraszam, zagalopowałem się – uśmiechnął się przepraszająco.
- Wcale się na ciebie nie gniewam.
- Wracajmy na stację. Po obiedzie wrócę tu i będę dalej szukał.
- Dlaczego sądzisz, że ktoś mógł przeżyć?
- Na statku nie ma żadnych zwłok poza tymi, które zostały umieszczone w hibernatorni.
- Ale jeśli nawet zdołali się wydostać, to zginęli w górach.
- A jeśli dotarli mimo trudności do lasu?
- Przecież wiesz, czym jest tutejszy las.
- Wiem, ale stosunkowo niedawno ktoś był na statku. Widziałaś, jak wyglądał magazyn?
- To nie byli ludzie.
- Ci nieludzie wspięli się do wjazdu, otworzyli go, dotarli korytarzem do magazynu, a wychodząc zamknęli wjazd za sobą?
- To tylko twoje przypuszczenia.
- Wystarczająco jednak poważne, aby rzucić wszystko inne i szukać!

Podeszli do kutra.

- Klaudia pewnie okropnie się o nas niepokoi. Zapomnieliśmy o niej.

- Nic strasznego się nie stało – powiedział lekceważąco Pawłysz. Sally wywołała stację.

Klaudia nie odpowiadała.

Pawłysz zahermetyzował wjazd kutra i przeszedł na miejsce pilota.

- Klaudia milczy – powiedziała Sally.

- Mogła po prostu odejść od nadajnika. Stacja nie jest znowu taka mała.

Kuter wystartował i po chwili „Polus” przekształcił się w czarny guziczek na białym kitlu doliny.

Sally wciąż bez powodzenia wywoływała Klaudię.

* * *

Pawłysz zatoczył ciasny krąg i, nabierając prędkości nad jeziorem, zamierzał opaść pionowo przy stacji.

Pod chmurami lał deszcz i było mrocznie.

Zatrzymali się przy kopule laboratorium. Pawłysz wyłączył silniki i zabrał dużą torbę z rzeczami z „Polusa”.

- Niczego nie zostawiłaś? – zapytał. Sally pokręciła głową.

Ruszyli wprost do wejścia. Wewnątrz paliło się światło i okrągłe iluminatory stacji rzucały ciepłe błyski na szare strugi ulewy.

Stacja była zamknięta. Klaudia nie otworzyła drzwi, kiedy kuter wylądował. Sally nacisnęła guzik przy drzwiach. Słysząc było, jak wewnątrz rozdzwierał się dzwonek.

Pawłysz usiłował zajrzeć do środka, ale woda płynęła po szybie i wszystko zamazywała.

Sally wystukała kod. Drzwi do służby odsunęły się na bok. Weszli do środka.

– Tam dzieje się coś złego – powiedział Pawłysz. Strumienie cieczy dezynfekującej uderzyły w skafandry.

Sally wyłączyła prysznic, zerwała z głowy hełm i pierwsza wbiegła do mesy. Pawłysz zaczął ściągać skafander i w tym momencie usłyszał krzyk Sally.

Wbiegł do jasno oświetlonego pokoju i gdyby nie to jaskrawe światło, nie uwierzyłby własnym oczom.

Mesa wyglądała tak, jakby przeszedł przez nią pułk szaleńców. Ślady walki widać było wszędzie: na poprzewracanych meblach, na porozbijanych przyrządach, na ścianach, a wśród tego całego chaosu na podłodze leżała Klaudia, ściskając w bezwładnie odrzuconej ręce aneblaster.

Sally pochyliła się nad nią, przyłożyła ucho do piersi.

– Poczekaj – odsunął ją Pawłysz i uniósł powiekę Klaudii. Reagowała. – Żyje – powiedział – ale jest w głębokim szoku.

Szybko przesunął rękami wzdłuż jej ciała, wymacując ewentualne rany, ale nic poważniejszego nie znalazł.

– Ostrzeliwała się – powiedziała Sally.

Pawłysz również zauważył ślady strzałów na meblach i ścianach.

Klaudia miała pokrwawione, porozbijane ręce. Pawłysz nie mógł wiedzieć, że w napadzie szaleństwa spowodowanym ukąszeniem śnieżnej pchły kobieta walczyła z niewidzialnymi wrogami. Pomyślał, że wrogowie byli realni, że ktoś wtargnął do wnętrza stacji i omal nie zabił Klaudii.

Przeniósł ją na kanapę, potem zmontował przenośny diagnost, który niestety nie potrafił mu w niczym pomóc. Dał jedynie ogólną diagnozę głębokiej utraty przytomności i wyczerpania nerwowego, ale ani szans, ani sposobów leczenia nie potrafił określić, ponieważ z niczym podobnym nigdy się dotąd nie spotkał.

Wszystkie próby wyciągnięcia Klaudii z szoku okazały się bezskuteczne.

Czas płynął. Byli na stacji już od dwudziestu minut.

– Moim zdaniem puls jej słabnie – wyszeptała Sally.

Pawłysz zerknął na przyrządy i pokręcił głową.

– Powinnam była przeczuć! – rozpaczła Sally.

– Nic nie rozumiem – powiedział Pawłysz. – Wypisz wymaluj tajemnica zamkniętego pokoju. Drzwi były zamknięte, zamek w porządku, żadnych obcych śladów nie widzę. A jednak ktoś tu się musiał wdrzeć...

– Co my o tym świecie wiemy! – odparła z goryczą Sally.

– Odrobinę zadrapaliśmy powierzchnię tej planety i nawet nie zajrzeliśmy do jej wnętrza.

– I żeby coś takiego przydarzyło się właśnie ostrożnej do przesady Klaudii!

– Lepiej powiedz, co robić, bo ja tak dłużej nie mogę.

– Jest chyba tylko jedno wyjście – powiedział Pawłysz.

– Musimy uruchomić lądownik.

– I lecieć do radiolatarni?

– Tak, przy maksymalnej szybkości za trzy godziny będziemy na miejscu.

Radiolatarnia wisiała w otwartej przestrzeni, poza granicami pola grawitacyjnego planety, które zakłócało łączność kosmiczną.

– Chyba masz rację – zgodziła się Sally.

Z radiolatarni można było wywołać Centrum Galaktyczne, połączyć się z informacją diagnostyczną i uzyskać fachową poradę.

Przenieśli Klaudię do lądownika, a potem Pawłysz wrócił biegiem pod kopułę. Mogło się zdarzyć, że trzeba będzie lecieć na spotkanie z przelatującym w pobliżu statkiem i szybko tu nie wrócą. A może nie wrócą w ogóle.

Pawłysz włączył kamerę – miał pół minuty, podczas której Sally programowała autopilota kutra – i utrwalił obraz zniszczeń w mesie. Zdjęcia mogą pomóc w ustaleniu przyczyn dramatu. Przyczyny

mogą okazać się na tyle poważne, że badania na tej planecie zostaną zakazane i przejdzie ona do kategorii światów niebezpiecznych.

Tuż przed wyjściem na zewnątrz włączył program konserwacji stacji. Teraz stacja sama rozmontuje się, zapakuje w pojemniki i przygotowuje do ewentualnej ewakuacji.

Wrócił biegiem do kutra, gdzie Sally, siedząc na podłodze, ostrożnie podtrzymywała głowę Klaudii.

Wślizgnął się na fotel pilota i ostrożnie wystartował.

* * *

– Dick – zawołała Marianna. – Dick.

Pochylił się nad nią. Zbierało się na burzę i akurat zamierzał przykryć dziewczynę resztkami błony.

– Myślałem, że śpisz – powiedział.

– Nie śpię. Płynęłam... byłam daleko... Gdzie jest Kazik?

– Sam się martwię. Powinien dawno wrócić.

– Idź po niego, czuję, że zdarzyło się coś złego, rozumiesz?

– Skąd wiesz?

– Nic nie wiem, ale jest mi źle, bo przydarzyło mu się nieszczęście.

– Nie, nie mogę cię zostawić samej.

– Ze mną nic... się nie stanie. Idź.

Marianna mówiła tak, jakby odprawiała czary, jakby nie widziała ani Dicka, ani lasu – niczego. Patrzyła gdzieś w dal. W jej głosie brzmiał rozkaz.

– Nadchodzi deszcz – powiedział Dick, zastanawiając się na głos. – Ulewa szybko zmyje ślady. Jeśli mam iść, to zaraz.

– Szybciej, bo będzie za późno – powiedziała Marianna. – Może już jest za późno.

Dick usłuchał, ale najpierw przygiął pnie trzech młodych sosenek, związał je linką i umieścił tam Mariannę. To było niezbyt wygodne posłanie, które zresztą wznosiło się trochę ponad metr nad ziemię, ale przynajmniej naziemne gady nie zdołają dobrać się do Marianny. Marianna zносиła wszystko w milczeniu, tylko parę razy powtórzyła „idź”.

– Zostawię ci blaster – powiedział Dick.

– Nie trzeba, będę leżała cicho – wyszeptła z trudem Marianna.

– Tutaj spust lekko chodzi, prawie nie trzeba naciskać – upierał się Dick. – A ja mam kuszę, do niej bardziej przywykłem. Włożył blaster do ręki Marianny, która niczego już nie powiedziała.

– Lecę.

– Szybciej!

Chociaż chmury wisały nisko, padał deszcz i było ciemno, Dick zauważał każdą złamaną gałązkę lub poruszony kamień. Ziemia była mokra, ale gdzieniegdzie dawało się dostrzec odciski stóp Kazika, który buty zgubił w jeziorze i teraz biegł na bosaka.

Nagle Dick znieruchomiał. Poczul odór szakali. Niezbyt świeży, ale szakale tędy na pewno przechodziły.

A tutaj zatrzymywał się Kazik. Czujnie, na palcach, a więc i on wyczul szakale, ale dla niego ich smród był o wiele bliższy.

Dick jeszcze bardziej się zaniepokoił. Jeśli szakali było więcej, Kazik powinien jak najszybciej

biec do domu Ziemiań, bo z samym nożem chłopak nie poradzi sobie nawet z pojedynczym szakalem.

Dick minął wąską dolinę i zrozumiał, że szakal nie był sam. To było całe stado, przynajmniej trzy sztuki.

Wzgórek, sterta kamieni, ścierwo szakala...

No i dopadły Mowglięgo.

Zapach krwi szakali. Zapach krwi Kazika.

Dick pobiegł jeszcze szybciej. Był straszny i las na jego widok kurczył się z przerażenia. Las czuł, że biegnie zwierz ogarnięty wściekłością, amokiem, w którym groźna jest nawet łagodna koza spiesząca na pomoc koźlątku.

I tak samo jak Kazik, Dick zupełnie nieoczekiwanie wypadł na polanę przed stacją.

Stacja była słabo oświetlona i wyglądała jak baśniowy zamek. Była z tego samego świata, z którego pochodził „Polus”. Ale teraz Dick nie miał czasu się nad tym zastanawiać.

Zobaczył, jak okrągły ciemny obiekt unosi się w powietrze i bezdźwięczny ruch tego ogromu sprawił, że znieruchomiał w miejscu.

Ocknął się i podbiegł do drzwi.

Powietrze było nadal ciężkie, ale deszcz niemal ustał.

Pchnął ramieniem, ale drzwi ani drgnęły.

Zajrzał do wnętrza. W środku było pusto.

– Hej! – krzyknął. – Otwórzcie!

Nikt się nie odezwał. Dick przetarł szybę.

Przez okno było widać, że wewnątrz wielkiego, jasnego pokoju musiała toczyć się walka. Wszystko tam było poprzewracane, połamane przedmioty poniewierały się na podłodze... Ślady krwi na miękkim dywanie, a obok blaster, nie taki jak jego, tylko dłuższy i większy.

Dick uderzył pięścią w drzwi. Gdzie jest Kazik?

Nagle zrozumiał: Kazika wzięli ze sobą i powieźli w górę, w niebo, gdzie mają statek. Oczywiście! Kazik był ranny, pokąsany przez szakale, więc wzięli go na statek.

Dick odetchnął z ulgą i postanowił wracać po Mariannę.

Coś jednak mu się nie zgadzało. Coś było nie tak. Zapach szakali? Tak, ale już zwietrzały. Zapach Kazika? Dick popatrzył w stronę jeziora. Zapach Kazika dobiegał stamtąd.

Popatrzył pod nogi i zobaczył jego ślady zdeptane łapami dwóch szakali. To było dziwne. Ruszył wolno po śladach i z każdym krokiem zapach Kazika i odór szakali stawał się wyraźniejszy. Dlaczego Kazik nie wszedł do domu? Przecież oni tu byli! Wzniesli się do nieba na oczach Dicka.

Kazik najwyraźniej biegł ostatkiem sił, zatrzymywał się, odgryzał – wszystko to można było odczytać z jego śladów – i rwał ile sił do wody. Dick na jego miejscu też by spróbował tak zrobić...

Kazik zdążył wbiec do wody i dotrzeć do przybrzeżnych kamieni.

Wbiegł do jeziora na jakieś dwadzieścia kroków i tam upadł. Szakale nie odważyły się wejść do wody i odeszły.

Dick zobaczył ciało Kazika zanurzone do połowy w wodzie, dopadł go w kilku susach i wziął na rękę. I w tym właśnie momencie w błysku piorunów i ogłuszającym łomocie grzmotów znów lunął deszcz.

Głowa Kazika bezsilnie opadła i Dick, niosąc go na brzeg, starał się ją podtrzymać.

– Żyjesz? – pytał. – No powiedz, żyjesz?

Położył Kazika na brzegu i pochylił się, osłaniając go przed strugami ulewy.

– Szkoda – powiedział nagle cicho, lecz wyraźnie Kazik.

– Tak prosiłem, a ona mnie nie wpuściła.

– Co? – nie rozumiał Dick.

– Nie chcą nas wpuścić – powiedział spokojnie Kazik.

– Boją się nas, bo jesteśmy dzicy... – i zamilkł.

Dick zrozumiał, że Kazik umarł. Porwał go na ręce i popędził pod górę. Wydawało mu się, że coś jeszcze można zrobić. Podbiegł do stacji, położył ciało Kazika na ziemi i zaczął walić pięściami w iluminator wmontowany w drzwi, chcąc wejść do środka, ale szyba tylko się lekko ugięła pod jego ciosami.

– Dranie! – krzyczał Dick. – Zabiliście go! Puście, nie chowajcie się po kątach!

Doskonale wiedział, że nikogo na stacji nie ma, że w domu jest pusto, ale nadal szarpał się z drzwiami.

Odwrócił się, rozejrzał rozpaczliwie dookoła, odbiegł i podniósł wielki kamień. Takiego głazu w innej sytuacji nigdy by mu się nie udało nawet unieść, teraz jednak złapał go, skoczył ku drzwiom i z całej siły rąbnął w okno.

Zarówno szyba, jak i sama kopuła obliczone były na wielkie obciążenia, ale tym razem słabym punktem okazała się metalowa rama. Uderzenie było tak gwałtowne i silne, że szyba w całości z niej wyleciała, wpadła z brzękiem do środka i podskakując potoczyła się po podłodze.

Dick dał nurka w okno, potem wciągnął do środka Kazika i spróbował go ocucić. Bez skutku.

Pobiegł do drugiego pokoju, zaczął otwierać szafy próbując znaleźć jakieś lekarstwo, ale nie wiedział, gdzie szukać, a przede wszystkim nie wiedział, jakie lekarstwo trzeba dać człowiekowi, który już umarł...

– Zabije was – powtarzał. – Dopadnę was i wszystkich pozabijam! Stacja była pusta i nie odpowiadała.

Nagle w końcu długiego korytarza Dick zauważył jakiś ruch. Dziwny metalowy przyrząd, płaska platforma nie większa od koźlątko wolno niosła błyszczącą skrzynkę. Dick rozwścieczony tym, że w pierwszej chwili się przestraszył i dlatego, że musiał na kimś wyładować gniew, z całej siły kopnął platformę, która natychmiast się zatrzymała. Złapał skrzynkę, która okazała się bardzo ciężka i rąbnął nią w platformę. Platforma przekrzywiła się i zamarła.

– Dobrze ci tak! – wrzasnął.

I zaraz przypomniał sobie o Mariannie. Marianna jest w lesie. Sama. Na nią również mogą napaść. Wyskoczył na zewnątrz i pognął przez ciemny las, chłostany ulewą.

* * *

Sally, która zastąpiła Pawłysza, prowadziła kuter planetarny na maksymalnym ciągu silników, żeby jak najprędzej dotrzeć do radiolatarni. Klaudia nie odzyskiwała przytomności, ale Pawłysz stale kontrolujący jej stan przekonał się, że ten się nie pogarsza.

Wszystko było dziwne. Dziwności, jak w kalejdoskopie, układały się w pozornie nielogiczny ornament, w którym jednak można było odczytać wyraźny rytm i symetrię, ukryty sens, który jednak niełatwo dawał się rozszyfrować.

Pawłysz miał czas na zastanowienie.

Nagle, przebierając, przeglądając w poszukiwaniu dziwności i nielogiczności wszystkie ostatnie wydarzenia i wizerunki planety, przypomniał sobie gigantyczne drzewo z wierzchołkiem ginącym

w chmurach i zwisającą z konaru szmatę..

Sięgnął po zabrany ze stacji pojemnik z taśmami. Indykator momentalnie odnalazł potrzebny fragment i Pawłysz włączył projektor. Na ekranie ukazała się gigantyczna gałąź, rosnące na niej krzewy i zwisająca błona, pod którą kołysał się na wietrze zewłok... Nie, to wcale nie było ciało zwierzęcia, jak mu się w swoim czasie wydało, tylko kosz. Zatrzymał taśmę i dał maksymalne powiększenie. Oczywiście, to pusty kosz. I sznurki. Że też od razu nie spostrzegł, że to są sznurki...

– Sally, popatrz – powiedział.

– Co to jest? Jakies zwierzę? Chyba to już widziałam.

– A ja ci mówiłem, że to balon.

– Być może – odparła Sally obojętnie, bo w tej chwili interesowała ją tylko Klaudia.

„Co jeszcze? – zastanawiał się Pawłysz, nie wyłączając wizerunku balona. – Aha, rozszabrowany magazynek na statku... Trzeba odszukać również tę taśmę... Po podłodze poniewierają się otwarte puszki i pudełka. Rozdarta torebka, zgnieciony strzęp folii... Jakoś dziwnie zgnieciony, jakby to była odbitka dłoni”.

– Sally!

– Ciszej! Przestraszyłeś mnie. Co to jest?

– Czyżbyś nie widziała?

– Ręka. Skąd?

– Oni byli w magazynie. Pamiętasz?

– Wydaje mi się, że to jest ręka małpy.

– Uwierz mi, bo na tym się akurat znam – powiedział Sława twardo – że to nie małpa zostawiła te ślady. Żadna małpa nie ma przeciwstawnego kciuka. Tylko człowiek.

– Wobec tego wszystko jest jasne – domyśliła się Sally. – Umierali na statku, ale ratowali dzieci.

Wreszcie na statku zostały same dzieciaki, stąd ten dziki bałagan w magazynie.

– A balon?

– Balon to tylko twoje przypuszczenie.

* * *

Dick niczego Mariannie nie powiedział, wróciwszy po nią i ciągnąc potem na kawałku błony, przez las w stronę kopuły, do Kazika. Nie miał już sił, ale musiał to zrobić. Nie mógł zostawić Kazika i Marianny, bo był najstarszy i najsilniejszy z nich i dlatego musiał znieść wszystko.

Marianna była ciężka, rozgorączkowana i nieprzytomna. Dick dociągnął ją do kopuły i wniósł do środka, gdzie na kanapce leżał nieruchomy Kazik.

W pokoju coś się zmieniło. Światło było słabsze, jakby dopalał się kaganek. I dziwna rzecz, gdzieś zniknęły, złożyły się, zwinęły w rulony dwie mniejsze kopuły, a w dużej kopule ubyło rzeczy.

Dick położył Mariannę na łóżku, które znalazł za przepierzeniem. Łóżko było zasłane bardzo białym prześcieradłem, ale Dick nawet nie pomyślał, że Marianna je zabrudzi.

Usiadł na kanapie w nogach Kazika.

Siedział tak bez ruchu z pięć minut, bo był śmiertelnie zmęczony, a poza tym nie wiedział, co robić.

Jeszcze jeden żelazny potworek wjechał do pokoju i zaczął zwijać leżący na podłodze dywan. Dick, nie wstając, wyciągnął blaster i rozstrzelał go. Potworek zamienił się w kupkę popiołu.

– Jeśli jeszcze ktoś spróbuje wejść... – powiedział Dick. – Tylko, spróbujcie!

Siedział na kanapie obok martwego Kazika i umierającej Marianny i nic nie mógł zrobić. Mógł tylko przysiąc, że całe swoje pozostałe życie poświęci na to, żeby zemścić się na Ziemianach, którzy zabili Kazika i uciekli, pozwalając Mariannie umrzeć.

Znajdzie ich nawet pod ziemią i zabije jak nędzne szakale.

* * *

– Sława – powiedziała Sally. – Popatrz.

Pochylała się nad Klaudią, która przed momentem głęboko westchnęła. Indykatory na konsoli medycznej wskazywały, że puls jej nieco przyspieszył, a oddech się wyrównał i pogłębił. Klaudia przytomniała.

Upłynęło prawie półtorej godziny lotu.

Klaudia otworzyła oczy.

– Sally, dlaczego tu jesteśmy? – zapytała.

Od razu zorientowała się, że są na pokładzie kutra.

– Leż spokojnie – powiedziała Sally. – Wszystko będzie dobrze.

– Ale co to było? – Klaudia zmarszczyła czoło, usiłując sobie coś przypomnieć. – Był las, tak? Dmuchawce. Bardzo piękne dmuchawce. I ta małpa. Odpędziłam ją, bo pchała się do okna... A co potem?

– Nie wiemy – odparł Pawłysz. – Myśleliśmy, że pamiętasz.

– Nic nie pamiętam. Tylko te okropne zwierzęta, które dobijały się do okna. I później koszmary...

– Jakie zwierzęta? Nastraszyły cię? – zapytał Pawłysz.

– Nie, po prostu były obrzydliwe. Wszystko tu jest obrzydliwe. Wstrętny świat. Ciągle się w tym lesie rozszarpują... Nie, nie bałam się ich. A potem nie pamiętam.

– Spróbuj sobie przypomnieć wszystko po kolei. Co się stało?

– Byłam w lesie.

– Poszłaś do lasu?

– Tak. Trochę się przespacerować. Tam były dmuchawce... Pewnie otworzyłam hełm, bo okropnie chciałam w nie dmuchnąć.

– Zdjęłaś hełm? – upewnił się Pawłysz.

– Nie pamiętam. Chyba trochę uchyliłam przyłbicę.

– A co potem?

– Potem był paskudny nastrój. Bardzo źle się poczułam, a do okna dobijała się ta małpa. Walczyła z innymi zwierzętami.

– A potem?

– Małpa uciekła. Wszystkie zwierzęta uciekły, a ja poczułam się już zupełnie źle... Przepraszam. Sprawiałam wam... kłopot. Dlaczego lecimy kutrem?

– Lecimy do radiolatarni, żeby połączyć się z informatorium medycznym. Może trzeba będzie poprosić o zezwolenie na ewakuację stacji.

– W takim razie wracamy.

– Wolałbym jednak skonsultować twój przypadek. To może być groźna infekcja.

– Nie chcę – Klaudia uniosła się z trudem. Zbladła. – Nie pozwolę, aby z powodu moich... dolegliwości ucierpiała praca wyprawy!

– Poczekaj. – Pawłysz zrozumiał, że Klaudia raczej umrze niż ustąpi. – Dobrze się przyjrzałaś

tej... małpie?

– Nie. Zbyttno się jej nie przyglądałam.

– Rozumiesz – powiedział ostrożnie Pawłysz. – Na tej planecie nie powinno być żadnych małp...

To mógł być człowiek.

– Dzikus? Ale skoro nie może być małp, to skąd dzikusy?

– Myślę o ludziach.

– O jakich ludziach? Skąd tu mogli się wziąć ludzie?

– Z „Polusa”. Załóżmy, że niektórzy zdołali przeżyć.

– To niemożliwe. Ten świat każdego zabije.

– Pojedynczego człowieka tak, a jeśli było ich więcej? Jeśli istnieje tu kolonia ludzi, którzy usiłują wyżyć w nadziei, że kiedyś Ziemia ich odnajdzie? I czekają na ratunek, rozumiesz?

– Nie wierzę.

– W takim razie spójrz!

I Pawłysz jeszcze raz rzucił na ekran powiększony obraz balonu.

* * *

Oleg nie chciał nigdzie iść. Było mu wszystko jedno.

Ale Siergiejew, kiedy zupełnie się rozwidniło i zawieja nieco się uspokoiła, potrafił jednak zmusić się do wstania. Za nic by nie wstał, gdyby nie dzieci. Ale była Marianna i był Oleg. Wiedział, że jeśli nie zdoła wstać, to Oleg i Marianna nigdy się nawzajem nie odnajdą, nie zobaczą, nie dotkną.

Jego życie nie miało żadnej wartości bez kontynuacji w Mariannie i Olegu. Siergiejew zdołał się zmusić do uniesienia głowy, ale na nic więcej sił mu już nie starczyło. Na szczęście w tym spazmatycznym ruchu uderzył głową w śnieżny dach ich schroniska, w tym miejscu dość cienki. Dach zawalił się, wpuszczając do środka strumień lodowatego powietrza i Siergiejew natychmiast się ocknął.

Wygramolił się na zewnątrz i długo siedział, dopóki zupełnie nie skostniał. Następnie zmusił się do wykopania spod śniegu worka z drzewem i rozpalenia ognia. Kiedy woda się zagrzała, zaczął szarpać Olega i otwierając mu usta brudnymi, powykręcanyimi palcami lał mu do gardła gorącą wodę. Oleg opierał się i mamrotał, że chce spać. Potem Siergiejew długo go rozcierał, zmęczył się i nawet nie zauważył, jak w tej szamotaninie przewrócił puszkę z gorącą wodą, która wytopiła w śniegu prawie niewidoczną dziurkę.

Ale wówczas oprzytomniał Oleg. Ocknął się na tyle, że zdołał ponownie rozpać ogień, zagotować na nim wodę i napoić Siergiejewa. Role się zmieniły. Siergiejew co prawda zupełnie się nie opierał i z wszystkiego zdawał sobie sprawę, tylko po prostu bezsilnie leżał.

Potem ruszyli dalej, pod górę, przez gęstą mgłę, pchani nieziszczalną nadzieją, że miłościwy los doprowadzi ich właśnie do tej kotliny, w której leży „Polus”.

Po dwóch godzinach zwalili się w śnieg. Wydawało się im, że uszli kawał drogi, a w istocie pokonali niecały kilometr. Wygrzebali resztkę drewna i znów jak lekarstwo pili gorącą wodę. Już się nie odzywali, byli poodmrażani, palce rąk i nóg mieli pozbawione czucia. A jednak znów wstali i objąwszy się, podtrzymując się nawzajem, zaczęli drobić w miejscu. Ale wydawało się im, że idą i czekali, że lada moment rozstąpią się chmury i nad głowami ukaże się granatowe niebo...

* * *

Dick widział, jak kuter zniża się nad stacją. W pierwszej chwili ogarnęła go radość – jednak wrócili!

Jednak zaraz potem przypomniał sobie, że musi się na nich zemścić, że musi ich zabić, bo winni są śmierci Kazika i tego, że Marianna umiera. Mogli ich uratować. Mogli zrobić wszystko, ale nie chcieli.

Nigdy przedtem nie przychodziło mu do głowy, że można zabić człowieka. Ludzi na świecie jest bardzo mało. Ludzie pomagają sobie nawzajem. Bez tego ludzie giną, bo las jest silniejszy od każdego z ludzi. Ale ci tutaj nie mogą być ludźmi.

„Jeśli wszyscy jesteście tacy, to nie chcemy waszej Ziemi, waszych białych prześcieradeł i gładkich stołów. Wiem – myślał gorączkowo. – Wróciliście tylko dlatego, że zapomnieliście zabrać swoje rzeczy. Chcecie je nam odebrać, bo jesteście brudni i brzydzy, bo wstyd wam pomyśleć, że pochodzimy z tej samej Ziemi. Nie jesteście nam potrzebni! Odejdźcie. Ale tych rzeczy wam nie oddam. Te rzeczy tu zostaną. Wszyscy tu się przeniesiemy i sami będziemy tu mieszkać. I nigdy nie polecimy na waszą Ziemię!”

Wściekłość na ludzi, którzy chcą odebrać osadzie bazę jak zdobycz, którą Dick ścigał przez tyle dni, stłumiła w nim rozumną pozornie myśl: skoro ludzie jednak wrócili, to trzeba ich poprosić o wyleczenie Marianny.

Zmordowany do ostateczności, wyczerpany, doprowadzony niemal do szaleństwa Dick nie mógł logicznie myśleć. Był dzikusiem, wytworem lasu, szakalem broniącym swej zdobyczy przed innymi drapieżnikami... Ale w przeciwieństwie do szakali Dick miał blaster. Pawłysz zaraz po wylądowaniu pierwszy wyskoczył z kutra. Już umówili się, jak będą działać: najpierw kobiety wystrzelą wszystkie szperacze, ale skierują je nie na normalną wysokość, lecz pod chmury. Obszar do zbadania był stosunkowo niewielki. Ograniczony był od północy grzbietem górskim, pod którym leżał „Polus”, a od południa wielkim jeziorem, nad którego brzegiem stała stacja. Każde osiedle ludzkie znajdujące się na tym terenie musi zostać odnalezione w przeciągu godziny.

A w tym czasie Pawłysz, uzbrojony we wzięty ze stacji aneblaster, obszuka najbliższe okolice bazy. Dzikus, którego widziała Klaudia, nie mógł odejść zbyt daleko.

Otworzywszy właz i wyskoczywszy na mokrą trawę, Pawłysz zobaczył, że małe kopuły już zostały zwinięte – stacja rozpoczęła samokonserwację. Trochę się zdziwił, bo ta praca powinna przebiegać znacznie szybciej, ale głębiej się nad tym nie zastanawiał. Nie wiedział, że przyczyną opóźnienia był Dick, który wystrzelał połowę robotów. Ale Pawłysz o tym nie myślał. Myślał tylko o tym, żeby wziąć z apteczki środki opatrunkowe, a z kuchni glukozę i czekoladę...

Nie zdążył zrobić nawet dwóch kroków – kobiety wciąż jeszcze były w kutrze – gdy zobaczył w oknie ciemną sylwetkę człowieka. Z rozpędu szedł dalej, myśląc równocześnie, że powinien coś powiedzieć, coś pięknego, godnego wielkiej chwili. „Jak to dobrze – zdążył jeszcze pomyśleć – że oni też nas szukali, a my domyśliliśmy się, że trzeba wrócić”.

I w tym momencie usłyszał niski, schrypnięty głos:

– Odejdź!

– Co? – Pawłysz nie zrozumiał i szedł dalej.

– Odejdź! – głos załamał się. – Odejdź, bo cię zabiję!

– Chwileczkę – powiedział głupio Pawłysz, zatrzymując się. Światło wewnątrz stacji było jaśniejsze niż półmrok na zewnątrz, nie widział więc twarzy mówiącego człowieka. Głowa wydawała mu się zbyt duża, ale to chyba z powodu bujnych włosów. Świadomość rejestrowała

nieważne szczegóły, detale bez żadnego znaczenia. Pawłysz nie mógł zrozumieć, co się dzieje.

Gdzieś już coś podobnego widział... W dzieciństwie. Bardzo dawno temu. Tak, to była ilustracja do Robinsona Cruoe. Włosy do pasa, odzież ze skór zwierzęcych. Dobrze jeszcze, że nie oduczyli się mówić.

– Odejdź – powtarzał Dick jak nakręcony. – Odejdź! Ponieważ sam mówił i odpowiadano mu, nie potrafił strzelić. Widział tego człowieka. Był wysoki, wyższy niż Stary, w skafandrze. Dick wiedział, co to jest skafander. Hełm był przezroczystą kulą, przez którą widać było wszystko, nawet twarz. Czystą, zwyczajną twarz. Twarz była ogolona, a ponieważ Dick nigdy jeszcze nie widział dorosłego mężczyzny bez zarostu, to nagle wydało mu się, że stoi przed nim wyrośnięty dzieciak. Przecież nawet on sam miał krótko przyciętą bródkę. Tylko Olegowi broda jeszcze nie rosła.

– Odejdź – powtarzał Dick jak zakłęcie. Już nie chciał, żeby ten człowiek odszedł, ale innych słów nie znajdował. Zupełnie otępieł, jak w napadzie silnej gorączki.

Obok wielkiego mężczyzny stały już dwie kobiety. Jedna niemal tak samo rosła jak on, a druga małutka i chuda jak Marianna. Obie miały na sobie skafandry. Na ich twarzach malowało się zdziwienie, a nawet strach. Zobaczyły blaster w ręku Dicka.

– Nie trzeba! – krzyknęła nagle małutka kobieta. – To ja jestem wszystkiemu winna! Nie rozumiałam! Kiedy tu przybiegliście, przestraszyłam się i niczego nie rozumiałam!

Szybkim krokiem ruszyła do stacji. Mężczyzna chciał ją powstrzymać, ale małutka kobieta wyrwała mu się. Stawiała drobne, szybkie kroczki, jakby była chora.

I wówczas Dick upuścił blaster na podłogę i cofnął się pod ścianę, gdzie na kanapie leżał martwy Kazik. Stał, opuściwszy wzdłuż ciała swoje silne ręce i czekał, co będzie dalej. Teraz już o niczym nie decydował i o nic nie musiał się martwić.

Klaudia błyskawicznymi ruchami wystukała kod otwierający drzwi wejściowe, zrzuciła hełm i rozpięła skafander. Mimo osłabienia jej ręce poruszały się precyzyjnie. Sytuacja, w której się znalazła, mimo całej swej niezwykłości stała się dla niej paragrafem instrukcji, określającym postępowanie w wypadku, gdy jakiś człowiek znajdzie się w niebezpieczeństwie i wymaga natychmiastowej pomocy. Nie na darmo spędziła wiele lat na wyprawach zwiadowczych. Gdy wiedziała dokładnie, co ma robić, robiła to szybciej niż jakikolwiek inny człowiek w całej Galaktyce.

Pawłysz i Sally dopiero odkręcali swoje hełmy, a ona już zdołała się zorientować, że dziko wyglądający, wynędzniały młodzieniec w zwierzęcej skórze nie był na stacji sam. Poza nim były jeszcze dwie osoby. Chłopiec leżący na kanapce w mesie i bardzo chuda, nieprzytomna dziewczyna ze straszliwie spuchniętą nogą.

– Siadaj i odpoczywaj – zwróciła się do Dicka spokojnym, rozkazującym tonem. – I nie wtrącaj się!

Pawłysz wszedł do mesy, kiedy Dick już posłusznie opadł na fotel.

– Najpierw chłopiec – powiedziała Klaudia do Pawłysza.

– Może jeszcze żyje.

– Nie – powiedział ochryple Dick.

– Sally – Klaudia nie zwróciła na Dicka uwagi. – Przygotuj gorącą wodę. Dużo gorącej wody. I natychmiast odwołaj samokonserwację stacji.

Na szczęście roboty nie zdążyły się jeszcze dobrać do szafy ze sprzętem medycznym i kiedy szła przez mesę do Kazika – dziesięć szybkich kroków – zdołała otworzyć wbudowaną szafę, wyrwać

z niej diagnost i rzucić go Pawłyszowi. Była pewna, że Sława złapie go w locie. Naturalnie miała rację.

Dick im nie pomagał. Patrzył, jak szybko i celowo poruszają się ludzie z Ziemi i z każdą minutą coraz bardziej wstydził się swojego zachowania. Zachowania dzikusa, gorzej – zwierzęcia. Ludzie chcieli im pomóc. Ludzie mogli się z początku pomylić, bo każdy mógł się pomylić, gdyby zobaczył takiego potwora jak mieszkaniec osady. Pewnie nawet nie przypuszczali, że ktoś tu może mieszkać, bo i skąd mogli się tego domyśleć. Przecież Siergiejew mówił, że osady prawie nie sposób odnaleźć nawet z pomocą nowoczesnych urządzeń, bo wieś w gruncie rzeczy jest częścią lasu.

Chciał wstać i przyjrzeć się, co ludzie z Ziemi robią z Kazikiem i Marianną. Rozmawiali ze sobą półgłosem, a z ich słów nie dało się wywnioskować, czy pomogą im, czy też jest już na to za późno. Wiedział jednak, że jak będzie siedział cicho i uważnie słuchał, to w końcu wszystkiego się dowie. Siedzieć i nie wtrącać się do niczego, bo i tak uważają go prawie za małpę. Może nawet myślą, że na planecie została ich tylko trójka. Trójka dzikusów. Pewnie się zdziwili, jak do nich krzyknął... Dick siedział więc dalej nieruchomo, starając się dociec sensu słów. Okropnie mu się chciało pić, ale nie poprosił o wodę.

A Pawłysz i kobiety rzeczywiście mówili bardzo mało. Kazik miał prawie niewyczuwalny puls. Stracił tyle krwi, iż można się było dziwić, że w ogóle jeszcze żyje. Cały pokryty był głębokimi ranami: rozerwane powłoki brzuszne, połamane żebra... Te dane podawał diagnost, a oni w milczeniu je rejestrowali. Sally przygotowała wodę, zmontowała aparat do przetaczania krwi, przyniosła i rozcieńczyła uniwersalną plazmę. Zapas zasklepiającego plastra nie wystarczył na wszystkie rany chłopaka, więc Sally na parę minut zastąpiła Pawłysza, kiedy ten uruchamiał syntezator. Na Dicka nikt nie zwracał uwagi. Co prawda raz czy dwa, wchodząc do mesy. Sally zerknęła na niego podejrzliwie, ale dzikus siedział jak skamieniały – atak agresji już mu minął. Mimo wszystko znalazła chwilę, żeby wlać do szklanki z wodą parę kropel trankwilizatora i podać ten płyn Dickowi, który posłusznie wziął szklankę, ale nie wypił, dopóki Sally wyraźnie mu tego nie poleciła. Woda była gorzkawa, ale wypił ją do końca. Musiał przecież zachowywać się jak człowiek cywilizowany.

Dziewczyną zajmowała się Klaudia. Pawłysz zajrzał do niej tylko na chwilę. O Mariannę się nie martwił. Przypadek wprawdzie był ciężki, ale wiedział, że wyciągnie ją z niego w ciągu paru godzin. Zakażenie krwi, skrajne wyczerpanie i nic więcej. Przykre, ale dość banalne.

Mariannę rozebrano, a Klaudia przetarła ją wilgotną gąbką. Ciało dziewczyny było tak wychudzone, tak brudne i tak gęsto pokryte bliznami i zadrapaniami, że trudno było określić jej wiek. Mogła mieć piętnaście lat, ale z równym powodzeniem znacznie więcej.

Kiedy zwolnił się aparat do transfuzji, Sally przeniosła go do sypialni i oddała Klaudii, która już wcześniej przygotowała i wstrzyknęła Mariannie roztwór odżywczy. Wszystko byłoby o wiele prostsze, gdyby na stacji były dwa reanimatory. Ale aparat był tylko jeden i potrzebny był chłopcu. Już omotał go czujnikami i wprowadził do głównych naczyń krwionośnych swoje ożywcze macki, po czym wkłął się do klatki sercowej i zaczął podtrzymywać akcję serca. Pawłysz martwił się, czy nie nastąpiły zmiany w mózgu, bo chłopiec był już w stanie śmierci klinicznej. Dlatego nieustannie kontrolował pracę układu nerwowego.

Dick usłyszał, jak mężczyzna i rośła kobieta rozmawiają w drugim pokoju, koło Marianny. Mówili bardzo cicho i sądzili, że ich nie słyszy. Nie wiedzieli, że Dick jest myśliwym i ma słuch trzykrotnie czulszy niż oni.

Z początku były to zdania pełne medycznych słów. Dick wiedział, że to są medyczne słowa. Z samego tonu zorientował się, że Mariannę wyleczą, ale w ich głosach dźwięczał niepokój, kiedy zaczęli mówić o Kaziku. Ku swemu zdumieniu i przesądnej, nieśmiałej radości Dick zrozumiał, że Kazik nie jest martwy. A może ci ludzie potrafią ożywiać zmarłych? Dick o niczym takim od Starego nie słyszał. Mówiły o tym tylko bajki, które kiedyś opowiadała mu matka.

– Trzeba go nakarmić – powiedziała cicho duża kobieta w sąsiednim pokoju. Malutka kobieta gdzieś wyszła.

Dick zrozumiał, że mówią o nim.

– A nie ugryzie? – jeszcze ciszej, z uśmiechem w głosie zapytał mężczyzna, którego między sobą nazywali Sławą.

– Kłopoty dopiero się zaczynają – odparła kobieta.

– Fenomen Mowgliego?

Dick zdziwił się, że wiedzą o Mowglim, ale zaraz domyślił się, że mają na myśli innego Mowgliego, który żył w lesie i którego wychowały wilki. Nie wiedział tylko o jaki fenomen chodzi. Jednak dźwięk znajomego imienia tak go zaskoczył, że zapomniał się na mężczyznę obrazić.

– Ciekawe, czy on kiedyś widział talerz? – powiedziała kobieta.

„Widział – omal nie odpowiedział Dick. – Łyżkę również”. Też niemądrze.

– Ale przecież on bardzo wyraźnie mówi – powiedział mężczyzna. – A przeżyli tu dwadzieścia lat!

– To jakaś nieprawdopodobna tajemnica – powiedziała rośła kobieta. – Ilu ich jest, jak bytują, gdzie? Jak zdołali zachować ludzką postać czy chociażby odzież?

– Balon – powiedział mężczyzna.

– I porozbijany magazyn... Sława – odezwała się głośniejszą kobietą. – Ona przytomnieje.

– Dick – usłyszał Dick słaby głos Marianny. – Dick...

Wyskoczył z fotela jak z procy, zapominając o swojej dumie i o tym, że trzeba milczeć. Wbiegł do pokoju. Marianna leżała na łóżku. Okazało się, że rozebrali ją i przykryli.

– Marianna – powiedział, pochylając się nad nią. – Jak się czujesz?

– Dobrze – Marianna otworzyła oczy. – Kazik żyje? Jej wzrok zatrzymał się przez moment na twarzy Dicka, prześlizgnął się po Pawłysz i znieruchomiał na widok uśmiechu Sally.

– Dziękuję – powiedziała. – Tak się baliśmy, że was nie odnajdziemy...

– Dziecko – powiedziała Sally i nagle się rozplakała.

– Biedne dziecko! Twój Kazik będzie żył, obiecuję! Wszystko będzie dobrze, naprawdę!

W drzwiach stanęła Klaudia. Milczała.

– Dick wam opowiedział? – zapytała Marianna.

– Nie – powiedział Dick. – Nie było kiedy, a zresztą oni nie pytali.

– Zaszło pewne nieporozumienie – wyjaśnił Pawłysz.

– Ale to już było ostatnie.

– Macie statek, żeby polecieć do osady? – zapytała Marianna. – Nasi tak na was czekają!

* * *

Z Dickiem do osady poleciała Sally. Pawłysz i Klaudia zostali z rannymi.

Dick najadł się, najadł się po raz pierwszy od wielu dni i teraz go mdliło. Nie śmiał się jednak skarżyć, bo Sally bardzo się spieszyła do osady. I Marianna, zanim zasnęła – Pawłysz dał jej silny

środek uspokajający – też powiedziała:

– Dick, pospieszcie się, oni tak się denerwują...

Dick pomyślał, że boi się, iż Oleg, nie czekając na nich pójdzie na statek. Lękała się o niego.

Gdyby go tak nie mdliło. Dick nie mógłby się doczekać, aż kuter wylądaje. Teraz było mu wszystko jedno.

Lecieli nisko, pod chmurami, niemal dotykając wierzchołków drzew. Dick dokładnie znał kierunek i był pewien, że trafią. Oglądany z góry las wyglądał jak szarozielone morze.

Przelecieli przez rzekę. Trudno sobie było nawet wyobrazić, że przeprawa przez nią zajęła im trzy dni. To była całkiem wąska rzeka. Z lewej strony przemknęły pnie gigantycznych drzew.

– Byliśmy tam – powiedział Dick. – Na górze.

– Tak – powiedziała Sally. – Widzieliśmy balon, ale nie od razu się zorientowaliśmy. A ja nie uwierzyłam. Dopiero Sława...

– Szkoda – przerwał jej Dick. – Trzeba się było wcześniej domyślić.

Patrzył na jej ręce. Ręce były takie białe i gładkie, że kobieta chyba prawie nigdy nie zdejmowała rękawiczek. Teraz ręce tkwiły na sterach i lekkimi muśnięciami palców zmuszały kuter do wznoszenia się, opadania, zmiany kierunku. Dick zapragnął poprosić Sally, żeby pozwoliła mu poprowadzić, ale naturalnie niczego nie powiedział.

Sally zwiększyła prędkość i zieleń pod nimi zlała się w rozmytą masę, a jednak to właśnie Sally pierwsza spostrzegła polanę w lesie i osadę.

Natychmiast zwolniła, ale mimo tego kuter przeleciał nad osadą i wysforował się tak daleko, że musieli ostro zakręcić, aby wylądować koło palisady. Stary dyżurował przy wrotach z głową przykrytą narzutką z rybiej skóry, bo znów się rozpadało, a on był przeziębiony. Jednak jakiś szósty zmysł kazał mu zrzucić narzutkę akurat w tym momencie, kiedy kuter wyskoczył znad drzew i zaczął zataczać koła nad osadą.

Stary dziko wrzasnął i zaczął bić kołatką na trwogę, jakby wieś atakowała cała horda szakali. Ludzie wyskakiwali z domów i niczego nie rozumieli, bo Stary łomotał, krzyczał i jednocześnie podskakiwał w miejscu, jakby go ukąsiła jadowita żmija.

Sally zobaczyła z góry obszerną polanę ogrodzoną długim, pokrzywionym płotem. Na polanie rosły gdzieniegdzie niewysokie krzewy, ciągnęły się nierówne grządki i leżały plamy kałuż, w których odbijały się chmury.

Zobaczyła też domy, w których mieszkali ludzie. Krzywe, żalosne, powykręcane szalasy stały dwoma rzędami wzdłuż błotnistej uliczki. Dróżka podchodziła łukiem do wrót w płocie i rozgałęziała się, wiodąc do dwóch jednospadowych dachów, nad jednym z których unosił się szary dymek. Jeśliby ktoś chciał umyślnie przedstawić nędzę i ubóstwo ludzkiego istnienia, to z pewnością nie potrafiłby narysować smutniejszego obrazu.

Kuter wylądował koło skrajnego domu.

Sally wyłączyła silnik i popatrzyła na Dicka.

Dick jednak milczał. Sally patrzyła na niego i czuła się jak ostatnia świnia, bo miała na sobie skafander i nie odważyła się go zdjąć. Dick wolno odwrócił się i popatrzył jej prosto w oczy. Dickowi było duszno w kabinie, czuł się bardzo niedobrze, ale resztkami sił usiłował się trzymać, nie dać niczego po sobie poznać. Dziwna rzecz, ale Sally to rozumiała.

Chłopak zaczął szarpać drzwiczki. Sally pomogła mu otworzyć właz i Dick wyskoczył na zewnątrz. Sally wyszła za nim.

Wówczas zobaczyła dzieci. Dzieciarnia biegła przez błoto, przez kałuże, naga, kudłata i bosa. Malcy krzyczeli i machali rękami.

A za nimi biegli dorośli. Trzy lub cztery kobiety, potem mężczyzna z potężną rudą brodą, z której wystawał jedynie czerwony czubek nosa, a nad nim lśniły błękitne oczy. Jedna z kobiet była bardzo tęga i Sally zdążyła się zdziwić na ten widok. Potem zobaczyła wysokiego, przygarbionego starca z jedną ręką, który kuśtykał, ciężko wspierając się na lasce. Otworzyły się drzwi najbliższego domu i jasnowłosa dziewczyna wyprowadziła z niego niewidomą kobietę, która zdawała się wolną ręką wymacywać drogę przed sobą.

Sally stała, czekając aż wszyscy podbiegną i drętwiała na myśl, że mogli odlecieć i zostawić tutaj tych ludzi.

Zatrzymali się o parę kroków od niej. Było bardzo cicho. Nikt nie powiedział słowa przez całą minutę.

Sally nagle zobaczyła, że tęga kobieta płacze. Płakała bezdźwięcznie, połykając łzy, a jej palce przesuwały się po piersiach, jakby szukały guzika.

Popatrzyła na dzieci. Było ich bardzo dużo. Jakoś nie przychodziło jej do głowy, że ludzie właśnie tutaj, w tej brudnej otchłani mogą płodzić dzieci. Było w tym coś zwierzęcego. Widziała w osadzie nie kontynuację Ziemi, lecz wymierającą garstkę goniących resztką sił pogorzalców.

Ciężką ciszę przerwała niewidoma kobieta.

– Gdzie oni są? – zapytała głośno. – Naprawdę przylecieli?

– Dzień dobry – powiedziała wówczas Sally. Najtrudniej było wypowiedzieć pierwsze słowa.

Pierwsze słowo...

– Gdzie jest Kazik? – zapytała tęga kobieta. – Nic mu się nie stało?

– Oni tam zostali, ciociu Luizo – odpowiedział jej Dick. – Wyleczą ich, obiecali.

– Ich życiu nie grozi żadne niebezpieczeństwo – zapewniła ją Sally.

– A Oleg? Gdzie jest Oleg? On poszedł w góry! – krzyknęła nagle wynędzniała stara kobieta. –

Trzeba go zawrócić...

– Poczekaj, Ireno – powiedział jednoręki starzec o lasce.

– Mam na imię Borys – tu zwrócił się do Sally. – Jestem tu najstarszy. I w imieniu wszystkich pragnąłbym pani podziękować...

Dick odbiegł za dom i ukradkiem zwymiotował. Nikt tego nie widział.

Sally witała się z wszystkimi po kolei. Każdy podawał jej rękę i przedstawiał się, nawet malutkie dzieci. I w tym ceremoniale było coś, co niweczyło wrażenie spotkania z pogorzalcami. Sally cieszyła się, że nie założyła rękawiczek.

Jej uwagę odwróciło w pewnej chwili straszliwe zwierzę, w którym rozpoznała potwora zabitego przez Pawłysza. Potwór otoczony całym stadem nieco mniejszych od siebie koszmaków groźnie galopował ku grupie ludzi otaczających kuter. Sally chciała krzyknąć, ostrzec ludzi, ale jakiś dzieciak wybiegł potworowi naprzeciw, krzycząc przenikliwie.

– Odejdź, Kozo, ludzie do nas przylecieli! Odejdź, głupia!

Potwór, który miał tak dziwne imię, nagle zatrzymał się i zaczął cofać.

A jedno z kozłat, które w żaden sposób nie mogło zrozumieć, dlaczego je odpędzają, małeńka chroma dziewczynka odciągnęła za długie uszy.

„No jasne – zrozumiała nagle Sally – jeśli oni tu żyją, w trudnych warunkach, ale jak ludzie, to muszą oswajać zwierzęta, chodzić do lasu, uprawiać ziemię. A czego ja się spodziewałam?”

– Jeśli nie czuje się pani zbyt zmęczona – powiedział jednoręki starzec – to mielibyśmy prośbę. Siergiejew i Oleg wyprawili się w góry, żeby dotrzeć do „Polusa” i wywołać was przez radio. Ale w górach jest bardzo zła pogoda...

* * *

W dwadzieścia minut później kuter ponownie wystartował. Dickowi zrobiło się lepiej, więc poleciał z Sally. Znał drogę, którą za pierwszym razem szli z osady do „Polusa”.

Wielu chciało polecieć na poszukiwanie Olega i Siergiejewa, zwłaszcza dzieci, matka Olega też się rwała, ale Stary powiedział:

– Daj spokój. Ireno. Poradzą sobie bez ciebie. – Obrócił się do Sally i poprosił: – Wracajcie jak najszybciej.

Powiedział te zwyczajne słowa bardzo poważnym tonem, starając się zachować nie tylko własną godność, lecz również godność całej osady. Stał bardzo prosto. Dick nigdy nie przypuszczał, żeby Stary mógł się tak wyprostować. Jediną ręką wspierał się na gałce laski. Dzieciarnia przestała hałasować i skakać wokół kutra, a matka Olega wolno cofnęła się do pozostałych.

– Dobrze, Borysie – odparła Sally równie poważnie. – Postaramy się jak najszybciej ich odnaleźć.

Kiedy kuter wystartował, Dick powiedział:

– Widzisz te czerwone skały? Musimy lecieć w tamtą stronę. Za nimi jest jaskinia, w której za pierwszym razem nocowaliśmy. Nie spiesz się, bo zgubię drogę.

Kuter leciał bardzo wolno, ale i tak niebawem dotarł nad wąwóz, którym płynął bystry strumień. W wąwozie snuły się strzępy mgły przemykające nad zwałami śniegu i Dick pomyślał, że Oleg nie miał tu łatwej drogi.

Wzniesli się nad płaskowyż. Dick rozpoznał miejsce, w którym znalazł manierkę koniaku, a potem miejsce, gdzie zginął Tomasz.

– Tutaj zginął Tomasz – powiedział. – Olega ugryzła śnieżna pchła, Tomasz go nie puszczał i sam zginął.

Sally skinęła głową, chociaż po raz pierwszy usłyszała o Tomasz. Wiedziała, że jeszcze nieraz tę historię usłyszy i Tomasz stanie się jej równie bliski jak żywi.

Kuter sunął jakieś sto metrów nad śniegiem, potem Sally opuściła go jeszcze niżej i całkiem zwolniła, gdy dostali się w gęste chmury. Bała się przegapić ludzi.

– Oni powinni być już dalej – powiedział Dick. – Pewnie już dochodzą do „Polusa”. Jeśli dotarli na miejsce, to pół biedy. Mogą przeczekać złą pogodę na statku.

Sally omal mu się nie przyznała: „A my chcieliśmy „Polusa” wysadzić w powietrze”. W porę się jednak powstrzymała. Dick by podobnego świętokradztwa nie zrozumiał. Jak człowiekowi wychowanemu w lesie wytłumaczyć, co to jest instrukcja?

Po dalszych kilku minutach przebili chmury i znaleźli się pod granatowym, rozgwieżdżonym niebem.

Dick był na razie spokojny. Czekał na pojawienie się „Polusa”.

Statek leżał w kotlinie, dokładnie taki sam jak rok temu. Zatoczyli nad nim koło. Śladów Siergiejewa i Olega nigdzie nie było widać.

– Może są w środku? – powiedział Dick. – Jest bardzo zimno.

Sally wylądowała obok wjazdu, z którego zwisał trap pozostawiony przez lekkomyślnego

Pawłysz. Dobrze, że Sława jest taki lekkomyślny, pomyślała Sally.

Obiegli statek, zajrzeli do sterówki i magazynu, potem zajrzeli do przedziału, w którym stał kuter planetarny, ponieważ Oleg z Siergiejewem mogli tam wejść, żeby nawiązać łączność.

Nie znaleźli nikogo.

Wyszli z „Polusa”. Dick ponuro milczał. Dookoła panowała złowieszcza kosmiczna cisza.

– Będziemy szukać dalej? – zapytał po chwili Dick, lękając się, że Sally odpowie: „Zmęczyłam się, trzeba wracać”. Przecież Oleg i Siergiejew byli dla niej obcy.

– Poczekaj – odparła Sally. – Najpierw porozumiemy się z bazą.

Uruchomiła nadajnik i powiedziała Pawłyszowi, że była w osadzie, a teraz poleciała do „Polusa”, ale nie znalazła ludzi. Potem zapytała, jak się czują dzieci. Dick lekko się uśmiechnął: mówić o Mariannie „dziecko”! Śmieszne.

Pawłysz odparł, że wszystko w porządku i dodał:

– Lećcie tu jak najszybciej. Zmienię was.

– Nie czuję się zmęczona.

– Zapomniałaś, że mam bioindykator. Bez niego ich nie znajdziecie. Mogli zabłądzić, mogło ich zasypać śniegiem.

– Masz rację – zgodziła się Sally.

– Co on ma? – zapytał Dick z nadzieją.

– Przyrząd, który odnajduje materię organiczną.

Sally zorientowała się, że Dick nigdy nie słyszał tego słowa i zaczęła szukać jakiegoś zastępczego wyrazu, ale Dick powiedział:

– Zrozumiałem.

Naprawdę zrozumiał. Veitkus uczył ich chemii. Kuter ostro wzniósł się nad kotliną.

– Tylko poproszę cię, żebyśmy nie lecieli prosto, tylko najpierw zrobili koło nad górami – powiedział Dick.

– Pawłysz ma rację, z bioindykatorem będzie łatwiej.

– Wiem – powiedział Dick.

– Dobrze – zgodziła się Sally.

Dick też ma rację. Nikt tego wprawdzie głośno nie powiedział, ale wszyscy doskonale rozumieli, że jeśli ludzie zabłądzili, to przy tym mrozie o ich życiu decydowały minuty. Naturalnie, gdyby na miejscu Sally znalazła się Klaudia, nigdy nie zgodziłaby się tracić czasu na bezproduktywne krążenie nad górami. Przekonywałaby wszystkich, że dla dobra samych zaginionych lepiej poświęcić pół godziny na lot do stacji, a potem użyć bioindykatora. Ale Sally nie była tak rozsądna. Polecili więc w dół zygzakiem, przeczesując pas o szerokości paru kilometrów.

I dobrze zrobili.

Kiedy już zbliżali się do górnej granicy chmur i zrozumieli, że trzeba będzie przerwać poszukiwania, bystrooki Dick zobaczył daleko z prawej czarny punkcik na śniegu.

– Zawróć! – krzyknął.

Punkcik był nieruchomy. Sally też go spostrzegła i tak gwałtownie skręciła, że Dick ledwie utrzymał się w fotelu.

Punkt szybko się powiększał i w pewnej chwili spostrzegli, że się porusza. To była dziwnie bezkształtna bryła, która zdawała się rosnąć i puchnąć. Już będąc blisko zorientowali się, że tworzy ją dwóch ludzi, którzy padając i znów się podnosząc, byli tak mocno ze sobą szczepieni, że wyglądali

jak jedna istota.

Kiedy kuter opadł na śnieg o dwadzieścia metrów od Olega i Siergiejewa, ale ci wcale tego nie zobaczyli, bo oślepli od śnieżnego blasku. Na oczach Dicka i Sally, którzy wyskoczyli z kutra, obaj znów upadli i z trudem, głucho warcząc, zaczęli podnosić się na klęczki.

– Oleg! – krzyknął Dick, rzucając się ku podrygującemu kłębkowi ciała. – Oleg, jestem tutaj! Słyszysz mnie? Oleg, to ja!... To my! Przylecieliśmy!